

42041 [2]



11+7

341
362

11

GIEOGRAFJA MALOWNICZA

115

21

-PAW
-uw

GIEOGRAFJA MALOWNICZA

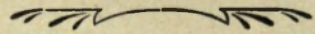
Z WRAŻEŃ PODRÓŻNIKÓW

ułożył

Wacław Nałkowski

II

AMERYKA POŁUDNIOWA.



4N-verte

Wydawnictwo M. ARCTA w Warszawie.

Kraków: S. A. Krzyżanowski.

1909

opisy uje. i mode <http://rcin.org.pl>



42041 [2]

CBGİOŚ, ul. Twarda 51/55



Wa5126704

HN-16081/Ts

DRUKIEM M. ARCTA W WARSZAWIE, ORDYNACKA 3.

PAN dan <http://rcin.org.pl> 1967

ODKRYWCA NOWEGO ŚWIATA.

Wielki i wciąż wzrastający wpływ Nowego Świata na Stary stał się przyczyną, że imię szczęśliwego odkrywcy Ameryki pokryło cieniem imiona daleko zdolniejszych i odważniejszych żeglarzy — szczęśliwy przypadek włożył Kolumbowi wieniec nieśmiertelności na głowę.

Kolumb nie jest zjawiskiem odosobnionym: jego rodacy, Włosi, oddawna trzymali berło żeglugi i handlu na morzu Śródziemnym, a gdy żegluga śródziemnomorska stała się



Krysztof Kolumb.

oceaniczną, gdy udział w niej zaczęli przyjmować Portugalczycy i Hiszpanie, wtedy żeglarze włoscy zaczęli szukać szczęścia u obcych; wśród tych włoskich poszukiwaczy szczęścia na obczyźnie znalazł się Kolumb.

Jak o miejsce urodzenia Homera spierało się siedm miast greckich, tak o miejsce urodzenia Kolumba—liczne miejscowości, przeważnie w okolicach Gienui. Przyczyną tej niepewności jest to, że Kolumb, pochodzący z ubogiej rodziny mieszczańskiej (syn szynkarza), nie prędzej ściałgnął na siebie powszechną uwagę, aż dopiero po szczęśliwym przebyciu oceanu; że sam pochodzenie swoje okrywał tajemniczością; że sobie przypisywał szlacheckie pochodzenie; wreszcie, że jego rodzinne nazwisko Colombo napotyka się w portach morza Tyreńskiego i Liguryjskiego również często jak np. w Niemczech nazwiska: Schultze, Muller lub Meier.*)

W swej włoskiej ojczyźnie Kolumb zajmował się handlem i żegluga, ale mu się jakoś nie wiodło; udał się więc do Portugalji, gdzie ożenienie dało mu pewien punkt oparcia i możność teoretycznego wykształcenia się w geografji. Przewodniczką jego w tym względzie była Gieografja, czyli, jak wówczas zwykle nazywano, Imago mundi, obraz świata, napisany w 1410 r. przez Piotra d'Ailly. Była to średniowieczna bezkrytyczna kompilacja, ale dla Kolumba stała się ona najwyższym autorytetem. Kolumb nauczył się z niej, że raj ziemski leży na dalekim Wschodzie na górze, że ocean między zachodnim wybrzeżem Portugalji a wschodnim Indji jest bardzo wązki według poglądu Arystotelesa, i że według Seneki przy pomyślnym wietrze można go przepłynąć w ciągu niewielu dni. Dalej Kolumb przyswoił sobie od Esdrasza, że powierzchnia ziemi w $\frac{6}{7}$ składa się z lądu, a tylko w $\frac{1}{7}$ z wody; od Augustyna— że pas gorący jest zamieszkały przez potwory; wreszcie wywnioskował sobie, że w 300 lat po roku 1500 nastąpi koniec świata.

*) Ciekawe jest usiłowanie księdza korsykańskiego, Casanowa, który chciał dowieść, że Kolumb urodził się na Korsyce, za pomocą mniemanego aktu chrztu; zapomniał jednak biedak o małej rzeczy, mianowicie że świadectwa chrztu zostały ustanowione dopiero na soborze trydenckim w 100 lat po urodzeniu Kolumba.

Pierwszym impulsem, który zwrócił całą myśl Kolumba do puszczenia się na ocean dla szukania Wschodu przez Zachód, były opowiadania żeglarzy o rzeczywistych lub mniemanych podróżach po Atlantyku ku zachodowi, o napotykanym jakichś nieznanym pływającym przedmiotach, o widzianym zdaleka wyspach i t. d. Wszystkie te legiendy żeglarskie są tak mgliste, jak mglistymi są mierziny morskie, którym legiendy te prawdopodobnie zawdzięczają swe powstanie; słaby to więc był argument. Tymczasem dla urzeczywistnienia swego planu Kolumb potrzebował poparcia ze strony jakiego władcy, któryby mu dostarczył potrzebnych na to znacznych środków materialnych. Ażeby to osiągnąć, potrzeba było podać należyte podstawy do takiej podróży; powoływać się na mgliste świadectwa żeglarzy nie wystarczało tu, trzeba było oprzeć się na podstawach naukowych, na podstawie znakomitych pisarzy. To skłoniło Kolumba do studjów nad dawniejszemi i nowszemi autorami. Najważniejszą jednak pomocą był mu w tym względzie plan Toscanellogo, znakomitego florentczyka.

We Włoszech interesowano się bardzo żywo odkryciami oceanicznymi Portugalczyków i Hiszpanów, nie więc dziwnego, że w kołach uczonych postawiono sobie pytanie, czy nie możnaby osiągnąć Indji drogą krótszą niż ta, po której Portugalczycy posuwali się z niezbyt wielkim powodzeniem. Przytym trzeba wziąć na uwagę, iż w XV-ym stuleciu zaczęto znów studjować mapy Ptolemeusza, na których odległość zachodnich brzegów Europy od wschodnich Azji w kierunku z zachodu na wschód była przesadna; że rozmiary te potwierdził Marco Polo, który, podróżując przez góry i nie zawsze wprost na wschód, przeceniał odległość w tym kierunku.

Na tej podstawie, oraz na podstawie świadectwa Nicola de Conti, współczesnego podróżnika po południowo-wschodniej Azji, który też sądził, że kraje te leżą dalej na wschód,

niż rzeczywiście, Toscanelli narysował mapę, na której rozciągłość Europy i Azji zajmowała $\frac{2}{3}$ obwodu ziemskiego, t. j. 240° długości, tak iż droga przez ocean na zachód przedstawiała się, jako $\frac{1}{3}$ obwodu, t. j. 120° , a zatem daleko mniej, niż portugalska droga na wschód, która musiała omijać długą groblę Afryki.

Mapa Toscanellego zawierała właściwie tylko ocean Atlantycki z jego zachodnimi i wschodnimi wybrzeżami; autor posłał tę mapę królowi portugalskiemu, polecając usilnie drogę zachodnią do Indji. Mapa ta była kierowniczką Kolumba w podróży; później w 1492 r. przy jej pomocy Marcin Behaim sporządził pierwszy globus, na którym naznaczona jest droga przez ocean Atlantycki; tej samej drogi trzymał się Kolumb.

Kolumb zamięłowany w swej idei, nie miał najmniejszej wątpliwości co do planu i obliczenia Toscanellego. Jest to—mówi Ruge, jedna z głównych słabości jego charakteru, że był zawsze zupełnie zależny od swych autorytetów: wszystko jedno, czy to były dzieła pisarzy starożytnych, czy średniowiecznych; czy dane astronomiczne, czy wyrzeczenia poetyczne—wszystkie te źródła miały dla niego jednakową wartość, jednakowo były nietykalne. Nigdy nie przyszło mu na myśl pytanie, czy czasem na tym obszarze oceanu, który nawet według obliczenia Toscanellego wynosił jeszcze $\frac{1}{3}$ obwodu ziemskiego, nie mogą się znajdować jakieś wielkie obszary lądowe.

O takich nieznanym obszarach jego autorytety nie mówią nic, a więc ląd przez niego odkryty mógł i musiał należeć tylko do Indji. Jeżeli teraz weźmiemy na uwagę, że tak u Ptolemeusza jak i u Toscanellego, rozciągłość starożytnego świata w kierunku równoleżnikowym była podawana przesadnie i że odległość zachodniej Europy od Chin, w kierunku zachodnim wynosi nie $\frac{1}{3}$ lecz prawie $\frac{2}{3}$ obwodu ziemskiego, to zrozumiemy, że pomyślny rezultat przedsięwzięcia Kolumba w razie nieistnienia Ameryki,

byłby niemożliwy: podróż potrzebowałaby przynajmniej cztery razy tyle czasu, ile użył Kolumb na przejazd od wysp Kanaryjskich do Antylskich. A jeżeli już na tej krótkiej drodze, która trwała niewiele tygodni, załoga zaczęła się niepokoić, to przy dłuższej podróży, $\frac{2}{3}$ obwodu wynoszącej, załoga byłaby z pewnością zmusiła Kolumba do powrotu; a gdyby nawet Kolumb potrafił się oprzeć, to wyprawa musiałaby zginąć, gdyż na tak długą podróż nie była przygotowana; nie miała dość ze sobą zapasów.

Nie należy nigdy zapominać, że, jak wyżej powiedziano, tylko przypadek dał Kolumbowi świat nowy, że nie wybrał on się bynajmniej na odkrycie nowych krain, lecz chciał jedynie znaleźć najłatwiejszą, jak sądził, drogę do krain już znanych i że umarł w przekonaniu, iż drogę tę znalazł rzeczywiście.

Usiłowania Kolumba w celu skłonienia króla portugalskiego do wysłania wyprawy spełzły na niczym, a to z powodu niesłychanych wymagań Kolumba w razie urzeczywistnienia się jego przedsięwzięcia. Wówczas Kolumb, porzuciwszy żonę i dzieci, uszedł z Portugalji z powodu jakichś zajęć z władzami i udał się z najstarszym synem do Hiszpanji. Tutaj, dla skłonienia władców do swego przedsięwzięcia, oparł się na ważnym dla bojującej z niewiernymi, Hiszpanji motywie — na świętej wierze.

«Przyszedłem, pisze Kolumb do króla, jako wysłaniec Świętej Trójcy, do ciebie najjaśniejszy panie, jako do najpotężniejszego władcy chrześcijaństwa, aby dopomóc do rozpowszechnienia świętej, wiary chrześcijańskiej, albowiem rzeczywiście Bóg mówi jasno o tych krajach przez usta proroka Izajasza, zapewniając, że jego święte imię ma być rozpowszechnione z Hiszpanji.» Odnośne miejsce z Izajasza brzmi tak: «Od krańców ziemi słyszymy śpiewy».. «chcę stworzyć nowe niebo i nową ziemię». Według objaśnień Kolumba, pod nazwą «krańce

ziemi», należy rozumieć Hiszpanję; «nowa ziemia» jestto ziemia, którą Kolumb ma odkryć. Tym sposobem całe przedsięwzięcie Kolumba otrzymało charakter religijny; mimo jednak takiego postawienia kwestji, Kolumbowi nie łatwo przyszło przekonać wątpiących o jego przedsięwzięciu; musiał się często spotykać z zarzutami dziecinnymi lub bezsensownymi; między niemi znajdujemy zaprzeczenie istnienia antypodów ze stanowiska teologicznego, oraz taką parodję nauki o kulistości ziemi, jak to, iż łatwo jest płynąć na zachód w dół (!) krzywizny ziemskiej, ale napowrót nie podobna będzie płynąć pod górę (!).

W rezultacie rzecz całą podano w odwłokę, jako przedwczesną; rozpoczęły się dla Kolumba bolesne lata wyczekiwania, a gdy wreszcie rzecz weszła na drogę pomyslną, to tylko co znów się nie rozbiła o niezmierne wymagania Kolumba co do tytułów, urzędów i pieniędzy; w niczym nie chciał on ze swych wymagań ustąpić. «Stoimy zdziwieni i zdumieni, mówi Ruge, wobec tej niezachwianej wiary Kolumba w świetne rezultaty, w jego szczególniejsze przeznaczenie do wielkiego dzieła, w prawdziwość jego kosmograficznych teorji». Kolumb zdecydował się porzucić Hiszpanję i szukać szczęścia we Francji, lecz został zwrócony z drogi; królowa zgodziła się na jego żądanie.

Wiadomo, że podczas podróży Kolumb zrobił bardzo ważne odkrycie: dostrzegł zachodnie zboczenie igły magnesowej; dalej napotkał morze pokryte pływającymi roślinami (sargassum), które rosną na wybrzeżach Indji Zachodnich; oderwane od wybrzeży przez fale, przyniesione przez prąd florydzki do północnej części Atlantyku, utrzymują się tu długi czas przy życiu. Załoga Kolumba na widok tych roślin została przejęta obawą, iż okręt nie zdoła ich przebyć.

Jednak przebyto owo morze roślin, jak i całą drogę bez trudności; przy końcu majtek Rodrigo de Triana dostrzegł 12 października o drugiej po północy daleki brzeg, majaczejący w blasku księżyca.

Wystrzał armatni i wywieszenie flagi było sygnałem uwieńczenia dzieła. Od tej uroczystej chwili wyprawa płynęła jeszcze 48 mil morskich aż wreszcie dosięgnęła wyspy Guanahani, która dziś według wszelkiego prawdopodobieństwa zwie się Watlingsisland.

Dla majtka, który pierwszy zobaczy brzeg, była wyznaczona nagroda, Kolumb jednak przywłaszczył ją sobie, na tej podstawie, że przed dostrzeżeniem Triany, widział majaczący wśród nocy ogień. Kolumb jednak widocznie nie był tego pewien, skoro nie dał umówionego sygnału; całe to zdarzenie, «sądząc pobłaźliwie», należy uważać za złudzenie zmysłów.

Wyspa Watling wznosi się co najwyżej na 43 m. nad poziomem morza; wysokość stanowiska admirała nie wynosiła więcej jak 10 m. Nieprawdopodobną więc jest rzeczą, aby Kolumb wobec krzywizny kuli ziemskiej, miał ze swego niezbyt wzniesionego stanowiska ujrzeć światło na niskiej wyspie, w odległości 56 mil morskich czyli 14 geograficznych. Chyba że Kolumb wylądował nie na wyspie Watling, lecz na jakiej innej. W każdym jednak razie jedno nie da się zaprzeczyć: Kolumb nie dał sygnału, nie był więc pewien swej obserwacji, a stąd nie miał też żadnego prawa do przywłaszczonej nagrody. W tym skrzywdzeniu ubogiego majtka ujawnił się brzydki rys charakteru Kolumba.

Po odkryciu Guanahani, którą Kolumb nazwał San-Salvador, płynął on następnie od wyspy do wyspy, szukając wszędzie złota. Po San-Salvador nastąpiła Santa-Maria, dalej Ferdinanda, potem Izabela. Nawet w tych nazwach widać wzorowy porządek: pierwsza podzięka za odkrycie należała się Wszechmocnemu, dla tego dwie pier-

wsze wyspy otrzymały miano Zbawiciela i Matki Boskiej; przy dwóch ostatnich nazwach Kolumb miał na względzie hiszpańską parę panujących. Określenia astronomiczne szerokości były u Kolumba bardzo błędne. Złoto, którego tak poszukiwał, jakoś się nie ukazywało; Kolumb więc dla pocieszenia siebie i panujących, wpada w swym dzienniku znowu na ton religijny, mianowicie wskazuje na wielkie zyski kościoła, jakie wyniknąć mogą, gdy wszyscy Indjanie zostaną nawróceni: «jestem przekonany, pisze, iż z chwilą, gdy bogobojni ludzie poznają język krajowców, wszyscy oni przejdą na wiarę chrześcijańską. Mam w Bogu nadzieję, iż wasze wysokości zdecydują się prędko wysłać takich ludzi, aby tak wielkie ludy przyjąć na łono kościoła, podobnie jak wasze wysokości wytepiły wszystkich tych niewiernych, którzy nie dali się nawrócić do Ojca, Syna i Ducha świętego» i t. d.

Na Hispanioli Kolumb zdawał się być już blizki swego celu upragnionego: «aby Bóg litościwy mi dopomógł, woła w uniesieniu, ażebym to złoto znalazł»; ale zamiast upragnionego złota, nastąpiło rozbicie okrętu.

Po powrocie Kolumba do Hiszpanji Portugalja zaczęła rościć pretensje do krain odkrytych przez Kolumba, a to na zasadzie bulli papieża, który darował Portugalczykom wszystkie kraje, mające być odkrytymi i pozwolił im utrzymywać mieszkańców tych krain w wiecznej niewoli. Spór między Hiszpanją a Portugalją został rozstrzygnięty przez papieża w ten sposób, że linja, poprowadzona w odległości 100 leguas na zachód od wysp Azorskich i Kapwerdyjskich, od bieguna do bieguna miała dzielić posiadłości Hiszpanów na zachodzie, od Portugalczyków na wschodzie.

Tymczasem Kolumb wybrał się w drugą podróż, podczas której wpadł na myśl wprowadzenia handlu niewolnikami, co uzasadniał potrzebą zbawienia dusz pogan, nie wierzących w Boga.

Drugą myślą Kolumba było mniemane odkrycie rajy. Spienione fale przy ujściu Orinoko, powstałe wskutek zekłknięcia się wód potężnej rzeki z morzem, naprowadziły właśnie Kolumba na myśl o rajy: te masy wody słodkiej musiały pochodzić od wielkich rzek, silny zaś prąd musiał być wynikiem wielkiego spadku; rzeki te więc musiały spływać z wysokiej góry. Otóż według autorytetów Kolumba, raj leżał na dalekim Wschodzie na wysokiej górze. Kolumb więc sądził, że znajduje się blisko rajy; jasna barwa skóry u mieszkańców tutejszych też popierała, jak sądził, tę ideę: ojczyznę ich są górzyste okolice w pobliżu rajy. góry wpływają na ochłodzenie klimatu, dla tego w okolicach tak blizkich równika mogą żyć ludzie o jasnej barwie.

Przytym dla takiego pojmwania rzeczy nie wystarczyło proste przypuszczenie, iż raj leży na górze; tu cała kula ziemska musiała mieć wysokie nabrzmienie, tak iż właściwie ziemia nie ma kształtu doskonałej kuli, lecz kształt gruszki. Tym sposobem admirał oceanu, dzięki swej skłonności do mistycznego fantazjowania, doszedł wkońcu do zwątpienia o fundamentalnej zasadzie nauki o ziemi.

Podczas podróży w kolonji, założonej przez Kolumba na Haiti, powstały rozruchy. Kolumb prowadził z burzycielami układy, lecz ponieważ układy te podpisał na okręcie, jako admirał, sądził więc, iż jako wice-król i namiestnik nie potrzebuje ich na lądzie dotrzymywać. W sprawę tę wdała się korona i to spowodowało upadek Kolumba.

Kolumb jako człowiek, był przynajmniej w Hiszpanji oddany bezwarunkowo kościołowi i uwydatniał to w mowie i piśmie. Wszystko, co robił, lub mówił, rozpoczynał od słów: «w imię Świętej Trójcy». Nad wszystkimi swemi listami kładł napis: *Jesus cum Maria sit nobis in via*. Jak w wierze, tak i w nauce był całkowicie zależny od obcych powag. Rzeczom napisanym wierzył więcej, niż

własnym oczom. Na podstawie mapy Toscanellogo wierzył aż do śmierci, że odkrył wschodnie wybrzeża starego świata. Co Piotr d'Ailly uczył o wielkości ziemi, wąskości oceanu, położeniu rajy i końcu świata, to stało się artykułami wiary dla Kolumba. Żywa wyobraźnia i skłonność do mistycyzmu wyrodziły w Kolumbie fanatyzm dla jego planów i idei, którym poświęcił całe życie. «Kolumb, mówi Ranke, żył wyłącznie idejami religijnymi i nie miał żadnego pojęcia o olbrzymim lądzie, leżącym niby grobla pośród oceanu. Wylądowawszy na Antyllach, sądził, iż znajdzie tam złoto i srebro, aby zwyciężyć Mahometan i odzyskać ziemię świętą, Nigdy wspanialszy błąd nie wywołał wspanialszego odkrycia». Ciekawą jest niezmiernie charakterystyka Kolumba, jaką daje Bancroft: «Największy brak w zdolnościach Kolumba, przesadna łatwo wierność, była główną przyczyną jego powodzenia. Sądził on, że Bóg powołał go do tej misji; upewniał, że jego podróż jest cudem, a on sam natchniony w tym celu przez Trójęcę przenajświętszą; poprzysiągł on wyswobodzić grób Zbawiciela, czego nie dokonał; opowiadał o wizjach, których nigdy nie widział (jak np. o ogniu św. Elma z siedmiu świecami), o głosach, których nigdy nie słyszał. Przedstawiał się jako przynosiciel Chrystusa dla ciemnych ludów pogańskich, podczas, gdy w rzeczywistości rozpuścił on między nie całe legjony djabłów».

Im bardziej dotykały go koleje losu, tym bardziej gubił on się w labiryncie mistycyzmu. Cała jego wiedza żeglarska, jak twierdził później, w niczym mu do jego odkryć nie pomogła; spełnił on tylko to, co było przepowiedziane w biblii.

I tak doszedł on wkońcu do pogardy wszelkich zdobyczy naukowych. Obdarzony od natury jasnym wzrokiem na zjawiska otaczającej przyrody; zamiłowany obserwator wszystkiego, co w swych podróżach napotkał; nie tylko dobrze widzący, ale i posiadający talent żywego

przedstawienia; człowiek, który porównywa formy roślinne Starego i Nowego Świata, zwraca uwagę na rozprzestrzenienie się roślin morza Sargassowego, odczuwa zmiany klimatyczne podczas żeglugi na Atlantyku, znajduje zboczenie igły magnesowej, tworzy teorie prądów morskich, objaśnia budowę wysp Zachodnio-Indyjskich—ten człowiek dochodzi w końcu do zaprzeczania kulistości ziemi, a zatem do zburzenia podstawy swego wielkiego żeglarskiego przedsięwzięcia, a to dlatego, ażeby utrzymać swą fikcję rajy ziemskiego. Ale właśnie w tym upartym, fanatycznym trzymaniu się swych błędnych teorii tkwiła jego niepokonana siła, która doprowadziła go do urzeczywistnienia niezwykłego przedsięwzięcia.

Jego zdolności żeglarskie były dość mierne, jego oznaczenia szerokości geograficznych były fałszywe, jego orientowanie się było niepewne; tak w czasie powrotu z pierwszej podróży sądził on, że znajduje się u wysp Kanaryjskich, tymczasem przed nim leżały Azory. Jeżeli nie kłamał on świadomie, to w takim razie wielkość Kuby i Haiti znacznie przesadził. Jego zdjęcia wybrzeży Nowego Świata nie utrzymały się. W tym kierunku nie wytrzymuje on porównania z wielkimi odkrywcami wykształconymi w swym fachu. Tylko przypadkowe powodzenie uczyniło go wielkim i to powodzenie, które zawdzięczał swemu niezachwianemu zaufaniu w pewność swego celu, było tak wielkie, tak doniosłe w skutki na całe stulecia, iż z powodu czynu zapomina się chętnie o niedokładności planu i uzdolnienia. Po pierwszych podróżach, gdy nastąpiło otrzeźwienie i upadła wiara w ponętne opisy admirała o skarbach Nowego Świata, zainteresowanie się Nowym Światem znikło na długo. Dopiero gdy zdobyto złotodajne kraje Meksyku i Peru, znów ożywił się wpływ Nowego Świata na Europę. Nie był to jakiś obszar graniczny, kraj sąsiedni, który tu poznano: odsłonił się tu cały zupełnie nowy świat, świat

romantyczny pełen Amazonek i olbrzymów, świat, gdzie spodziewano się znaleźć władców złota i źródła młodości. Ale więcej, niż te utwory fantazji działała tu obfitość nowych rzeczy i nowych zjawisk, działało przekonanie, że «Nowy Świat» nie jest to tylko nowa nazwa, lecz rzeczywiście nieznanne dotąd, wielkie pole pracy dla wzrastającej ludzkości. Nietylko rozszerzył się tu horyzont, ale ziemia stała się większą, bogatszą niż dotąd. Powstała nowa arena dla działalności przyszłych pokoleń, arena tak wielka, tak bogata, tak swoista, iż z biegiem czasu mogła się wyswobodzić z zależności od Europy i stanąć ze Starym Światem ramię przy ramieniu do współubiegania się w uszlachetnianiu życia ludzkości.

Tak więc Kolumb przez odkrycie swoje otworzył nowe drogi dla dziejów ludzkości i to pozostanie jego zasługą, mimo wszystko, cokolwiek możnaby zarzucić jego osobie, jego charakterowi, jego zdolnościom żeglarskim.

Według *S. Rugego*.

CIEŚNINA MAGIELANA I JEJ OKOLICE.

Długość cieśniny Magielana dochodzi do 80 mil niemieckich lub 600 kilometrów, zaś szerokość jej waha się między trzema i trzydziestoma kilometrami. Wschodnia i zachodnia jej części kontrastowo różnią się od siebie. Na wschodzie rozpościera się nizina prerjowa, pozbawiona drzew; nakrywa ją niebo jasne, pogodne; wieje tu mocny, chłodny wiatr.

Na zachodzie prawie prostopadle do poziomu morza, piętrzą się wysokie, porośnięte bukami góry, powodujące zaleźnię od pory roku, albo ulewne deszcze, albo grad i śnieg. Cieśnina ta o ile jest ponura, o tyle i niesłychanie ważna pod względem handlowym—gdyż daje ona wielkim parowcom możność przedostania się w niższe szerokości z unięciem wysokiej fali oceanu.



Brzegi Ziemi Ognistej.

Wyprawą, która w drugiej połowie zeszłego stulecia udała się na tę cieśninę w celu czynienia pierwszych badań topograficznych, kierował kapitan Mayne. Podróżnicy na wschodnim patagońskim brzegu cieśniny napotykali niejednokrotnie Tehuelczów, których towarzysze Magielana z powodu wielkich stóp (zwiększonych niezgrabnym obwodem) nazwali w swoim czasie *patagonami* (ludźmi o wielkich nogach). Byli oni odziani w swój zwykły strój ze skóry guanaków, który czynił ich pozornie jeszcze roślejszemi niż są w istocie. Wódz ich Casimiro mówił po hiszpańsku i przy pierwszym spotkaniu z kapitanem poprosił go o dwie butelki rumu, ale jak zastrzegł sobie nie dla całego plemienia, tylko w darze dla wodza od wodza. Kapitan Mayne zadał sobie trud zmierzenia niektórych mężczyzn; znalazło się wielu, których wzrost przenosił dwa metry—przeciętna zaś miara wynosiła od 1,80 do 1,90 metra. Kobiety były prawie równie wysokie. Trzeba dodać, że Patagończycy noszą strój, który powiększa ich wzrost w tym stopniu, jak suknia kobieca—mężczyznę naszej rasy. Z tego względu czynią wprost wrażenie olbrzymów.

Patagończycy zamieszkują wyłącznie wschodnią część wybrzeża cieśniny i nie zapuszczają się dalej na zachód, niż do chilijskiej osady Punta-Arenas; nie posiadają oni łodzi i czują wielki wstręt do podróży wodnych.

Różnią się oni nadzwyczajnie od mieszkańców górzystych i lesistych okolic zachodnich, a nawet od mieszkańców wschodniej części Ziemi Ognistej, która oddzielona jest od nich zaledwie wąską cieśniną.

Z pomiędzy mieszkańców Ziemi Ognistej zwanych ogólnie Peszeresami, ci, którzy mieszkają na wschodzie są piękniejsi, roślejsi od swoich sąsiadów zachodnich, prawdopodobnie dla tego, że obficie odżywiają się mięsem guanaków.

Mieszkańcy zachodniej części Ziemi Ognistej osiedli wzdłuż zachodnich kanałów i zamieszkują też po drugiej stro-

nie cieśniny. Różnią się oni od Patagończyków pod wszystkimi prawie względami, są zazwyczaj małego wzrostu, źle zbudowani i o brzydkich rysach twarzy; mają jednak nad ostatniemi jedną przewagę: mianowicie wstręt do wina i do wódki. Kapitan Mayne czynił z niemi w tym względzie różne próby, ale nie mógł ich skłonić do powtórnego skosztowania żadnego z wyżej wymienionych napojów, podczas gdy Patagończycy piją tyle, ile tylko mogą dostać. Wśród mieszkańców Ziemi Ognistej szczególnie rozwinięte jest naśladownictwo; powtarzali wszystko, co do nich mówiono—zwłaszcza chętnie nucili pieśni załogi okrętowej. Zato gwizdanie okropnie raziło ich uszy. Szczególną przyjemność sprawiało im przyglądanie się oficerom, spacerującym parami po pokładzie; naśladowując ich podawali sobie ręce, chodzili za niemi i bacznie wpatrywali się w ich plecy, by w razie zawrócenia spacerujących natychmiast uczynić to samo. Podczas pomiarów okręt kapitana Mayne zawinął do małej zatoczki przy brzegach wyspy, noszącej nazwę Św. Magdaleny, która dotąd nigdy nie była odwiedzana przez ludzi. Okręt otoczyły całe setki fok, które w najwyższym zdumieniu przypatrywały się jego wtargnięciu w ich odwieczne siedliska; skały zaś nadbrzeżne pokryte były tysiącami tłustych pingwinów, które nie zdradzały najmniejszego zaniepokojenia. Widać żadne ze zwierząt zamieszkujących zatokę, nie nauczyło się dotąd uważać człowieka za wroga. Gdy majtkowie wdarli się na skały, pingwiny zbiegały się ku nim i szczypały ich w łydki.

Okręty wojenne i parowce handlowe, dążące do Valparaiso (na zachodnim wybrzeżu Ameryki) unikają burzliwej drogi koło przylądka Horn i wolą płynąć przez krętą cieśninę Magielana.

Żegluga przez cieśninę Magielana należy do najciekawszych, wymaga jednak koniecznie pięknej pogody. Biada okrętowi, który zapuści się tutaj w czasie burzy,

pośród potoków deszczów, lub nieprzeniknionej mgły. Dla nas, mówi pewien podróżnik, losy były łaskawe, to też mogliśmy dokładnie i spokojnie obserwować coraz wspanialszą okolicę, jaka się przed nami roztaczała.

Wpływamy do cieśniny od wschodu. Po lewej naszej stronie rozciąga się okolica płaska z wybrzeżami nagiemi; tu i owdzie wybrzeże wznosi się wyżej i jest pokryte ponuremi lasami, za nimi lśnią dalekie, śniegiem pokryte góry. Statek płynie szybko i przenosi nas wkrótce do zachodniej części cieśniny. Tutaj znajdujemy się wśród chaosu skał i zatok, lasów i łąk, wód i lodów, blasku słonecznego i głębokiego cienia — otacza nas niby jakiś świat bajeczny. Gdy zwrócimy oczy naprzód, to strome ściany, obejmujące cieśninę, zdają się tak blisko zbiegać ze sobą, iż jesteśmy w obawie, że statek nasz zetknie się z jakimś innym, który może płynąć w stronę przeciwną. Trzebaby wiele wysokich wież postawić jedną na drugiej, ażeby dorównać wysokości stromych skał, które z prawej i lewej strony statku wznoszą się ku niebu; nasz olbrzymi statek wygląda między nimi jak nędzna łupina orzecha. Na szczytach tych skał rosną drzewa opromienione blaskiem dnia, podczas gdy tu na dole głęboki cień zalega nad spokojnym zwierciadłem wody. Przed nami ukazuje się nagle groźny labirynt skał, ku którym nasz statek szybko żegluje; za nami droga została zda się zamknięta przez niedostępne wyniosłości. Teraz znajdujemy się tuż przed skałą sterczącą z wody, groźną dla żeglarzy; zdaje nam się, że dalsza droga jest niemożliwa, tymczasem nagle ukazuje się ostry zakręt dalszego ciągu cieśniny. Najpołudniwszy punkt lądu amerykańskiego przylądek Forward pozostał dawno za nami; góry z wiecznymi śniegami i lodami również zostały przebyte. Przybywamy teraz do krainy obfitych deszczów i bujnej roślinności. Coraz częściej na wybrzeżu pojawiają się potężne buki z gałęziami rozpostartymi ponad wodą; rozwijają się tu

one bujniej niż na innych wybrzeżach morskich, gdyż liczne obfite w wodę strumienie zmniejszają tu szkodliwą dla roślin słoność wody morskiej; między drzewami występuje tu bujne podszycie leśne. Cieśnina wygląda jak rzeka, płynąca wśród jakiejś błogosławionej krainy.

Nagle z lewej strony ukazuje się potężna masa lodowa wkraczająca w morze: lodowiec olbrzymich rozmiarów, w porównaniu z którym lodowce naszych Alp wydają się nędznymi karłami. Kapitan statku nakazał zwolnić biegu, gdyż nierzadko od dolnego końca lodowca odrywają się wielkie kawały lodu i płyną groźnie ku zbliżającemu się statkowi.

Szczęśliwie jednak mijamy i tę przeszkodę. Przed nami rozlewają się znów spokojne wody, żaden podmuch nie marszczy ich powierzchni. Jednak wysoko na sklepieniu nieba pędzą obłoki i świadczą, że poza cieśniną na otwartym oceanie szaleje groźny orkan południowo zachodni. Ażeby uchronić się od jego wściekłości, kapitan rozkazuje zwrócić statek ku jednemu z głęboko wrzynających się w łąd fjordów.

Szalupa, spuszczone z okrętu, przenosi mnie szybko na wybrzeże. Wspinam się w górę, doliną potoku i obserwuję bogatą roślinność. Rośliny, które pod surowym niebem Ziemi Ognistej chcą utrzymać byt, muszą być bardzo twarde i odporne, ale w takim razie rozwijają się one już bardzo bujnie pod wpływem obfitych opadów. Na płaskich obszarach części wschodniej rosły tylko trawy; tutaj zaś zbocza gór od samej powierzchni wody są porośnięte gęstymi lasami. Tylko samo wybrzeże zachodnie, wystawione na silne wiatry od oceanu, nie posiada roślinności drzewnej; dalej zaś możemy wstępować po zboczach gór na wysokość 300, a nawet 400 metrów, a zawsze znajdujemy się pośród pięknego lasu.

Wyżej kończy on się, a w jego miejsce występują torfo-

wiska. Stąpamy ostrożnie po tym zdračnym gruncie i przybywamy wreszcie w te wysokości, gdzie panują wieczne śniegi — gdzie zimno zabija wszelkie życie.

Według „*Auslanda*“ i zbioru *Kleinschmidta*.

PRZYŁĄDEK HORN.

Wielkie znaczenie posiada dla żaglowców droga morska kolo przyłładka Horn; a jednak, nawet obecnie, mimo wielkiego rozwoju sztuki żeglarskiej, budzi ona w marynarzu poważne obawy. Wie on dobrze, że czeka go na niej burzliwa podróż — i zawczasu przedsięwzięże wszelkie ostrożności.

Śnieżne wierzchołki skał Ziemi Ognistej są prawie zawsze otoczone chmurami, z którymi igra surowy, zimny wiatr. Kapitan okrętu, gdy mu się zdarzy trafić szczęśliwie na bezchmurne niebo i wiatr przyjazny, stara się nie stracić ani chwili czasu, gdyż wie dobrze, że jeden dzień zmitrężony może go narazić na przedłużenie podróży o trzy lub cztery burzliwe tygodnie.

Ale marynarze trafiają przeważnie na niebo szare, ostry, wilgotny, zimny wiatr i pociemniałe bez żadnego połysku morze, które zaledwie się odcina od równie ciemnego horyzontu i stanowi rażący kontrast z lśniąćciami falami oceanu międzyzwrotnikowego. Łąd czyni wrażenie równie przerażające. Strome i mroczne brzegi skalne występują z morza prostopadle i rozbijają piersiami zapienione, na pół masztu wysokie bałwany. Na Ziemi Ognistej wszystko jest ostre i zębate; ściany skalne występują jedne z poza drugich, jak kulisy, lub wznoszą się ponad sobą pięćrami. Uzupełnienie tego dzikiego obrazu stanowi śnieg, jaskrawo odcinający się od ponurego tła skał; nad kanałami leży gęsta mgła, która podnosi się powoli i łączy z masą ciemnych chmur.

Uczony podróżnik Edward Pöppig, który w styczniu opływał przyłładek, zaskoczony był przez groźną burzę. Przez



Przylądek Horn.
<http://rcin.org.pl>

okręt przelewały się olbrzymie bałwany, które uniosły z pokładu dwie szalupy i uszkodziły bok nawy. Wokoło panowały nieprzejrzone ciemności, tylko morze cudownie świeciło i po grzbietach fal przebiegały białe, jak śnieg, migotliwe, przerażające błyski. Przy bladym świetle poranka widać było niewyraźne zarysy jakiejś mrocznej masy.

Był to słynny przyładek Horn, który zasługuje na uwagę z dwojakich względów: jako krańcowy punkt wielkiego kontynentu i jako świadek wielkich przedsięwzięć, dzięki którym wytrwały europejczyk zdobył panowanie w najodleglejszych krajach i zaszczerpił w nich swoją cywilizację.

I rzeczywiście przyładek Horn reprezentuje godnie kresową granicę tak wielkiej części świata. Z którejkolwiek strony byśmy go oglądali, zewsząd przedstawia się on, jako odosobniony, majestatyczny kolos, który wkracza w wieczyste burzliwe morze Antarktyczne i spokojem olbrzymia zdaje się wyobrażać zwycięstwo skał nad falami. Wielka i samotna masa jego skał rozpada się na rozmaite grupy, podnoszące się od północo-wschodu i kończące się na południu pojedynczym, zaokrąglonym szczytem górskim, którego stopy liżą fale morskie.

Mroczna i monotonna, pozbawiona wszelkiego śladu roślinności i niedostępna dla nikogo, nawet dla dzikich, skała nadstawia czoło wichrom antarktycznym — i nawet niezliczone rzesze ptaków, zamieszkujących te morza, mijają ten głąz niegościny.

Według *Karola Andrée*go.

PESZERESY.

Karol Darwin, który zwiedzał Ziemię Ognistą, tak opowiada o spotkaniu z Peszeresami: „Główny nasz interlokutor, starzec, wyglądał na naczelnika rodziny; było z nim trzech wspaniałych młodzieńców, mających około sześciu stóp wysokości; kobiety i dzieci zostały odesłane.

Ci Peszeresy stanowią uderzający kontrast z nędzną, karłowatą rasą, zamieszkującą dalej na zachód, i są spokrewnieni blisko, jak się zdaje, ze słynnemi Patagończykami cieśniny Magielana. Strój ich stanowi jedynie płaszcz ze skóry guanaka, włosem na wierzch; płaszcz ten zarzucają oni na ramiona, tak iż ciało ich równie często jest zupełnie nagie, jak i okryte. Skóra ich ma barwę miedziano czerwoną, lecz brudną.

Starzec miał na głowie przepaskę uwieńczoną białemi piórami i utrzymującą w części jego czarne, grube włosy, stanowiące nieprzenikloną gęstwę. Dwie poprzeczne wstęgi ozdabiały mu twarz: jedna, jaskrawo czerwonego koloru, ciągnęła mu się od ucha do ucha, przechodząc przez górną wargę; druga, biała, jak kreda, przechodziła równolegle do pierwszej na wysokości oczów i pokrywała powieki. Towarzysze jego mieli również ozdoby z wstążek uczernionych węglem. Razem wzięwszy, rodzina ta była zupełnie podobna do tych djabłów, których pokazują na scenie w *Freyschützu* i innych podobnych sztukach.

Na twarzach ich widać było zdziwienie i zaniepokojenie. Gdy jednak daliśmy im po kawałku szkarłatnej materji, któremi natychmiast owiązali sobie szyje, okazali nam tysiące dowodów przyjaźni. Starzec, by nam jej dowieść, głaskał nam piersi, wydając wciąż dźwięki, podobne do tych, jakimi nawołuje się kurczęta. Szedłem parę kroków ze starcem i ten powielokroć powtórzył względem mnie swe objawy przyjaźni, wreszcie na zakończenie dał mi trzy dość silne klapsy w piersi i plecy. Następnie odkrył swą pierś, bym mógł mu oddać tę uprzejmość, co też uczyniłem, uszczęśliwiając go tym niezmiernie. Z naszego punktu widzenia język tego ludu zasługuje zaledwie na miano artykulowanego. Kapitan Cook porównywał go z dźwiękiem, jaki wydaje człowiek, płukający sobie gardło, napewno jednak żaden europejczyk nie wydawał nigdy nawet przy tej czynności dźwięków tak ostrych, tonów tak gardłowych“

Gerlache, który niedawno zwiedzał Ziemię Ognistą, tak opisuje jedno z plemion tamtejszych, Peszeresów, noszące nazwę Ona.

Żyli oni zawsze we wnętrzu właściwej Ziemi Ognistej; toteż długo szczęśliwie pozostawali nieznanymi dla badaczy. Przez ciąg całych wieków byli jedynymi i niezaprzeczonemi panami tej wielkiej wyspy; drugie plemie, Yahganie osiedliło się na wybrzeżu kanału Beagle, a trzecie—Alakalufowie wzdłuż wybrzeża zachodniego. Ale ani jedni, ani drudzy nigdy nie zapuszczali się w głąb wyspy.

Góry wschodu i środka wyspy, oraz olbrzymie łąki na północy były przez Onów zazdrośnie strzeżone, jako ich terytorja łowieckie aż do ostatnich lat.

Okolice te uważane były za bezwartościowe. Pierwszym, który — na nieszczęście Onów — wpadł na myśl założenia tu estancji, był agent konsularny angielski w Punta Arenas. Sprowadził on owce z wysp Falklandzkich i powierzył osadę misjonarzowi. Ten wysoce dyplomatyczny środek do zdobycia przychylności rządu chilijskiego (estancja znajduje się na chilijskiej części Ziemi Ognistej) i do otrzymania odeń bezpłatnie obszernych nadań, miał też, według zręcznego agenta, mieć znakomity wpływ na nieszczęśliwych Onów, których obdzierano z ich własności. Misjonarz, mający ich nawrócić, spodziewał się z Bibliją w rękę, uczynić tych wolnych synów natury — stróżami bydła, które ich kosztem miało żyć i rozwijać się. Przez wiele miesięcy Onowie schodzili się w wielkiej liczbie słuchać słowa Bożego; ale każdej nocy uprowadzali ze sobą owce.

W tych warunkach interesy właściciela estancji mogły przyjąć zły obrót: wówczas zaczęły przemawiać strzelby i łowcy Indjan ukazali się na widowni.

Funt sterling za głowę Ona, zabitego na ich ziemi, oto cena, jaką bogaci hodowcy, między których dziela się dzisiaj równiny Ziemi Ognistej, opłacali służbę

nędných włóczęgów, których te mordy były jedynym przemysłem.*)

Osaczeni, jak dzikie zwierzęta, Onowie chronili się tylko w kolonji Anglika Bridgesa, Harbertonie i w misji katolickiej Rio Grande, gdzie ich pozostawiają w spokoju.

Tak jednak tęsknią oni za wolnością, że nigdy nie mogą pozostać dłużej w tych osadach. Uciekają wciąż w góry, by umierać tam z głodu i zimna, patrząc z oddali na równiny, gdzie plemię ich żyło szczęśliwie.

Czyż można się dziwić, że niekiedy spuszczają się oni z gór, by dokonywać «razzii» na trzody, kraść pasterzom konie i zabijać je na pożywienie lub wreszcie zamordować kilku białych w odwecie?

Gromady konnych strzelców puszczają się wówczas w pogoń za Indjanami, których jedynym zbawieniem jest dopaść granicy chilo-argentyńskiej. Rząd chilijski nie zezwoliłby na wdarcie się do jego terytorjum siły zbrojnej argentyńskiej, tak samo, jak rząd argentyński nie zniósłby podobnego wykroczenia ze strony Chilijczyków; w tej to rywalizacji ludzi białych leży najważniejsza ochrona ostatnich Onów.

Zdarzało się mimo to, że taka banda wyczerpanych, umierających Onów udawała się sama do jakiej wielkiej estancji z żądaniem, by właściciel ustąpił im pas ziemi w pobliżu rzeki, gdzieby mogli żyć, swobodnie, oddając się polowaniu i rybołówstwu, wzamian za co zobowiązywali się nie tykać ani jednej owcy.

Wszystkie jednak układy tego rodzaju kończą się niezmiennie dwojako: któregoś pięknego poranku Indjanie wynoszą się, skradszy masę bydła; albo też żołnierze argien-

*) Waham się, mówi Gerlache, czy przytoczyć tu fakt straszniejszy jeszcze, który opowiadają tam: rząd jednego z państw europejskich wysłał na Ziemię Ognistą misję naukową, której członkowie chwyтали jakoby Onów, zabijali ich, ćwiertowali na miejscu i zabierali ich szkielety, które miały wzbogacić kolekcję pewnego muzeum etnograficznego.

tyńscy, wysłani dla ukarania jakiegoś przestępstwa, porywają Onów, by ich przerzucić w pustynie Gran Chaco, gdzie ci giną nędznie.

Polowanie na guanaki jest mniej ohydny, ale równie skutecznym, jak polowanie na ludzi, dopełnieniem dzieła wytępienia Indjan.

Guanako jest dla Peszeresa tym, czym ren dla Lapończyka. Jest to zwierzę przeżuujące, gatunek lamy, którego wyborne mięso stanowi—a właściwie stanowiło—prawie wyłącznie pożywienie Onów; z futra jego ma Ona ubranie i wyścieła nim wnętrze swego nędznego namiotu; ścięgien jego używa do spajania skór, a z zaostrzonych kości robi igły. Ściągają dostarczają Onowi również cięciwy do łuku; strzały zrobione są z pręta buku antarktycznego, rozciętego z jednego końca; w szparę tę jest włożony kawałek szkła od butelki (jedyne nabytek naszej cywilizacji u Peszeresów), zręcznie zaostrowany i przymocowany bardzo silnie zaciśniętym ścięgnem.

Onowie, którzy są zdumiewająco zwinni, często chwytają guanaki w biegu; w sporcie tym pobiliby oni wszystkich specjalistów świata.

Guanaki, niegdyś bardzo liczne, pasły się na olbrzymich łąkach równiny. Ponieważ trawa tych łąk jest obecnie przeznaczona dla cennych owiec, które wzbogacają estancjerosów, ci ostatni rozpoczęli bez wahania tępienie guanaków. Ścigali oni guanaki, których skóra ma zresztą pewną wartość, i zabijali je masami. Reszta guanaków schroniła się, podobnie jak Indjanie, w góry, gdzie nie można ich prawie ścigać, ale gdzie trudno przychodzi im znaleźć jakieś pożywienie.

Gdy już nie będzie guanaków, zabraknie też i Onów. Wtedy dopiero ustanie dzika walka.

Według *Darwina i Gerlache'a.*

WYCIECZKA W KORDYLJERY CHILIJSKIE.

Położenie stolicy Chile, Santjago, jest cudownie piękne; miasto jest otoczone zielonym wieńcem ogrodów, ujętym w postrzępione ramy śnieżnych Kordyljerów. Tym sposobem Santjago pod względem piękności położenia wspólnie ubiega się ze słynną pod tym względem stolicą Brazylii.

Ale pragnęliśmy—mówi pewien podróżnik—poznać kraj i ludzi. Szybko więc opuszczamy miasto i według tu-tejszego zwyczaju puszcza się w drogę konno w towarzystwie pewnego bogatego Chilijczyka, sennora Osorio, który się udawał dla zwiedzenia swych licznych majątków, rozproszonych po różnych prowincjach.

Wkrótce pędzimy, jak tu jest we zwyczaju, galopem po źle utrzymanej drodze; towarzyszą nam dwaj *peones* (słudzy) z pakunkami. Przed nami roztaczają się malownicze krajobrazy; z prawej i lewej strony drogi ciągną się rozległe pastwiska z wielkimi stadami bydła i koni; widać też wiele owiec, które dostarczają mieszkańcom materiału na odzież. Wszędzie widoki pełne życia: tutaj walczą ze sobą dwa byki, tam pędzi stado koni z wiatrem w zawody, owdzie bojaźliwe owce unykają przed rozbrykanym źrebięciem. Jezdni pasterze pilnie strzegą powierzone sobie zwierzęta i gdzie świśnie łąka, tam szybko porządek. Każde z tych półdzikich zwierząt zna dobrze groźną pętlę i nawet rozwścieczone byki mają przed nią respekt.

Z tego, co spotykamy na drodze, najbardziej zwracają naszą uwagę niezgrabne, przez woły ciągnięte wozy, zwane tu karetami; wozy te są zbudowane wyłącznie z drzewa i niegarbowanej skóry wołowej, niema na nich ani kawałka żelaza. Koła są pełnemi kręgami, odpiłowanemi z pni drzewnych i przy obracaniu skrzypią przeraźliwie. Jedna z karet takich mija nas właśnie; ma ona dwa ol-

brzymie, na jakie dwa metry wysokie koła, z silną osią dębową; na tym spoczywa ciężka buda drewniana. Sześć par wołów porusza z wolna tę maszynę, naładowaną ciężarami. Woźnica siedzi na przodzie i trzyma w rękę długą dzidę trzcinową z ostrzem żelaznym. Jeden z wołów nie posłuchał właśnie krzyku woźnicy i dostaje za to bolesne pchnięcie. Pasza dla wołów jest przytroczo-
na do dachu karety. Dalej znów spotykamy grupę jeźdźców, wśród których jedzie piękna dama na ognistym rumaku. Coraz nowe obrazy zmieniają się na naszej drodze; szczególnie malownicze ubrania jeźdźców w rozwiewających się ponchach zwracają naszą uwagę.

Naraz słyszymy dzikie okrzyki, rzenie koni i szczekanie psów. Chilijczycy wstrząsnęli się, jakby iskrą elektryczną rażeni; słychać głosy «el leon! el leon!» Ziemia się zatrzęsała: około czterdziestu jeźdźców i chmara psów przebiega równinę. Mój towarzysz i jego dwaj peoni, jako nieodrodni Chilijczycy, przyłączają się do tej dzikiej pogoni za amerykańskim lwem, to jest pumą. Gdzie ten rabuś, niebezpieczny dla kóz, owiec, cieląt i ptactwa domowego, tylko się pokaże, tam każdy mężczyzna odrazu skacze na konia i z krzykiem «el leon! el leon!» pędzi za uciekającą pumą; gdy tylko ten okrzyk posłyszają psy, przyłączają się z wyciem do pogoni; jeźdźców też przybywa ze wszystkich stron. I tak dzika pogoń rośnie, jak lawina; a że w każdym majątku znajduje się tu około 20—30 kundli, więc wkrótce zbiera się ich porządna gromada.

Tak rozwija się polowanie i teraz; konie skaczą, jak sarny, przez rowy, płoty, parkany i inne przeszkody. Dla nich niema, zdaje się, żadnych niepodobieństw, a dla jeźdźców ta karkołomna jazda jest prawdziwą rozkoszą, gdyż prawie każdy Chilijczyk jest jeźdźcem nieustraszo-
nym. Puma ucieka zrazu w prostym kierunku, następnie zaczyna rzucać się w bok, co Chilijczycy przy-
<http://rcin.org.pl>

mują radosnemi okrzykami, jako dowód zmęczenia. Teraz pumę wstrzymuje tafla jeziora; jak wszystkie koty, boi się ona wody, więc skręca w bok i wpada na mego towarzysza. Około głowy jeźdźca zawirowało lasso i niby wąż, owinęło się wokół szyi zwierzęcia; koń z szybkością błyskawicy staje dęba, zawraca i pędzi jak strzała napowrót, ciągnąc pumę za sobą. Nawpół zduszonego zwierza dopędzają inni jeźdźcy, biją batami, kolą nożami i zasypują kamieniami. Jeden z peonów mego towarzysza jedzie do najbliższej gminy, by odebrać nagrodę za upolowanie pumy. Pozostali jeźdźcy jadą do poblizkiej gospody (fonda) i piją wino, nie zsiadając z koni. Wkrótce przybywa z gminy peon, a mój towarzysz odbiera nieznaczną sumę z taką dumą, jak generał order za pomyślne polowanie na ludzi.

Dalej jedziemy przez kraj, przedstawiający coraz nowe piękności. Ku wieczorowi przybywamy do haciendy senhora Osorio; tutaj postanowił on pozostać przez dni kilka, ażeby dowiedzieć się o stanie swych pól i stad i załatwić rachunki ze swemi *inquilinos*. Tutaj poznajemy pewien szczegół życia chilijskiego, mianowicie położenie pewnej klasy ludności.

Jak to wciągu naszej drogi mogliśmy już zauważyć, dobra właścicieli ziemskich są otoczone większą lub mniejszą ilością małych sadyb, w których mieszkają *inquilinos* ze swemi rodzinami. Ludzie ci znajdują się w takich stosunkach do bogatych właścicieli ziemskich, które trudno byłoby przypuścić w kraju wolnym, republikańskim, jak Chile. Dochody wielkich właścicieli są olbrzymie, dosięgają one rocznie 150 tysięcy marek i więcej, pieniądze zaś nawet w republikach dają człowiekowi władzę oraz narzędzie wyzysku; to też część ludności wolnej republiki chilijskiej żyje poprostu w niewoli; są to właśnie owi *inquilinos*. Popaść w klasę *inquilinos* może człowiek w rozmaity sposób: haciennero odstępuje mu naprzykład kawałek swej wielkiej posiadłości, zobowiązując go do

czynszu; albo wypożycza mu w złych czasach pewną sumę pieniędzy, których biedak nigdy nie będzie mógł oddać; albo pozwala mu ze swego sklepu brać na kredyt rozmaite, nieraz zupełnie bezużyteczne rzeczy, np. drogie materje dla żony i córek, biżuterje, srebrne ostrogi, ozdoby na siodła, narzędzia rolnicze, charqui (wołowina suszona na powietrzu), cukier i inne rzeczy. Zwykle haciennero zobowiązuje zato inquilina do różnych posług: musi on np. przez pewien czas pracować w polu gospodarza, wozić drzewo, młócić zboże, naprawiać drogi, przyręczać bydło z gór i t. d. Ponieważ Chilijczyk jest po większej części człowiekiem lekkomyślnym, więc taki zależny inquilino pogarsza zwykle jeszcze swe złe położenie; nabiera on wciąż coraz więcej bezpotrzebnych drobiazgów ze sklepu swego wierzyciela i włazi tym sposobem w takie długi, których nigdy nie będzie w stanie zapłacić. Jeżeli haciennero sprzedaje swój majątek, to razem z nim sprzedawani są też i inquilinos. Wówczas biedacy ci czują się szczęśliwemi, że nowy pan płaci ich długi dawnemu i że z jednej niewoli przejdą do drugiej. Inquilino trapi się ciągle niepewnością swego położenia, nigdy nie wie, jak długo pozostawać będzie u danego wierzyciela. Do tego rodzaju stosunków społecznych przyczyniają się tutejsze warunki klimatyczne, przy których rolnictwo jest niemożliwe bez sztucznego nawadniania: urządzenia te zaś wymagają znacznych kapitałów, więc tylko bogaci właściciele mogą tu prowadzić gospodarstwo rolne.

Mój uprzejmy gospodarz, sennor Osorio, zapoznawszy mię z życiem wiejskim, postanowił przygotować mi miłą i pouczającą niespodziankę i przeprowadził wszelkie do niej przygotowania w zupełnej tajemnicy: chodziło o wycieczkę na Cordillera Alta, w wysokie Kordyljery, owe olbrzymie górskie we wschodnim pasie kraju, tak nazy-

wane w przeciwieństwie do Kordyljerów nadbrzeżnych—
Cordillera de la Costa.

Dziękuję mu serdecznie za ten nowy dowód gościnności i uprzejmości, ale on broni się ze śmiechem i radzi poczekać, czy rzecz ta w wykonaniu równie mi się podobać będzie, jak w idei:—Musi pan swe europejskie pojęcia o drogach pozostawić w domu; jestto wycieczka uciążliwa, a nawet zuchwała i obawiam się, abyś pan nieraz nie pomyślał sobie, że chcę uwolnić się od gościa przez strącenie go w przepaść. Podróże w górach odbywają się tu tylko konno. Będzie pan musiał jechać po ścieżkach, które w Europie wcale nie uchodzą za ścieżki, które ciągną się na szerokość dłoni między zięjącami przepaściami. Pański koń będzie się wspinał po skalistych schodach, przeskakiwał przepaście, przepływał rwące potoki. Nieraz zobaczy pan pod swemi stopami w zawrotnej głębokości bielejące kości ludzi i zwierząt, które tam stoczyły się z pańskiej drogi. Jednakże niechaj się pan zbytnio nie przeraża, niech pan zaufa doskonałemu koniowi, który równie zręcznie wspina się po skałach, jak guanako. A gdy pan wróci do swej ojczyzny, będzie pan mógł opowiedzieć o swej wspaniałej podróży.

Nazajutrz o świcie czekają już konie i pięciu jezdnych peonów — rosłe i dzielne postacie. Wskakujemy na siodła, żegnamy rodzinę Osoria i odrazu cały nasz oddział puszcza się galopem, gdyż inny sposób jazdy jest tutaj nieznanym. Wzrok nasz błądzi z podziwem po rysujących się wdali górskich kolosach, ku którym unoszą nas ręce rumaki.

Porosłe lasami przedgórza ciągną się przed olbrzymią ścianą górską; tu i owdzie potężne masy skalne wysuwają się ostro w jaskrawym oświetleniu, wysoko lśnią śnieżne płaszcze i lodowe korony dalekich górskich olbrzymów. Tam wieczne śniegi, oraz zakrzepłe, nigdy nie

topniejące lody—tutaj w dole wspaniałe lasy, powabne gaje owocowe i rozległe, żyzne niwy.

Nareszcie jesteśmy wśród gór i odrazu mamy sposobność wypróbować naszą odwagę. Trzeba przebyć szumiącą rzekę. Peoni, jadący w awangardzie, skaczą bez namysłu w spienione fale; sennor Osorio również najspokojniej wjeżdża za nimi. Niema rady—i ja muszę uczynić to samo. Dzielne rumaki walczą wytrwale z siłą prądu, niejednokrotnie tracą grunt pod nogami i muszą płynąć, ale spokojnie i pewnie niosą nas przez szumiącą, spienioną, wirującą wodę i wreszcie dosiegamy przeciwnego brzegu.

Podobne przeszkody często trzeba przebywać i wkrótce wydają się nam one czymś zupełnie zwyczajnym. Teraz przed nami tak zwana «ścieżka», wspinająca się stromo na skały. Peoni pędzą swe konie w górę i ukazują nam się zdala, podobni do jaskółek, które przyczepiły się u stromej ściany skalnej i pełzają po niej powoli. W każdej chwili oczekujemy, że rumaki i jeźdźcy przewalą się wtył i runą w ziejącą przepaść, która otwiera się po prawej stronie straszliwej ścieżki. Patrzymy pilnie w straszną głębię, na której dnie szumi potok spieniony. Na małej wysepce skalnej, którą opływa burzliwa fala, widać bielejącą masę. Pytam mego towarzysza, co to takiego. — A to jeden z tych głupców, o których panu opowiadałem. Spaść z takiej niewinnej ścieżki! To niezdar!—Tak! tam w dole leżą zgruchotani, człowiek i koń; ciała ich pożarł kondor, a kości ubieliło słońce.

Podczas gdy dowiadywałem się tak miłych rzeczy, konie postępowały spokojnie i przezornie naprzód, każdy nasz ruch powstrzymujący groziłby śmiercią. Zwolna droga staje się szerszą, lecz nagle przed nami stroma ściana skalna. Cóż teraz? Niemożliwością zdaje się choćby krok jeden naprzód, podczas gdy o powrocie po wąskiej ścieżce w dół niema nawet co myśleć. Peoni nie uznają

takich niemożliwości. Puszczają konie, które krótkimi rzutami przeskakują ze skały na skałę; w podobny sposób i my posuwamy się naprzód. Jeźdźcy nie patrzą w dreszczem przejmującą głąb, w której za najdrobniejszym fałszy-



Krajobraz z Kordyljerów Chilijskich: dolina u północnego stoku wulkanu Akonkagua, w której znajduje się t. zw. *Nieve de los penitentes*, to jest śnieg pokutujących—grupa dziwacznych utworów słupowatych, wymodelowanych z pola firnowego przez promienie słoneczne, deszcze i wiatry. Postaci te są tak wysokie, że jeździec na koniu może się ukryć wśród nich. Zdaleka wydają się one grupą stojących lub klęczących postaci kobiecych, przybranych w długie białe zasłony. Każda postać jest sztywno wyprostowana, nadludzko wielka, a wszystkie wyglądają, niby skamieniałe grzesznice, wyczekujące na czarodziejskie słowo odkupienia.

wym stąpieniem konia czeka straszna śmierć; ani jeden muskuł ich twarzy nie zadrza wobec nowej niebezpiecznej przeszkody. Gdy tylko «ścieżka» staje się nieco szersza, nieustraszeni jeźdźcy znów puszczają konie galopem.

Teraz ścieżka prowadzi pewien czas pośród pojedynczo

stojących dzikich drzew brzoskwiniowych, następnie przez wąwóz bez śladu jakiegokolwiek roślinności. Żadna trawa się tu nie zazieleni, żaden kwiatek nie zabłyśnie; gdzie tylko oko się zwróci, wszędzie martwe ściany skalne lub nagie rumowisko. Powyżej grzbiety skalne pokrywa już śnieg — pierwszy napotkany.

Już wąwóz pozostawiliśmy poza sobą, krajobraz ulega zmianie. Po lewej stronie ciągnie się szereg nagich, przy-sadkowatych wzgórz. Cała okolica świadczy, że tu niegdys wulkan rozpościerał swe panowanie. Ostry wiatr uderza nas od strony Kordyljerów, nawet zahartowani peoni drżą z zimna. A więc naprzód, bez odpoczynku naprzód!

Znów wspinamy się po stromej ścianie i dosiegamy niewielkiej wyżyny. Tutaj zatrzymujemy się dla spędzenia nocy, gdyż w ciemności, pośród chaosu gór niepodobna postępować dalej. Peoni rozniecają szybko ogień, przy którym gotuje się rosół z suszonej wołowiny (charqui). Świeże górskie powietrze i męcząca jazda, zaostrzyły nasz apetyt, więc rosół nam smakuje, choć czuć go łojem.

Po kolacji nasi peoni ułożyli się do snu na miękkich skórach guanaków, okrywając się niemi zarazem. Pod błogostawionym niebem chilijskim śpi się wybornie; to też wkrótce regularne, głębokie oddechy peonów świadczą, jak błogim jest sen po ciężkich trudach dnia. Sennor Osorio gawędzi jeszcze ze mną czas jakiś, ale i on wkrótce zasypia, rozciągnięty na skórze.

Ja jednak zasnąć nie mogę. Otaczające cuda natury wprawiają mię w dziwny nastrój, odbierający sen. Dokoła naszego obozowiska wznoszą się w półkole góry, chroniące nas od zimnych wichrów. W dole szumi spieniony potok, przewalając się przez złomy skalne i progi. Zdaje mi się, iż słyszę jakąś prastarą, dobrze znaną pieśń, której przez długi czas nie pamiętałem, ale która tym silniej porusza serce, gdy zadźwięczy nagle wśród nocnej samotności. Tak

—daleko, daleko od tych miejsc, w górach i lasach mojej ojczyzny słyszałem wody górskie, tak samo bajecznie szumiące w ciche noce...

Nad naszym obozowiskiem roztacza się olbrzymia ciemnobłękitna kopuła nieba; niezliczone wspaniałe gwiazdy południowego niebamigocą jasno, podnosząc jeszcze bardziej uczucie podziwu. Błado świecąca piramida światła zodjakkalnego przyćmiewa bledszą drogę mleczną. Głęboko wzruszony, pogrążam się w myślach o wieczności i nieskończoności.

Nareszcie niebo zaczyna się w jednym miejscu rozjaśniać i nagle wynurza się z poza gór stary, ukochany księżyc, zalewając wszystko swym łagodnym światłem. Światło zodjakkalne blednie, głęboka, święta cisza, otaczająca nas dokoła, zdaje się jeszcze pogłębiać. Drzewa leśne w wąwozach szemrzają dziwnie, kołyszając mię do snu; zwolna zbliżam się do spopielalego ogniska, by również udać się na spoczynek.

Według zbioru *A. Kleinschmidta*.

DZIEŃ NA WYŻYNIE PERUWJAŃSKIEJ.

Budził się dzień. Słońce zaczynało zlekka czerwienić szczyty gór, pokryte wiecznymi śniegami, i do chaty owczarza przez zakopcony otwór w dachu, służący za komin, przenikało słabe światło budzącego się dnia. Porzuciłem me nędzne posłanie, podniosłem skórę, służącą za drzwi i wyszedłem, by osiodłać mego muła do dalszej podróży. Drżące od zimna, ze spuszczoną głową stało me poczciwe zwierzę w pobliżu, przywiązane do kamienia.

Osiodlałem je zgrabiałymi rękami i przerzuciłem wpoprzek worki, z których jeden zawierał prowianty, a drugi — zbiór wypchanych ptaków, które upolowałem dnia poprzedniego. Mój gospodarz, Indjanin podał mi strzelbę, ja ofia-

rowałem mu nieco drobnej monety i kilka papierosów za gościinę, zapytałem o drogę i pożegnawszy go, odjechałem, podczas gdy on wraz ze swym psem powrócił do chaty.

Gęsta, ciężka mgła pokrywała całą okolicę i zlewała się ze spadłym w nocy śniegiem w jedno białe tło. Po drodze spotkałem starą Indjanę, która gnała owce na paszę; zwierzęta szły przed nią, pobekując i pozostawiając głęboką bródę w śniegu; z niecierpliwością wyczekiwały one chwili, gdy zwycięskie słońce rozdrze mgły i zdejmie pokrycie śnieżne ze skąpego pastwiska. Nieco wyżej spotkałem nawpół dzikiego syna tej Indjanki, zajętego pilnie, przy pomocy psa, polowaniem na kuropatwy. Jechałem wciąż pod górę po zleń, ale dość łagodnej ścieżce; błota lub skały, na które nie można się było wspiąć, zmuszały mnie często do wielkiego nakładania drogi. Wiele godzin upłynęło, gdy wreszcie słońce rozdarło i rozpędziło mgły. Pokrzepiony na siłach, starałem się zorjentować wśród skalistej pustyni: znajdowałem się na wyżynie około 4400 m. wysokiej; otaczały ją złodowaciałe, zębate grzbiety górskie, z których pojedyncze, piramidalne olbrzymy strzelały ku niebu. Poza mną głębiej i głębiej rozścielały się czerniejące doliny niższego regjonu gór z zaledwie dostrzegalnymi wioskami Indjan; przede mną rozciągała się niezmiernie, pustynna, falista wyżyna, tu i owdzie poprzerrywana niskimi grzbiętami o stromych skalistych zboczach. Na tych wysokościach nie napotyka się ani motyla, ani muchy — żadnego owadu; tu i owdzie wlecze się leniwa ropucha, a wygłodniała jaszczurka poszukuje na kamieniu ciepła słonecznego, by rozgrzać swe zziębnięte członki. Jednakże im dalej jechałem, tym więcej dostrzegałem objawów życia. Pasły się tu parami piękne gęsi wyżynowe, skubiąc trawę na bagniskach, dzieciół z wrzaskiem stukał w skały, aby ze szczeliny wywabić jakiegoś ukrytego owada; echo powtarzało powielokroć te nieprzyjemne głosy. Ciemnozielony ibis przechadzał się obok mnie obojętnie, a w małej

kałuży płuśkały się liczne kaczki i laskonogie ptaki wodne.

Wiele już godzin jechałem tak po bezdrożach bez odpoczynku, gdy natrafiłem na zdechłego muła, który zapewne upadł pod ciężarem i był pozostawiony przez poga-



Kondor.

niacza na śmierć z głodu i pragnienia. Gdym się do niego przybliżył, spłoszyłem trzy wielkie sępy, które swym bystrym wzrokiem już odkryły padlinę i zasiadły do uczy. Dumnie podniosły głowy i rzucając na mnie ogniste spojrzenia swych krwawych oczu, wzniosły się na wielkich

skrzydłach i zataczały coraz mniejsze kręgi ponad moją głową; a jeden z nich pozostał w pobliżu, broniąc ze wściekłym krakaniem zdobyczy. Trzymając na wszelki wypadek strzelbę wymierzoną w górę, przejechałem szybko, nie mając zamiaru współubiegania się z rabusiami o zdobycz. Były to jedyne wrogie zwierzęta, jakie spotkałem na tych wysokościach. Nie napotyka się tu tych gorących walk tygrysa z bezgrzywym lwem, żaden wąż nie czatuje u bagniska na spragnionego jelenia, żaden drętвик nie atakuje kąpiącego się konia—jak to bywa na obszernych równinach amerykańskiego wschodu. Zdaje się jak gdyby ten wielki spokój górskich olbrzymów odbijał się również w zamieszkałych u ich stóp zwierzętach. Tak myślałem, błędząc samotny śród tych strasznych pustyń, gdzie sądziłem się być jedyną ludzką istotą, gdy ku wielkiej radości zoczyłem dwóch biednie odzianych Indjan, którzy pilnie zbierali gnój zwierzęcy, ażeby sprzedać go w najbliższej hucie srebrnej, jako najlepszy materiał opałowy; mały chłopiec strzegł pasące się lamy.

Droga moja, choć powoli, wznosiła się wciąż w górę i zacząłem już wraz z mułem odczuwać szkodliwy wpływ rozrzedzenia się powietrza: muł od czasu do czasu zaczął przystawać, zsiadłem więc z niego, by mu ulżyć, i szedłem piechotą; musiałem się zatrzymywać, by zaczerpnąć powietrza, ale i to mi się niezbyt udawało; próbowałem iść, ale opanowywała mnie jakaś nieopisana bojaźń; słyszałem jak serce moje uderza, oddech stał się krótki, urywany; zdało mi się, jakby całe góry leżały mi na piersiach; wargi mi zsiniały, nabrzmiały i zaczęły pękać; nabrzmiałe drobne żyłki w powiekach też zaczęły pękać i krew wypływała kroplami. Bystrość zmysłów zaczęła słabnąć: przed oczami, z których wypływały krwawe łzy, pojawiła się mgła, doznawałem zawrotu głowy; cały drżący musiałem się położyć. Prawie bez zmysłów leżałem jakiś czas na ziemi, póki nie przyszedłem do siebie na tyle, że, choć

z trudnością, mogłem dosiąść muła. Tymczasem czarne, groźne chmury zgromadziły się na niebie, niezliczone błyskawice zaczęły je rozdzierać, zbliżające się grzmoty groziły bezdomnemu. Ale główne chmury nagromadziły się ciężkimi masami dokoła szczytów górskich, bogatych w metale i tylko lżejsze obłoki pędziły w moją stronę; wkrótce jednak wysypała się z nich zamieć śnieżna, którą lodowaty wiatr smagał mi twarz, utrudniając oddech. W niespełną pół godziny całą okolicę pokrył śnieg na stopę głęboki; bagna i wzgórze, doliny i stoki skalne stały się jedną białą równiną; wszelki ślad drogi zaginął i moje położenie pogarszało się z każdą chwilą. Gdybym wówczas znał tę okolicę tak dobrze jak dzisiaj, to byłbym się kierował według lotu ptaków; ale na moje nieszczęście pojechałem za śladem jakiegoś stada, który zgubił się wśród bagna. Zapóźno to zauważyłem, mój muł zagrzezał tak głęboko, iż nie mógł się wygramolić; z wielką ostrożnością zesunąłem się na ziemię i tylko z wielkim trudem udało mi się wygrzebać jego nogi i wyciągnąć go z powrotem na przebytą ścieżkę. Długo jeździłem tu i tam, szukając drogi wśród nieskończonego pustkowia. Wreszcie znalazłem ją; była ona wyznaczona przez mnóstwo szkieletów, które ostremi kośćmi sterczały z pod białej pokrywy—to ślady nieszczęśliwych zwierząt jucznych, które na tej drodze znalazły śmierć; dla zbłąkanego podróżnika były to znaki bardzo cenne, ale niezbyt obiecujące. Tymczasem jednak chmury się przerzedziły i palące promienie słońca odbiły się jaskrawo od powierzchni śniegowej. W jednej chwili dostałem strasznej choroby oczu, zwanej przez krajowców *surumpe*. Tylko po zasłonięciu oczu mogłem się puścić w dalszą drogę, trapiiony obawą, że grozi mi na całe życie cierpienie oczu, lub też zupełna ślepotą, gdyż rzeczywiście skutki takie obserwowałem bardzo często. Po upływie pół godziny proces poprzedni znów się powtórzył: nagle pociemniałe niebo przy silnym wichrze sypnęło piorunami i śniegiem,

następnie znów pojawiło się słońce, aby znów później skryć się za chmurami. Droga była ciężka, muł tylko z wielką trudnością brodził wśród głębokiego śniegu. Wreszcie zapadła noc; drżący od zimna i osłabiony głodem, zaledwie mogłem utrzymać w rękach cugle i nie czułem nóg; przytym miałem pewność, że najbliższe miejsce, gdzie można znaleźć schronienie pod dachem, znajduje się jeszcze o jakie 8 mil drogi. Śród ciemnej nocy, przez głęboki śnieg niepodobna było jechać dalej; przytym muł, który już przez czternaście godzin szedł wciąż pod górę bez pożywienia, ze znacznym ciężarem na grzbiecie, był zupełnie wyczerpany; myślałem też już, że zginę, czy to wskutek wciąż wzrastające zimna, czy też—coraz gęściej padającego śniegu; na szczęście jednak dostrzegłem wśród ciemności zwisłą ścianę skalną, w której była jaskinia—schronienie przed wiatrem i śniegiem; z trudnością rozsiadłem muła i przygotowałem z derek i płaszcza posłanie na wilgotnej ziemi. Muła przywiązałem w pobliżu do kamienia i wnet zaczął on rozgrzebywać z pod śniegu nędzne zioła górskie. I ja, też zgłodniały, zjadłem nieco pieczonej kukurydzy i kawałek sera i w najwyższym stopniu znużony rzuciłem się na posłanie; ale jeszcze długo krakanie ptaków nocnych nie dało mi spać. W nocy zbudziłem się z dokuczliwym paleniem w oczach; powieki były zlepione nawpół zakrzepłą krwią. Krzyczałem z bólu, nie było co myśleć o śnie; drżąc z bólu i z zimna, wyczekiwałem dnia, ale dla cierpiącego noc się przedłuża. Nad całą okolicą zalegała cisza śmierci i godziny wlokły się wolno; ta noc zdawała mi się nie mieć końca. Gdy sądziłem, że musi już być świt, otworzyłem z trudnością zboliałe oczy; ale na to tylko, aby lepiej przekonać się o okropności mego położenia: spostrzegłem z przerażeniem, że za poduszkę służył mi zmarznięty trup. Odwróciłem się ze wstrętem i wyszedłem, by poszukać muła, ale moje nieszczęścia

nie skończyły się jeszcze: biedne zwierzę leżało martwe na ziemi; w przystępie wielkiego głodu i w nocy nie zdołało dobrze rozróżnić ziół i zjadło trujące *garbancillo*. Biedny mój towarzysz podróży—tyle ciężkich chwil dzielił on ze mną!

Cóż pozostało mi czynić? Poranne słońce wznosiło się zwycięsko na niebie, równina, pokryta w nocy głębokim śniegiem, rozpościerała się teraz wolna i zielona, ptaki śpiewały wesoło, po skałach skakały zające, a długo-szyje sarny zbliżały się ciekawie, jakby nic nie wiedząc o okropnościach ubiegłej nocy. Jakaś pociecha wstąpiła i do mojej duszy i uspokojony wszedłem do jaskini, aby się przekonać kim był mój nieżywy towarzysz—czy może też jak ja podróżnik, który zginął z głodu i z zimna? Nie, był to pół-krwi Indjanin; liczne głębokie rany na głowie świadczyły, że został on zabity kamieniami rzuconymi z procy przez podstępnych Indjan, którzy go następnie tutaj zawlekli.

Wziąłem strzelbę, zastrzeliłem zająca, roznieciłem ogień i na kości, która zastępowała mi rozeń, upiekłem niezbyt smakowite śniadanie. Następnie oczekiwałem, co los mi przyniesie. Było już nieco po południu, gdy dały się słyszeć jakieś urywane krzyki. Wstąpiłem na najbliższą skałę i ujrzałem w głębi tych samych dwóch Indjan, którzy pędzili swe zwierzęta objuczone nawozem do pobliskiej huty. Szybko zbiegłem na dół i skłoniłem ich za ofiarowany tytoń do pozostawienia mi jednej lamy. Udali się oni ze mną do jaskini i włożyli na lamę moje pakunki; z uczuciem bolesnego smutku rzuciłem garść ziemi na trupa i opuściłem to nieszczęsne miejsce.

Tschudi.

WRAŻENIA Z PERUWJI.

Zrazu miałem zamiar opowiedzieć ci szczegółowo me przeprawy przez wiecznym śniegiem pokryte góry, opisać: klimat, wegetację i ludność, przebywającą na lodowatych wyżynach Kordyljerskich, a przede wszystkim dać ci poznać technicznie owe roboty, przedsięwzięte przez rząd Peruwjański u źródeł rzeki Rimac dla uregulowania jej biegu; ale dostawszy się na miejsce mego przeznaczenia, postanowiłem ograniczyć się na opisanie drogi żelaznej, wiodącej z Lima do Oroya, jako najciekawszej części mej podróży, odkładając na później dalszy ciąg mego opowiadania.

Zaczynam od nazwiska autora tego olbrzymiego dzieła, inżyniera Ernesta Malinowskiego, który na swoją i imienia polskiego chwałę nie tylko podał myśl połączenia żyznych dolin Amazonki z Oceanem Spokojnym, ale jeszcze myśl tę w wykonanie wprowadził. I bez przesady powiedzieć można, że jeżeli wielką, polityczną i ekonomiczną była myśl zaludnienia dziewiczego stoku Andów, zaszczerpienia cywilizacji, przemysłu i handlu wśród bogatych lasów, przerzniętych najwspanialszemi rzekami spławnemi, o jakich tylko marzyć można; to znowu wykonanie podobnego pomysłu wymagało wiele odwagi, zmysłu inicjatywy i znajomości sztuki inżynierskiej. Wzniesić się z ciężkim pociągami parowym na blisko 5000 metrów ponad poziom morza w stosunkowo tak małej odległości, która oddziela Ocean Spokojny od szczytu Andów, przełamać naturalne przeszkody, napotykanne w konwulsyjnie ukształtowanych górach Kordyljerskich, niezważać na śnieg, pioruny i brak powietrza, który na tej wysokości zaczyna odmawiać przystępu wszelkiej istocie żyjącej, oto zadanie równie trudne i zuchwałe, jak użyteczne i godne podziwu.

Historja tej kolei jest bardzo krótka i niedawna. W roku 1859 Malinowski przedstawił po raz pierwszy ówczesnemu prezydentowi Rzeczypospolitej potrzebę otwarcia przystępu do skarbów roślinnych i mineralnych, nagromadzonych we wnętrzu Peruwji, jako najpewniejszy sposób zabezpieczenia przyszłości tego kraju; ale rozruchy, wojny domowe i zajęcia polityczne stały ciągle na przeszkodzie do urzeczywistnienia tego planu; aż do roku 1869, w którym rząd pułkownika Balta zadekretował sumę 27 milionów soles (136 milionów franków) na zbudowanie kolei żelaznej, któraby, wychodząc z portu Callao, dochodziła doliną rzeki Rimac na drugą stronę Andów do wioski Oroya, położonej na progu osławionych okolic Montana, a odległej o 219 kilometrów od Lima i wzniesionej na 3700 metrów ponad poziom morza. Naturalnie wybór tej drogi był owocem licznych badań i dyskusji, podsycanych przez właścicieli ziemskich, mających swe posiadłości w innych dolinach, zstępujących ze szczytu Andów, mianowicie w dolinach Chancay (Czankaj) i San Damian, obydwuch równie urodzajnych jak dolina rzeki Rimac, a prowadzących: pierwsza do sławnych kopalni srebra Cerro de Pasco, druga zaś ku żyznym brzegom rzeki Jauja (Hauha). Ale droga przez dolinę rzeki Rimac przedstawiała nietylko pod względem technicznym lepsze warunki od dwóch drugich, ale zalecała się tym jeszcze, że prowadzi wprost ze stolicy do okolic Chanchamayo (Czanczamajo), słynnych ze swych płodów roślinnych i leśnych, a ułatwia zarazem i przystęp do Cerro de Pasco i do Jauja, leżących jedno nalewo, drugie naprawo końca projektowanej kolei. Zgodzono się więc na linię Lima-Oroya i w tydzień po podpisaniu dekretu rozpoczęto roboty.

Linja kolei zaczyna się w Callao i dochodzi w zwykłych warunkach do Lima, gdzie wsiadłem do wagonu około godziny ósmej rano. Przejechawszy mosty Puente Viejo i Puente Balta, niebawem straciłem z oczu wieże

i budynki stolicy, bo miejsce ich zajęły wspaniałe plantacje trzciny cukrowej, poprzerzynane kolejami żelaznymi, na których zwykli tu zwozić trcinę do *hacienda* (dwór wiejski) za pomocą małych lokomotyw. Napawając się widokiem zieloności, zalewającej dno tej doliny Rimac'a, której ściany nagie i żółte odbijają jaskrawie na błękitnym tle nieba, wznosimy się wolno wzdłuż lewego brzegu rzeki, mijając tu i owdzie nowoczesne *chacra* (folwarki), albo opustoszałe gruzy dawnych wiosek indyjskich i kanałów irygacyjnych, świadczących o przemyśle ówczesnej ludności.

Po dwóch godzinach jazdy stajemy w Chosica (Czosika). Dworzec kolei porządny, hotel wytworny i wygodny, ale otoczenie smutne, brak różnorodności i zieloności, bo to ni wieś ni miasto, ale poprostu nędzny folwark otoczony puszczami piasku. Pomimo tego mieszka tu zawsze kilka familji dla poratowania zdrowia, bo jak się zdaje, powietrze kordyljerskie jest doskonałym lekarstwem na różne choroby piersiowe. Począwszy od Czosika dolina Rimac'a zaczyna zwężać się stopniowo i przybierać coraz to większe spadzistości, tak, że dojeżdżamy do Coca-Chacra ze spadkiem blisko 4^o/_o, co, jak ci wiadomo, wyobraża największą pochyłość, po jakiej postępować może zwyczajny pociąg parowy. Nieco wyżej w San Bartolomeo, to już ciasny wąwóz, zalany pieniącymi się wodospadami rzeki, po drodze wykutej na pochyłości góry pociąg nasz wznosi się nieustannie, ale pomimo wszystkich wysiłków nie może wydażyć za rzeką i niebawem zwyciężony w tych szalonych wyścigach staje nad jej brzegiem, nie mogąc postąpić naprzód, ani skręcić w bok dla zyskania wysokości, bo z obu stron i z przodu spadziste góry nie dopuszczają zakrzywienia drogi żelaznej. To też cofamy się w tył, wagony przechodzą na inne szyny i pchane lokomotywą, wznoszą się na pewną wysokość, gdzie znowu w zygzak zmieniamy drogę żelazną, lokomotywa na nowo przodem

pnie się po stromej ścianie góry, jak wąż wije się po fali-
stym gruncie, raz zawieszona nad przepaścią, to znowu
w głębokim wykopie. Przejeżdżamy kilka tuneli, koła
wagonów świerszczą na nagłym zakręcie drogi i niebawem
ukazuje się wspaniały wjadukt Verrugas, najwyższy na
świecie, bo mający blisko 90 metrów w środku. Dreszcz
przebiega na myśl, że nasz ciężki pociąg ma przebiec po
tej tkaninie żelaznych prętów, podpartych zaledwie co 40
metrów ażurowym słupem żelaznym, gubiącym się w dnie
przepaści. Widok stąd piękny, ale dziki i ponury, jak
historja tej miejscowości; wymarło tu bowiem tysiące ro-
botników tkniętych straszną chorobą verrugas, do tego
miejsca przywiązana, a pochodząca, jak jedni mówią, z wo-
dy tam płynącej, a drudzy, z wyziewów, wydobywających
się przy kopaniu ziemi. Dotąd nie znają jeszcze ani jej
prawdziwej przyczyny, ani lekarstwa: wiadomo tylko, że
jest śmiertelną, gdy tknięty nią chory nie pokryje się wrzo-
dami krwistemi, działa bowiem wtedy wewnątrz, dziu-
rawi kiszki i zabija; wiadomo także, że jednemu dość było
przejechać raz tędy, by paść jej ofiarą i że drugi żył tu
bezpiecznie lat parę. Ale liczba tych ostatnich jest bar-
dzo mała i jak mnie zapewniano, przeszło dziesięć tysięcy
ludzi przypłaciło śmiercią swój pobyt przy robotach.

Przejechawszy wjadukt Verrugas, na nowo zbliżamy
się do dna doliny, choć szyny wiodą ciągle w górę; ale po-
chyłość rzeki jest tak wielka, że pomimo ciągłego wznos-
zenia się dochodzimy w Surco znowu do poziomemu wo-
dy. Rzuciwszy się trzy razy z jednego brzegu na dru-
gi, kręcąc się prawie w miejscu, ale wznosząc się nie-
ustannie, dostajemy się nareszcie na wyniosłość Matuca-
na, t. j. na 2300 metrów ponad poziom morza. Wioska
San Mateo, przez którą jechać wypada, leży już bar-
dzo blisko, ale chcąc dostać się na 3000 metrów, trze-
ba znów przedłużyć linię kolei, spinać się po skarpie
góry, wracać ku Matucana, jechać w zygzak i rzucić

się na nowo na drugi brzeg rzeki, skąd w rozszerzonej nieco dolinie widać malownicze chaty indyjskiego pueblo. Niebawem widnokrąg znika zupełnie; pod nami rozpadlina o ścianach pionowych, gubiących w obłokach szczyty, a otoczonych u spodu przez gwałtowny, pieniający się potok górski; wokoło skały trachitowe i porfirowe, wysterczające nazewnątrz i grożące co chwila upadkiem. Naturalnie byłoby szaleństwem prowadzić kolej wzdłuż tej strasznej przepaści; więc też pociąg wjeżdża w tunel, przeryna wpoprzek rozpadlinę za pomocą żelaznego mostu, z którego na nowo, pod ziemię wjechawszy, wydostaje się nazewnątrz w pobliżu doliny zwanej Rio Blanco. Widok z mostu, łączącego obadwa tunele jest nie do opisanania; jest to zarazem wielkie i ponure, godne nazwiska Piekła (Infernillo) przydanego tej miejscowości; ale piekło to jest piękne, ubrane: w wodospady, pieczary, różno-kolorowe skały pokryte wiecznym cieniem, a odbijające tysiącnym echem szum pieniaącego się potoku. Jakże dziwnie na tym tle dzikiej, niedostępnej natury odbija lekki most żelazny, po którym, jak wiadomo, przebiega od czasu do czasu kunsztowna lokomotywa, gubiąca się w ciemnej paszczy tunelu.

Poza doliną Rio Blanco, przerzniętą wjaduktem, mającym 100 metrów długości, dolina przybiera charakter wyżyn kordyljerskich, t. j. rozszerza się bardzo znacznie i tworzy dość duże równiny, po których spływa spokojny strumyk, ten sam, który nieco niżej rozwała skały i pieni się w wodospadach. Żeby jednak dostać się na szczyt Andów, trzeba jeszcze zrobić trzy duże zakręty, jeden w pobliżu stacji Chiela, drugi przy Cosapalca, wreszcie trzeci i najdłuższy, bo mający siedm kilometrów długości, w dolinie Chinchán, otoczonej śnieżnymi górami. Wkrótce potym wykuta w skale droga gubi się we wnętrzu góry: to ostatni tunel (1173 metrów długości) 4800 metrów ponad

poziom morza wzniesiony, od którego począwszy, zacznie się zjeżdżanie na drugą stronę Andów.

Od Chieła jechałem konno, bo kolej jeszcze nieskończona. Okolica smutna, pozbawiona roślinności; termometr spada coraz więcej w miarę jak słońce zachodzi, wreszcie o zmroku gęsty śnieg padać zaczyna.

Nieprzyzwyczajony do podróży po Kordyljerach, wkrótce doznaję skutków rozrzedzonego powietrza: ból głowy, brak oddechu i wymioty, słowem sorochi (soroczi), choroba górską wywołana nagłą zmianą ciśnienia atmosferycznego. Jest to coś podobnego do choroby morskiej, tylko jest od niej o tyle niebezpieczniejsze, że może spowodować apopleksję u osób krwistych, a głównie podpiłych, jak się to już kilkakrotnie zdarzyło na linii Oroyskiej.

W czasie drugiej podróży po Kordyljerach wyjechaliśmy zrana z Portady, chuchając w palce i wyciągając nogi z zimnych jak lód strzemion; teraz zaś, gdy słońce jest u zenitu, upał nieznośny. Termometr pokazuje $+ 32^{\circ}$ Cels., skazówka aneroidu przechodzi już 4000 metrów. Ustała już rozmowa, zmęczenie wzięło górę nad dobrą wolą. Już przed oczyma mamy Huailillas de Potosi, punkt najwyższy naszej drogi, a najniższy w całej tej części Kordyljerów, tworzy on bowiem siodło, to jest naturalne zagłębienie w grzbiecie długiego łańcucha gór; otucha też wstępuje w serce i pobudza do prędszej jazdy, ale muły nasze wolno stąpają, ich nozdrza wydęte nie mogą już zaczerpnąć dosyć powietrza; nadaremnie kłubyś je ostrogami, nie ruszą z miejsca, póki nie wytchną należycie. Wreszcie koło godziny trzeciej z południa stajemy na szczycie drogi, podziwiając wspaniały widnokrąg, rozciągający się przed oczyma: na południe labirynt gór zmniejszających się coraz to więcej i ginących w płaskich błoniach wybrzeża; na północ, to jest przed nami, niezmiernie równiny zamknięte sinemi gałęziami gór; nad głową czyste, żadną chmurką niesplamione, niebo Andów. Rzucamy ostatnie spojrzenie za siebie i skręcając z drogi boli-

wijskiej, spuszczaemy się wolno na owe łąki, stanowiące wyżyny Kordyljerskie, a leżące w przecięciu na wysokości 4300 metrów ponad poziom morza. Tu właśnie miejsce naszych badań; ale rzeka Maure odległa jeszcze o trzy dni drogi, a co najgorsze przedzielona od nas krętymi pasmami gór, wyrosłych na tym olbrzymim i płaskim dachu Andów.

Od tego dnia zacząłem prowadzić życie czysto koczujące pod namiotem albo przy ogniu, naprzemian w śniegu i w upale, czasem w pośród groźnych piorunów, a zawsze w najokropniejszym wietrze. Z początku jednak nie było obawy śniegu i deszczu; bo we wrześniu wiatr wieje od Oceanu Spokojnego i wstrzymuje chmury, nadciągające od Boliwji, tylko mieliśmy przeciw sobie wiatr i mróz tak mocny, że z trudnością przychodziło ustawić namioty i utrzymać je w równowadze. Na obozowisko wybieramy naturalnie doliny, jak najwięcej górami zasłonięte, ale nie zawsze udaje się znaleźć miejsce sposobne: bo trzeba mieć w pobliżu wodę dla koni i jakie takie pastwisko, a przytym nie oddalać się od miejsca pomiarów. Obóz stanowią cztery namioty; jeden wielki dla mnie z łóżkiem polowym, ze stołem i kilkoma stołkami, drugi mniejszy z trzema łózkami dla pomocników i dwa inne dla służby, robotników i kucharza; bo arrierowie sypiają osobno w domku na prędcie zbudowanym ze siodeł, podkładów i wojłoków, a pokrytym skórami byczemi, któremi się obwiązuje ładunek muła dla ochrony go od deszczu. Dobry namiot jest w tego rodzaju podrózach rzeczą nieocenioną, bo dobrze rozpięty i od dołu cokolwiek ziemią przysypany nie przepuszcza deszczu ani wiatru, a jest tak lekki, że ich trzy naraz jeden muł unieść może. Kuchnię urządza się pod gołym niebem na rusztach położonych na kilku kamieniach; za materiał palny służy *tela*, krzew żywiczny, kruchy, krępowaty, *quennua*, małe drzewko palące się na pniu z największą łatwością, a jeszcze więcej, *yareta*, ro-

dzaj olbrzymiej narośli, wewnątrz suchej i łupkiej jak próchno, a pokrytej śluzgim i równym kobiercem gwiazdek zielonych, przez które gdzieniegdzie wychodzą czyste jak łza krople żywicy. Jak myślę, yareta rośnie tylko w Kordyljerach i to dopiero na wysokości 4000 metrów mniej więcej; jest to materiał palny wyborny, łupie się bowiem w kawałki z wielką łatwością, jest lekki, zapala się wprost od zapalniczki i grzeje doskonale (później przekonałem się, że w Tacnie nie używają innego paliwa, choć sprowadzenie go z takiej odległości nie mało kosztuje).

Obozy nasze wyglądają w nocy dosyć fantastycznie. Wyobraź sobie cztery białe namioty ustawione na bokach czworoboku, którego środek, płonący białym ogniem żywicy, rzuca jasne światło na płynący opodal strumień. Tu pasą się konie i wylegają się zmęczone muły, tam stos siodła o meksykańskich szerokich strzemionach, lasy tyczek z chorągiewkami, trójnogi teodolitów, tam znowu piramidy skrzyń, beczek i worków ustawionych pod głównym namiotem dla ochrony go od wiatru. Dodaj do tego dwudziestu pięciu krzątających się ludzi, najdziwaczniej ubranych: jedni w opończach kolorowych, szalach z wełny wigunji; drudzy w indyjskich kubraczkach, grubych sukienkach spodniach, rozciętych z tyłu począwszy od kolana; trzeci w watowanych sukniach europejskich z wełnianą czapką na głowie, zakrywającą całą tylną część głowy i uszy, w butach z sążnistymi ostrogami, brzęczącymi jak cały pułk huzarów, a będziesz miał wierny obraz naszego obozowiska.

Tryb naszego życia zawsze jednakowy, choć obóz zmieniamy co dni kilka, w miarę jak posuwamy się naprzód. Nie brak także codziennie nowych wydarzeń, trudności i niebezpieczeństw. Za punkt wyjścia wybrałem wyschlę jezioro Laguna Blanca, leżące na północnym krańcu równiny zwanej Pampa de Tacora, a mające 7 kilometrów długości i na 4 kilometry szerokie. Dnia 20 września zatknę-

liśmy pierwszy palik projektowanej linii kanału, a w dwa miesiące później, idąc ciągle w górę ze spadkiem odpowiednim, rozbiliśmy namioty u brzegów rzeki Maure, wpośród gór niedostępnych, zamieszkałych przez niezliczone stada wigunji, której mięso, do sarniego podobne, wynagradzało wspaniałomyślnie brak wołowiny. Jesteśmy już w listopadzie, burze coraz to częstsze, ze śniegiem, gradem i piorunami, których blask ociemnia, a huk ogłusza. Nadaremnie chciałbym to opisać, nie potrafię przedstawić tej wielkiej a ponurej sceny. Wreszcie pod koniec listopada kończymy studja, tyjące się skręcenia rzeki Chiliculco do rzeki Maure, nie bez epizodów wszelkiego rodzaju, zakończonych niestety śmiercią jednego z mych ludzi, który wpadłszy do wody, zaziębił się i w trzy dni później umarł—zapewne wskutek braku należytej pomocy lekarskiej; nie można jednak było ani myśleć o odwiezieniu chorego do szpitala, gdyż znajdowaliśmy się naówczas o pięć dni drogi od Tacny. Wypadek ten zrobił między nami niemiłe wrażenie i ostrzegł o niebezpieczeństwie, jakim grożą te nagłe zmiany temperatury od $+26^{\circ}$ Cels. do -14° niżej zera w przeciągu 24 godzin. Codzień, począwszy od godziny 10-ej do 1-ej po południu, upał jest nieznośny, koło godziny 3-ej wieje zimny wiatr z Zachodu, a temperatura obniża się coraz więcej, w miarę jak noc nadchodzi, i dosięga swego maximum około godziny 4-ej rano. W namiocie szczelnie zamkniętym, w wełnianej koszuli, przykryty pięcioma kocami, drżałem zawsze z zimna, zanim nie wypilem kilku filiżanek gorącej herbaty, którą zwykli byli podawać mi o świcie. O tej godzinie wszystko zamarznęte, począwszy od strumienia, który codzień motyką rozrąbywać trzeba, by gotować śniadanie, a skończywszy na atramencie w kałamarni i winie w butelkach. To też chwila kładzenia się w łóżko i ubierania się rano jest prawdziwie *moment suprême* w Kordyljerach.

Niemile także wrażenie robi duszenie się w nocy wskutek braku powietrza. Doświadczyliśmy tego wszyscy; ja zaś wtedy tylko, gdy nawznak leżałem, budziłem się bez oddechu z mocnym biciem serca. Nie mogę sobie tego wytłumaczyć, gdyż tu w górach barometr zmienia się bardzo nieznacznie, tak że niema prawie różnicy między ciśnieniem dziennym a nocnym atmosfery. To rozrzedzone powietrze Kordyljerów męczy zresztą w dzień jeszcze więcej niż w nocy, bo nie można iść pięciu kroków pod górę bez zadyszenia się; wsiadanie na koń męczy, najmniejszy ruch, najmniejszy wysiłek odbiera oddech. Skóra łuszczy się na twarzy, zwłaszcza na nosie i rękach, wargi pękają, schną, twardeją; patrząc w lusterko poznać się nie mogłem. Rok temu w pierwszej mej podróży do Andów gorzej jeszcze było, bo mi popuchły dziąsła i podniebienie do tego stopnia, że nic gryźć nie mogłem, a krew zapełniała mi usta; teraz zaś skończyło się tylko na krwotokach z nosa, co, jak mnie zapewniano, temu tylko zawdzięczać należy, że wyjechałem w góry ze zdrowym żołądkiem. Mówią, że to warunek konieczny do uniknięcia *sorochi*. Zauważyłem także, że w nocy na tych wysokościach powietrze przepelnione jest elektrycznością, objawiającą się mocnym szelestem za najmniejszym poruszeniem sukni, kołdry albo włosów.

Tego dnia pamiętnego, kiedy właśnie po raz ostatni wracaliśmy z roboty do obozu, bo już nazajutrz mieliśmy zabierać manatki i zjeżdżać z gór przez Camunnani, zdarzył się nam znowu przypadek zabłądzenia w tym labiryncie skał; ale tym razem z mej własnej winy, bo zamiast jechać za robotnikami, którzy, po większej części Indjanie, mieli wiele zmysłu do poznawania miejscowości, zapuściliśmy się we czterech w koryto strumienia, płynącego, jak się nam zdawało wprost do naszego obozowiska. Słońce miało się właśnie ku zachodowi i rzucało swe żółtawe światło na fioletowe, różowe i białe odnogi gór,

pełzających jak węże po dzikiej skalistej równinie, którą nazajutrz przejechać mieliśmy; śpiewaliśmy, dowcipkowali, nasycaliśmy się po raz ostatni swobodą życia górskiego, przeczuwając, że wkrótce to romantyczne, awanturnicze życie stanie się wspomnieniem i przeszłością; nikt nie zwracał uwagi ani na wznoszące się coraz to wyżej ściany skał otaczających, ani na tamujące drogę naszą zapory, bagna i kamienie; aż dopiero gdy noc zapadła, gdy konie, ślizgając się po gładkim dnie strumienia, padają, straszą się i posłuszeństwa odmawiają, zaczynamy poważnie zastanawiać się nad grożącym nam niebezpieczeństwem. W istocie położenie nasze było dosyć krytyczne: jesteśmy w wodzie, w głębi wązkiej przepaści, zamkniętej po obu stronach niedostępnymi skałami o ścianach prawie pionowych, wznoszących się jak mury olbrzymiej fortecy na wysokość kilkunastu pięt; ciemność zupełna, nad głową chmury, w jamach rozpadlin może dzikie zwierzęta, w błocie może jaszczurki lub węże. Podjeżdżamy dalej, znużeni szumem wody spadającej, i stajemy na suchym kawałku ziemi, pokrytym trawą kordyljerską, rosnącą tam tak bujnie, zapewne wskutek dostatecznej wilgoci, że zakrywa jeźdźca z koniem. Naturalnie bez chwili namysłu podpalamy ją w nadziei, że blask światła zwróci uwagę w obozie, który już blisko znajdować się musi: bucha wspaniały biały ogień słomy żywej, przy jego blasku szczyt skał granitowych rysują się na ciemnym tle cieniów nocnych w tysiące fantastycznych kształtów, jakby rzeźby czarodziejskiego zamku, przed nami pieniały się wodospad drogę naprzód tamuje, my sami, jakby zbójcy, w kolorowych oponczach, z pistoletami w olstrach a z strzelbą na ramieniu.

W milczeniu podziwiamy ten prawdziwie piękny widok, ale światło gaśnie niebawem, zalewa nas ciemność jeszcze straszniejsza, a cisza, przerywana tylko rżeniem koni i szumem strumienia, przekonywa nas o zupełnym

zblądzeniu. Ale cóż robić; wracać niepodobna, boby to było narażać się na skręcenie karku przy zjeżdżaniu z tych ślizgich głazów, po których, jak po wschodach, wznosimy się już od dwóch godzin; trzeba więc jechać naprzód a przedewszystkim wspinać się na zaporę tamującą nam drogę. Niebardzo mi się to szczęśliwie udało, gdyż przy tym ćwiczeniu gimnastycznym koń uderzył mną o skalę i nogę mi skaleczył, ale koniec końców w godzinę później wygramoliliśmy się z tej dziury na powierzchnię gruntu i po godzinnym błakaniu się jeszcze po górach, usłyszeliśmy nareszcie sygnał z obozu.

Nazajutrz zrana wyjazd ku Tacna. Przez skalistą płaszczyznę, którą mamy pod nogami, prowadziła widocznie za dawnych czasów droga ku wybrzeżu, bo w nagiej, równej jak stół skale, widziałem bardzo widoczny ślad szerokiej ścieżki, a nawet w jednym miejscu wyrytą strzałę i wizerunek człowieka. Teraz tędy nikt zgoła nie jeździ, trudno więc przypuścić, by te ślady ludzkiego pobytu miały być nowoczesnego pochodzenia; zresztą drożyna ta ginie zupełnie w wąwozie Camunnani, którym spuszczamy się zwolna i ostrożnie rozładowując czasem muły w miejscach ciasnych, przez które ledwie luzem idący koń przesunąć się może. Wody tam brak zupełny; toteż rozbiwszy wieczorem namioty, kopujemy studnię, ale wody zaledwie wystarcza do kuchni; biedne konie i muły zmęczone całodzienną drogą, muszą jeszcze wytrzymać 24 godzin bez wody, bo jak mi mówią przewodnicy, dopiero jutro pod wieczór znajdziemy źródło w pierwszym przez ludzi zamieszkanym miejscu, zwanym Vinna od winnic, które tam uprawiają. Jakoż dostawszy się nazajutrz do strefy kaktusów, kwitnących na rozpalonym gruncie doliny, ujrzelismy, przejeżdżając przez kabłak góry, zielony punkcik na żółtawym tle gór roztaczających się pod nogami. Dalej, głęboko w dole, rozciąga się płaskie wybrzeże Peruwji, z którego widzę wyrastające korzenie tego olbrzymiego pnia

Kordyljerów; jeszcze dalej, w głębi Ocean Spokojny, ginący w niebieskim sklepieniu nieba. Nie myślałem nigdy, żeby było można bez pomocy balonu ogarnąć jednym rzutem oka tak olbrzymią przestrzeń: morza, puszczy i łańcuchów gór, rozpostartych u stóp widza jak sztuczna panorama. Pod wieczór wjeżdżamy do Vinna.

Vinna to mały folwark położony w dolince nad brzegiem strumienia, któremu zawdzięcza swe winnice. Nie umiem ci opisać miłego wrażenia, jakie zrobił na mnie i na nas wszystkich widok tego ubogiego domku, ukrytego w cieniu zielonych drzew owocowych; dosyć powiedzieć, że rozkoszując się łagodnym powietrzem nocy, zrzucawszy z siebie ciężkie ubranie zimowe, spędziliśmy noc całą na pogadance, przerywanej ciągłym unoszeniem się nad przyjemnością życia w klimacie tak lubym jak Vinna, który jednak, mówiąc nawiasem, nie różni się niczym od klimatu w Tacna i innych miejscach wybrzeża peruwjańskiego. Ale wszystko jest względne; więc też i nam przemarzłym, zdziczałym *Cerranos*, wydało się to miejsce razem, ósmym cudem świata.

Po spędzeniu tu całego dnia, przekroczyliśmy grzbiet gór, dzielący nas od doliny Molles i dnia 2 stycznia w południe kłusowaliśmy już po piaszczystych błoniach wybrzeża, zalanych fantastycznymi jeziorami wód zwodniczych, zawsze uciekających, a nigdy niedostępnych. Wspaniale to *fata morgana!* Tegoż dnia po czterech miesiącach życia na szczycie Andów, ujrzałem znowu miasto Tacnę, ludzi i cywilizację.

Według *Wład. Klugera*.

WYSPY GUANOWE.

Określ, transportujący guano, wiózł nas na południe, ku wyspom Chinha.

— Oto i wyspy gnojowe—zaczęli wołać majtkowie, a kapitan zapytał nas, czy nie czujemy już odoru. W odległości zamajaczyły przed nami na morzu trzy drobne punkty lądu. I rzeczywiście —im bardziej zbliżaliśmy się ku nim, tym wyraźniejszym się stawał płynący od nich salmiakowy zaduch. Wkrótce zacząłem się obawiać, czy zdołam go wytrzymać podczas ładowania okrętu. Ale okazało się to



Wyspa gnowa, Chinchu.

łatwiejszym, niż przypuszczałem. Dużo gorzej było majtkom, którzy muszą dostarczone na pokład guano zgarnąć szuflami na spód okrętu; kilku nowicjuszków omdlało przy tej czynności. Ale najniebezpieczniejszym jest moment, gdy okręt stanie pod «mangueras», to jest specjalnie urządzone rynnami, które zwieszają się ze skał ku okrętowi —i przez które z wysokości do 25 metrów sypie się guano, napełniając powietrze pyłem i smrodliwymi wyziewami.

Sposób ten ma jednak tę dobrą stronę, że umożliwia naładowanie największego okrętu w przeciągu jednego dnia.

Zmierzchało się już, gdyśmy się zbliżyli ku brzegowi w miejscu, gdzie pięćdziesięciu Chińczyków kopało, a właściciele rozkruszało guano za pomocą żelaznych łomów i rozwoziło je taczkami. Nadzorowali nad nimi krzepki, jak dąb, Murzyn i wysoki Hiszpan, który stał oparty o wagon — i dzięki swej spalonej twarzy i nieprawdopodobnie błyszczącym oczom czynił wrażenie dowódcy jakiejś bandy rozbójniczej. Berło jego władzy — skórzany harap — wisiał na małym palcu jego prawej ręki.

Gdy obadwaj nas spostrzegli, zaczęli smagać swemi, z byczej skóry splecionemi biczami plecy nieszczęsnych robotników. Negr rzucił się ku dwum, do ciężko naładowanego wagonu zaprzężonym Chińczykom — i uderzeniami harapa zmuszał ich do pośpiechu. Nieszczęśni ci ludzie, zastępujący zwierzęta pociągowe, pobiegli kłusem wśród pyłu i zaduchu ku manguerom — przechylili wagon i zawartość jego wysypali do rynny — z której następnie spadła na nasz okręt, stojący w oczekiwaniu pod skałami.

Według *F. W. Gravenhorsta.*

ŻÓŁWIE NA WYSPACH GALOPAGOS.

Beagle *) opływa wyspę Chatham i zarzuca kotwicę w licznych zatokach. Jedną noc spędzam na lądzie w miejscowości, gdzie znajduje się nadzwyczaj dużo małych, czarnych, ściętych stożków; naliczyłem ich sześćdziesiąt; na każdym krater, mniej lub więcej prawidłowy. Cała powierzchnia tej części wyspy zdaje się być podziurawioną, jak durszlag, przez pary podziemne: tu

*) Nazwa statku, na którego pokładzie znakomity przyrodnik, Karol Darwin, dokonał swej naukowej podróży naokoło świata.

i owdzie lawa, niezupełnie jeszcze zastygła, wzdeła się w olbrzymie pęcherze; gdzieindziej szczyty tak uformowanych jaskiń zapadają się, ukazując w środku okrągłą studnię o prostopadłych bokach. Prawidłowy kształt tych licznych kraterów nadaje okolicy zupełnie sztuczny pozór, który, przypomina mi żywo niektóre okolice Staffordshiru, gdzie jest dużo wielkich pieców. Było straszliwie



Żółwie na wyspie Galopagos.

gorąco. Byłem niesłychanie zmęczony chodzeniem po tej chropowatej powierzchni; ale wyjątkowy wygląd tej areny cyklopów wynagradzał aż nadto moje trudy. W czasie mej przechadzki napotkałem dwa olbrzymie żółwie, ważące każdy conajmniej 200 funtów; jeden z nich jadł kawałek kaktusa: gdy się doń zbliżyłem, popatrzał na mnie z uwagą i oddalił się z wolna; drugi gwizdnął groźnie i skrył się w skorupie. Olbrzymie te gady, w otoczeniu czarnej lawy, bezlistnych krzewów i wielkich kaktusów

wyglądają jak prawdziwe zwierzęta przeddiluwalne. Parę ptaków ciemnopiórych, które widziałem tu i owdzie, nie zdawały się więcej mną interesować, niż wielkie żółwie.

Beagle kieruje się do wyspy Charles. Archipelag ten oddawna już był odwiedzany, zrazu przez bukanjerów, później przez poławiaczy wielorybów; od niedawna jednak dopiero założono tu niewielką kolonję, liczącą kilkaset mieszkańców. Są to przeważnie czarni, wygnani za przestępstwa polityczne z rzeczypospolitej Equadoru. Osada leży na jakie 4 i pół mili w głębi ładu i na wysokości 1000 stóp. Prowadząca do niej droga idzie naprzód przez gaje drzew bezlistnych, podobne do tych, które widzieliśmy na wyspie Chatham. Trochę wyżej drzewa stają się zieleńsze, a z chwilą, gdy przechodzimy najwyższy punkt wyspy, orzeźwia nas miły wietrzyk południowy, a oczy rozkoszują się piękną, zieloną roślinnością... Domy zbudowane są bezładnie na równej powierzchni, gdzie uprawiają pataty i banany. Chociaż mieszkańcy skarżą się bezustannie na swą nędzę, jednakże bez wielkiego trudu zdobywają tu wszystko, co im potrzebne do żywienia. W lasach żyją niezliczone dziki i kozy; głównego jednak pożywienia dostarczają żółwie. Ilość tych zwierząt zmniejszyła się wprawdzie znacznie na wyspie; jednakże dwa dni polowania dostarczają pożywienia na całą resztę tygodnia.

Żółwie znajdują się, jak sędzę, na wszystkich wyspach archipelagu, ale zapewne w większej ilości. Przekładają one, jak się zdaje, części wzniesione i wilgotne, ale znajduje się je też w okolicach niskich i pustynnych. Ilość żółwi, upolowanych jednego dnia, dowodzi, jak są liczne. Niektóre dochodzą znacznej wielkości; wicegubernator kolonji mówił mi, iż widział żółwie tak wielkie, że zaledwie sześciu lub ośmiu ludzi zdołało je podźwignąć z ziemi i że niektóre dawały do dwustu funtów mięsa. Największe są stare samce, samice rzadko

dochodzą tak nadzwyczajnej wielkości; łatwo odróżnić samca od samicy po tym, że samiec ma dłuższy ogon.

Żółw bardzo lubi wodę, pije jej dosyć dużo i tarza się chętnie w błocie. W archipelagu tym tylko znaczniejsze wyspy posiadają źródła i te leżą zwykle w części ich środkowej na znacznej wysokości. Żółwie, zamieszkujące okolice niższe, są zmuszone dla zaspokojenia pragnienia odbywać długie podróże. Przechodząc wciąż tą samą drogą, porobiły one prawdziwe gościńce, rozchodzące się we wszystkich kierunkach od źródła ku wybrzeżom; po tych to ścieżkach udało się Hiszpanom odkryć źródła. Gdy wylądowałem na wyspę Chatham, zapytywałem siebie ze zdziwieniem, jakież to zwierzę mogło chodzić tak systematycznie ścieżkami, wytkniętymi po linii najkrótszej. Zabawny jest w pobliżu źródła widok tych olbrzymich stworzeń, z których jedne zdążają pośpiesznie do wody, z wyciągniętą szyją, inne, zaspokoiwszy pragnienie, oddalają się zwolna. Gdy żółw dopadnie źródła, wszystko mu jedno, czy jest widziany lub nie, zanurza głowę w wodę i pije wielkimi haustami, mniej więcej dziesięć razy na minutę. Mieszkańcy zapewniają, że każdy żółw pozostaje w pobliżu wody trzy do czterech dni, a następnie powraca w niższe okolice kraju; trudno jest jednak wiedzieć, jak często powtarza swe wyprawy. Niewątpliwym jest, że żółwie mogą żyć nawet na wyspach, gdzie niema innej wody, prócz tej, która spada w postaci deszczu przez parę dżdżystych dni w roku.

Mieszkańcy utrzymują, że zwierzęta te są zupełnie głuche; faktem jest, że nie słyszą, gdy ktoś idzie zaraz za nimi. Niema nic zabawniejszego, niż minąć jednego z tych grubych potworów, gdy idzie sobie spokojnie; gdy was tylko dostrzeże, gwizdże z siłą, chowa łapy i głowę w skorupę i opada ciężko na ziemię, jakby ugodzony śmiertelnie. Często wchodziłem im na grzbiet: jeżeli wówczas uderzy w tylną część ich skorupy, żółw wstaje i zaczyna

ić; jest jednak bardzo trudno utrzymać się wtedy na nim stojąco.

Spożywają tu dużą ilość mięsa tego zwierzęcia w stanie świeżym i solonym; części tłuste dostarczają bardzo czystego oleju. Gdy się złapie żółwia, zaczyna się zwykle od zrobienia otworu w skórze w pobliżu ogona, by się przekonąć, czy tłuszcz zapełnia pod skorupą całą przestrzeń pustą. Jeżeli żółw nie jest dość tłusty, puszczają go na wolność i utrzymują, że szczególna ta operacja nie szkodzi zupełnie jego zdrowiu.

Karol Darwin.

PRODUKTY I LUDY BRZEGÓW ORINOKO, GIEOFAGOWIE.

Podróżnik, przybywający do Guyany przez ujścia Orinoko, z podziwem ogląda wspaniałe lasy, pokrywające w znacznej części deltę tej rzeki. Przy wysokim stanie wody, większość wysp na delcie pokryta jest przez fale — i przed zdumionymi oczami badacza olbrzymie pnie drzewne wyrastają z toni wodnej; łódź płynie w cieniu bujnych liści, w ciągłych skrętach wymijając niezliczone ljanę, oplatające drzewa; wokół nas w falach igrają kaimany, a nad nami, w sklepieniu z zielonych gałęzi przefruwają różnobarwne ptaki o świetnych piórach błękitnych, fioletowych, ognistych; mały wieszają się na swych długich ogonach i z lekkością wiewiórek przerzucają się z gałęzi na gałąź, z drzewa na drzewo. Gdzieniedzie pośród gałęzi błyska hamak, kołyszący się miękko ponad powierzchnią wody: są to mieszkania Guaranów, żyjących nad dolnym Orinoko. Indjanie ci zamieszkują najwyższe wyspy na delcie, gdzie za pożywienie służą im ryby, banany i manjok. Ale w wędrówkach swych, do których zmusza ich

rybołówstwo, dostają się oni często na wyspy niskie i tu podnoszące się fale rzeki zmuszają ich do chronienia się w tych mieszkaniach powietrznych; mężczyźni układają się w nich wygodnie i śpią całymi godzinami, podczas gdy w czółnach, przymocowanych do pni drzewnych, kobiety przygotowują ucztę dla swych leniwych mężów.

Płyniemy w górę Orinoko, po której żeglować tu mogą łatwo największe okręty. Wkrótce mijamy dopływ Caroni i dosiegamy Ciudad-Bolivar, zwany przedtem Angostura albo San-Thomas de Nueva-Guayana, miasto duże i piękne, główny port Orinoko i siedlisko bardzo ożywionego handlu morskiego. Miasto jest typowo handlowe; przemysł, a zwłaszcza kultura, są bardzo mało rozwinięte; w okolicy niema tych wesołych ogrodów, sadów, alei, które w Europie zwiastują zawsze bliskość dużego miasta: sawanny i lasy ciągną się tu aż do bram Ciudad-Bolivar. Mimo to tu i owdzie spotykają się plantacje indyga, trzciny cukrowej, drzewa kawowego, ryżu, fasoli a zwłaszcza yuca lub manjoku, którego korzeń służy w tym kraju do wypieku chleba. Zewsząd szerokie i wspaniałe liście roz-tacza banana, dostarczający pożywnych owoców. Bawełna również doskonale udaje się na tym gruncie, lecz uprawa jej jest bardzo zaniedbana. Drzewo chinowe spotyka się tylko na miejscach wyniosłych; wszędzie prawie znajduje się mnóstwo innych cennych dla medycyny produktów. Wanilja przerzuca się z drzewa na drzewo i napełnia swych ślicznym zapachem wszystkie pobliskie miejscowości; niezliczone mnóstwo innych orchidei i ljan oplata swemi lekkimi festonami olbrzymy tutejszych lasów. Drzewa farbierskie, jak brazylja, drzewa mahoniowe, cedry, palisandry, drzewa gumowe, drzewa fioletowe, różowe, żółte—nie posiadające nazw w botanice—wszystko to rośnie tu bujnie, lecz wrodzona apatja Wenezuelczyków szczeni bardzo i nie wyzyskuje zupełnie tych bogactw świata roślinnego. Palma, królowa tych lasów, kołysze

z wdziękiem swój pióropusz zielony ponad głowami wszystkich towarzyszy; wiele gatunków palm tutejszych dostarcza wybornej oliwy, zwłaszcza palma *seje*, której sok wyborny i obfity sam przez się stanowić mógłby źródło bogactwa dla przedsiębiorcy, chcącego eksploatować bogactwa tej pięknej krainy. Jednak tuż obok tych wspaniałych drzew występują liczne rośliny trujące; najstraszliwszą z nich jest *guacha macau*.

Na ljanosach czyli sawannach pasą się niezliczone stada bydła, koni, osłów i mułów; wiele z tych zwierząt, pozabawionych stróża i schronienia umiera na pastwisku— i trupy ich zatruwałyby powietrze, gdyby nie kruk *samuro*, prawdziwa opatrność tych obszarów, który pożera je do ostatniego szczątka.

Z rozkoszą możnaby błędzić po tych cudownych lasach, po tych wspaniałych dywanach zieloności, gdyby na każdym kroku groźni ich mieszkańcy nie występowali do walki z człowiekiem o prawa do swej dziedziny; najgroźniejszym z nich jest jaguar, którego koloniści tutejsi zwą tygrysem, napadający na stada, a nawet na ludzi. Pantera lub lew bez grzywy jest znacznie mniej niebezpieczny i czyni spustoszenia jedynie pośród drobiu. Rzeki zamieszkane są przez krokodyle; całemi masami wylegują się one na ciepłym mule i grzeją w słońcu, rozsiewając wokoło przenikającą woń piżma. Wąż *cuaima* jest najgroźniejszym ze wszystkich gadów jadowitych Guyany; łatwo go można poznać po szaro ołowianej skórze, przypominającej skórę ropuchy, po głowie czworokątnej długości półtorametrowej i rogu, stanowiącym zakończenie ogona; na rogu tym wspiera się on, wypręża pionowo, rzuca się jak strzała na upatrzoną ofiarę i zabija ją w okamgnieniu; z zuchwałstwem *cuaima* napastuje też człowieka. Krajowców napęlnia on nadzwyczajną trwogą: ci z nich, którzy są chrześcijanami, uważają go za diabła, poganie zaś widzą w nim bóstwo zła. Często też spotyka się tu grzechotnik,

który wspina się na drzewa i stamtąd spada na nieprzyjaciela. Największy z węzów tutejszych, boa, nie jest jadowity, ale zato posiada siłę nadzwyczajną; wielkie zwierzęta czworonożne ściska on i dusi z łatwością, w swych potężnych skrętach; gdy jednak się nasyci dostatecznie, staje się apatyczny i spokojny,—i leży w trawie, nikonąc zupełnie między zwalonemi pniami drzew, przez które



Mieszkania na drzewach nad dolną Orinoko.

z trudem toruje sobie drogę wędrowiec. Wszystkie te gady jadowite jednak mniej spowodzają nieszczęść, niż pewien gatunek ryby, żyjący w wodach stojących. Gdy nieostrożny podróżnik, znęcony miłym widokiem spokojnego jeziora, zechce w nim zakosztować orzeźwiającej kąpieli, natychmiast ujrzy zbliżającą się ku niemu małą rybkę o pysku wydłużonym i uzębieniu, składającym się z jednolitej,

ostrej, jak brzytwa, kości u górnej i dolnej szczęki; gdy te ostrza stalowe wpiją się w ciało wówczas, gdy człowiek znajduje się zbyt daleko od brzegu, by uciec natychmiast na ląd, jest on już zgubiony: całe tysiące tych rybek, zwabionych raną i dobywającą się z niej krwią, rzucają się na ofiarę, która wreszcie słabnie od upływu krwi i bólu niezliczonych ran. Z drugiej strony jednak ryba ta jest też dobra do jedzenia; poławiają ją bardzo obficie wraz z wieloma innymi jadalnymi gatunkami wód Guyany.

Najbardziej rozpowszechnionym i najsilniejszym zwierzęciem czworonożnym jest tapir, ten mały słoń amerykański z nosem, zakończonym niezbyt rozwiniętą trąbą. Liczne również są dziki, zwane tu *baquiros*, mniejsze od naszych; posiadają znakomite mięso, a gruczoły, które znajdują się u nich na grzbiecie, dostarczają w obfitości piżma.

Małpy, wszystkie opatrzone długimi ogonami, żyją tu w wielkiej liczbie i wypełniają lasy swym dzikim wyciem. Mirjady ptaków o wspaniałym upierzeniu ożywiają lasy: najświetniejsze ze wszystkich są kolibry, które topazy i rubiny swych piór rozsypują po koronach przepysznych arystolachji, orchidei, powojów i tysiąca innych bajecznych kwiatów.

W wyższych częściach dorzecza Orinoko żyje wiele ciekawych, napół cywilizowanych plemion, pośród których napotyka się zjawisko *gieofagji*, to jest spożywania ziemi. Ta ziemia jadalna jestto żółtoczerwonawa, żelazista glina; z niej krajowcy lepia kulki lub placuszki, później suszą je, a przed spożyciem pieką; stanowi to raczej obciążenie żołądka, niż pożywienie i bywa używane tylko w czasach głodu; chociaż glina ta nie zawiera cząstek pożywnych, to jednak w ten sposób działa na żołądek Indjanina, że żyje on nieraz całe miesiące bez używania innych pokarmów; niekiedy glinę smażą na oliwie palmy *seje* i wówczas potrawa ta zawiera nieco pożywności. Gieofagja nie

wpływa źle na zdrowie u tych, którzy są do niej przyzwyczajeni, lecz żołądki nienawykłe cierpią od tego. Ale nawet Indjanie, którzy lubią ziemię i używają jej zbyt nieumiarkowanie, chudną znacznie i czerwona barwa ich skóry staje się bledszą. Niekiedy zamięłowanie do jedzenia gliny żelazistej jest u wielu Indjan tak gwałtowne, że można ich widzieć, jak od budowli z tego materiału odłupują kawałki i łakomie niosą do ust. Są oni przytym znawcami, gdyż każdy gatunek gliny ma dla nich inny smak — i nie wszystkie są jednakowo przyjemne dla podniebienia.

Pierwotną przyczyną gieofagji jest brak pokarmu; w rzeczy samej mieszkańcy górnego Orinoko niewiele posiadają produktów pożywnych. Uprawiają oni nieco ignanu, słodkich patatów i bananów; pozatym jedzą małpy, jaszczurki, a zwłaszcza mrówki. Pasztet z mrówek, przyprawny oliwą roślinną lub tłuszczem, stanowi, według zapewnień podróżników, znakomitą potrawę.

L. Plassard

KATARAKTY ORINOKO.

Wrażenie, jakie wywołuje w nas widok natury, zależy w mniejszym stopniu od właściwości okolicy, niż od oświetlenia. Inaczej zupełnie wygląda góra lub dolina pod błękitnym namiotem przezroczego nieba, inaczej zaś w cieniu nisko zawieszzonego obłoku.

Wpływ obrazów natury na człowieka warunkuje się również mniejszą lub większą ich zgodnością z potrzebami jego serca. Świat fizyczny odbija się żywo i głęboko w czującej duszy ludzkiej. Każda cecha indywidualna poszczególnego kraju — czy to będzie linja gór, ograniczających widnokrąg w mglistej dali, czy cieniste lasy jodłowe, czy

dziki strumień leśny, spadający hałaśliwie ze skalnego urwiska—wszystko to pozostaje oddawna w tajemniczym stosunku z uczuciowym życiem człowieka.

Na tym stosunku polega rozkosz, jaką nam sprawia natura. A nigdzie nie przenika nas ona takim uczuciem wielkości, nigdzie nie przemawia do nas tak silnie, jak w krajach międzyzwrotnikowych. Zabierając się do odmalowania obrazu wspomnianych okolic, mam nadzieję, że każda dusza wrażliwa odczuje głęboko ich powab właściwy.

Zachodni prąd wody i wiatry zwrotnikowe ułatwiają żeglugę na spokojnej toni morskiej, której wody zalały szerokie zagłębienie między Nowym Łądem i Afryką zachodnią. W miarę jednak zbliżania się ku wybrzeżu morze staje się coraz burzliwsze, fale pienia się i przecinają wzajemnie.

W pobliżu granitowych brzegów Guyany rozacza się przed oczyma podróżnika szerokie ujście potężnej rzeki, która, niby jezioro bez brzegów, gwałtownie toczy swoje nurty i wlewa do oceanu wodę słodką. Zielone fale rzeczne, które na mieliznach stają się białe jak mleko, odbijają dziwnie od błękitu morza, opasującego je wyraźną linią.

Nazwa Orinoco, nadana tej rzece przez pierwszych przybyszów, nie jest znana w głębi kraju. Ludy nieokrzesane, żyjące życiem prawie zwierzęcym, oznaczają osobnymi imionami geograficznymi tylko takie zjawiska przyrody, z których jedno łatwo za drugie wziąć można. Orinoco, Amazonka i Magdalena zowią się u nich prosto rzekami, lub wodami wielkimi; przeciwnie zaś mieszkańcy wybrzeży najmniejszym nawet strugom dają osobne nazwiska.

Prąd wody pomiędzy lądem południowo - amerykańskim i asfaltową wyspą Trinidad, utworzony przez nurty Orinoco, jest tak silny, że okręty, płynące pod wodę z żaglami rozpiętymi zaledwie mogą go pokonać przy pomocy ostrego wiatru zachodniego. Okolica ta pusta

i straszliwa zowie się zatoką Smutku (Golfo Triste). Przystęp do niej tworzy Otchłań Smocza (Boca del Drago). Pojedyncze skały wznoszą się tu, niby wieże, wśród rozhu-kanych bałwanów morskich. Zdaje się, że istniała tu dawniej tama skalista, która niegdyś łączyła wyspę Trinidad z wybrzeżem Paria—i została przerwana.

Dopiero widok tej okolicy przekonał śmiałego poszuki-wacza nowych światów, Kolumba, o bliskości wielkiego lądu Ameryki. Obeznaný z prawami natury podróżnik, słusznie wnosił, że taka masa wody słodkiej może się ze-brać w jednym łożysku tylko przy znacznej długości rzeki. Kraj więc, dostarczający tyle wody, musi być wiel-kim lądem, a nie wyspą zwyczajną. Podobnie jak towa-rzysze Aleksandra Wielkiego, brali przepelniony krokody-lami Indus za część Nilu, tak samo zdawało się Kolumbowi, nieobeznanemu z podobieństwem fizjonomicznym wszyst-kich płodów pasa palmowego, że nowy ten ląd jest wschod-nim wybrzeżem Azji, ciągnącej się tak daleko. Łagodny chłód wieczorowego powietrza, czystość przezrocza gwiaź-dzistego sklepienia niebios, balsamiczna woń kwiatów, nie-siona na skrzydłach powiewów lądowych, wszystko to ka-zało mu przypuszczać, że zbliżył się do ogrodu rajskiego, do świętej kolebki człowieka. Orinoco brał za jedną z tych czterech rzek, które według starożytnego podania wypły-wają z rajcu, aby zaopatrywać wodą ziemię, przyozdobioną roślinami, i dzielić ją na kraje. Ten poetyczny wstęp z listu Kolumba, pisanego na wyspie Haiti do Ferdynan-da i Izabelli, ma specjalny urok psychologiczny. Jest on dowodem, że twórcza fantazja poetycka objawia się tak sa-mo w odkrywcy światów, jak i w każdej istotnie wielkiej indywidualności ludzkiej *).

Podróżując po górnej Orinoco (w lecie 1800 r.), dotarłiś-

*) Lepiej jest jednak, gdy «twórcza fantazja» objawia się w roz-świecaniu ciemnych dróg przyszłości, niż w ożywianiu zgubnych fałszów przeszłości. (W. N.).

my do ujść Sodomoni i Guapo po tamtej stronie misji Esmeralda. Wznosi się tu wysoko ponad chmury potężny szczyt Yconnamari, inaczej Duida, który przedstawia jeden z najpiękniejszych widoków natury w klimacie zwrotnikowym. — Południowa pochyłość góry, pozbawiona zupełnie drzew, na całym obszarze swoim porośnięta jest trawą. Wieczorem wilgotne powietrze przepęlnia dokoła woń ananasów. Łodygi ich wystrzelają tu i owdzie z pośród niskich ziół i zdaleka już z pod błękitno-zielonych liści połyskują złote owoce. W miejscach, gdzie z pod murawy wytryska potok górski, stoją pojedyncze grupy wysokich palm wachlarzowych. Z liśćmi ich, w tej krainie wiecznych upałów, nie igra nigdy wietrzyk chłodzący.

Na wschód od Duidy rozpostarły się gęszcze dzikich drzew kakaowych, pośród których rośnie słynne drzewo migdałowe, najwspanialszy plód klimatu międzyzwrotnikowego. Tu Indianie zbierają materiał na swoje piszczałki. Są to łodygi olbrzymiej trawy, o kolankach nieprawdopodobnej, bo często 17 stóp przekraczającej długości.

Do ujścia rzeki Guaviare, Orinoco płynie wzdłuż południowych stoków pasma gór Parime. Od brzegu rzeki aż daleko poza równik rozpostarła się niezmierna równina Amazońska, lasami pokryta. W miejscu, gdzie Orinoco koło San-Fernando de Atabapo skręca raptownie ku północy, nurty jej przełamały część wspomnianego pasma gór. I tutaj właśnie, koło Atures i Maypures, znajdują się wielkie jej wodospady. Łoże, scieśnione w tej okolicy kolosalnymi urwiskami skał, przedstawia szereg pojedynczych wodozbiorów, poprzedzielanych naturalnymi gołbami.

Przed samym ujściem rzeki Meta, pośród silnego wiru wznosi się samotna skała, nazwana bardzo trafnie przez mieszkańców *kamieniem cierpliwości*, albowiem przy niskim stanie wody przez dwa dni nieraz zatrzymuje żaglowe statki, płynące w górę rzeki. Tutaj Orinoco, werznąwszy się głęboko w grunt, poczyniła w skałach malownicze

zatoki. Niezwykły widok zwraca uwagę podróżnika na przeciwko misji Carichana. Wznosi się tam stroma skała granitowa, mająca kształt dwieście stóp wysokiego sześcianu, który na grzbiecie swym dźwiga las drzew liściastych. Niby pomnik zbudowany przez cyklopów, samotny głaz ten o wiele przewyższa wierzchołki stojących dookoła palm—i odrzynając się ostremi konturami od błękitu nieba, przedstawia las ponad lasami.

Płynąc z Carichana z wodą w dół, przybywa się do miejsca, gdzie rzeka utorowała sobie łożę przez wązką cieśninę Baraguana. Tu wszędzie widać ślady chaotycznego spustoszenia. Dalej, na północ od Uruany i Eukamarady, wzniosły się potworne masy granitowe, porznięte w dziwaczne zęby, które, wskutek swojej olśniewającej białości, świecą się wysoko pomiędzy zaroślami.

W tej okolicy, począwszy od ujścia Apure, rzeka porzuca łańcuch gór granitowych. Skręcając ku wschodowi, oddziela ona nieprzebyte lasy Guyany od obszarów trawiastych, rozpościerających się pod sklepieniem niebieskim na nieprzejranej przestrzeni.

W pobliżu morza żeglarzowi nie grozi już żadne niebezpieczeństwo, prócz tratw naturalnych, o które rozbijają się czasami czółna, zwłaszcza w porze nocnej. Tratwy te—są to drzewa leśne, które gwałtownie wzbierające wody powyrywały z korzeniami i niosą dalej z sobą. Pokryte, nakształt łąk, kwitnącemi roślinami wodnemi, przypominają one pływające ogrody jezior meksykańskich.

Przejrawszy pobieżnie bieg Orinoca, przystąpimy teraz do opisanie wodospadów koło Atures i Maypures.

Od wyniosłego pnia górzystego Cunavami, między źródłami rzek Sipapo i Ventuari, posunął się ku górom Uniamma, daleko na zachód, grzbiet gór granitowych. Z tego górzystego grzbietu wypływają cztery rzeki mniejsze, które jakgdyby obstąpiły dokoła wodospad przy Maypures. Rzeki te są następujące: na wschodnim brzegu Orinoca

Sipapo i Sanariapo, i na zachodnim — Cameji i Toparo. Tam zaś, gdzie leży misjonarska wieś Maypures, góry utworzyły obszerną zatokę, otwartą ku południo-zachodowi.

Stąd, wzdłuż wschodnich stoków gór, niesie Orinoco pieniaące się wody. Daleko na zachodzie widać brzeg dawnego łoża rzeki. Pomiędzy obudwoma pasmami pagórków rozpostarły się obszerne błonia. Tu Jezuici zbudowali kościółek z drzewa palmowego. Równina wznosi się nad najwyższy poziom w rzece zaledwie na 30 stóp.

Widok geognostyczny całej tej okolicy, kształty wyspowe skał Keri i Oco, pieczary, wyżłobione falami w pierwszej z tych skał, i leżące na tej samej zupełnie wysokości, co i pieczary na przeciwległej wyspie Uivitari — wszystko to dowodzi, że Orinoco zalewała kiedyś zupełnie osuszone obecnie łożysko. Prawdopodobną jest rzeczą, że dopóki grobla północna stawiała dostateczny opór, wody tej wielkiej rzeki tworzyły obszerne jezioro. Ale skoro tama została przerwana, wyłonił się z nich w postaci wyspy porośnięty trawami obszar, który zamieszkali Guarekowie. Być bardzo może, że Orinoco oblewała jeszcze długo skały Keri i Oco, które, wznosząc się ponad dawnym łożyskiem, niby jakieś zamki na górach, tworzą bardzo malowniczy widok. Opadając powoli, wody ustąpiły wreszcie zupełnie aż ku wschodniemu łańcuchowi gór.

Przypuszczenia te potwierdzają niektóre okoliczności. Nasamprzód Orinoco, podobnie jak i Nil koło Philae i Syene, posiada tę szczególną własność, że wody jej, opłukując przez wiele wieków czerwono-białe bryły granitowe, obciążają je z biegiem czasu cieniuchną czarną powłoką. Szernienie do pewnej wysokości skalistych wybrzeży i pieczary, o których była mowa wyżej, wskazują na dawny stan wody w rzece Orinoco.

W skale Keri, na wyspach wodospadowych, w gnejsowym łańcuchu pagórków Cumadaminari, ciągnącym się powyżej wyspy Tomo i wreszcie koło ujścia rzeki Jao znaj-

dują się takie czarne pieczary na wysokości 150 do 180 stóp nad dzisiejszym poziomem wody w rzece. Obecność ich przemawia silnie za przypuszczeniem, że dzisiejsze rzeki, aczkolwiek i tak zastanawiają nas swoją wielkością—są tylko słabymi szczątkami ogromnych ilości wód z czasów przedhistorycznych *).

Te, same przez się narzucające się spostrzeżenia nie uszły nawet uwagi barbarzyńskich krajowców Guyany. Indianie wszędzie zwracali naszą uwagę na ślady dawnego stanu wody. Na błoniu koło Uruany wznosi się samotna skała granitowa, na której na wysokości 80 stóp wyżłobione są wizerunki słońca, księżyca i rozmaitych zwierząt, a mianowicie krokodyłów i węzów boa. Dziś niepodobieństwem byłoby dostać się do nich bez rusztowania, gdyż zbocze skały jest zupełnie pionowe. Tak samo dziwnie umieszczone są i napisy hjeroglificzne na górach Uruany i Eukamarady.

Krajowiec, zapytany, jakim sposobem mogły być one tam wyryte, tłumaczy, że stało się to za czasów wysokiego stanu wód, kiedy przodkowie jego pływali na tej wysokości w czółnach.

Północny kraniec wodospadu zwraca na siebie uwagę tak zwanymi naturalnymi wizerunkami słońca i księżyca. Wspominana już niejednokrotnie skała Keri otrzymała swe nazwisko od białej plamy, w której Indianie upatrują wielkie podobieństwo do księżyca w pełni. Po tak stromym zboczu nie mogłem wdrapać się na skałę; sądzą jednak, że plama owa jest zapewne grubym węzłem żył kwarcowych w szarawo-czarnej masie granitowej.

Podobna plama znajduje się i na drugiej, bazaltowej skale wyspy Uivitari, wznoszącej się naprzeciwko Keri. Indianie widzą w niej podobiznę słońca (Camosi) — i otaczają ją tajemniczym podziwem i uwielbieniem.

*) Dowodzi to tylko, iż rzeki płynęły niegdyś na wyższym poziomie. (W. N.)

Wodospady koło Maypures — to nie olbrzymia ściana wody, nagle walącej się w otchłań, jak naprzykład na Niagarze; nie są one również, jak Pongo de Manseriche na Amazonce, cieśninami rzeczniemi, czyli wężinami, któremi woda przeciska się z przyśpieszoną szybkością. Wodospady koło Maypures składają się z niezliczonych, małych kaskad, które następują po sobie rzędami, jak stopnie schodów. *Raudale*—tak Hiszpanie nazwali ten rodzaj wodospadów—powstały dzięki archipelagowi wysp skalistych, które tak silnie ścieśniły łożysko rzeczne, iż w pewnej jego części z 8000 stóp szerokości pozostało dla ujścia wód wszystkiego 20. Część wschodnia Raudalów jest obecnie mniej dostępna i daleko niebezpieczniejsza od zachodniej.

Dopłynąwszy rzeką do ujścia Cameji, podróżny, zmuszony jest wysiąść na brzeg i cały bagaż swój powierzyć obeznanym z raudalami Indjanom, którzy przenoszą go wraz z prózną pirogą aż do ujścia Topara. Od tego miejsca żegluga przestaje już być niebezpieczna. Jeżeli pojedyncze skały, tworzące stopnie wodospadu, nie przewyższają dwu lub trzech stóp, — wtedy krajowcy nie wahają się spuszczać po nich w czółnie z biegiem wody. Gdy zaś żegluga odbywa się w górę rzeki — wówczas płyną sami naprzód, a czółno wloką za sobą na linie. Następnie, często po wielu próżnych usiłowaniach, przerzucają linę przez wierzchołek jakiegokolwiek, z wiru wystającej skały — i w ten sposób ciągną czółno do góry. Podczas tej mozolnej pracy nieraz piroga napełnia się wodą, a często nawet przewraca.

Czasami zdarza się, iż czółno rozbije się o skałę. Tego jedynie obawiają przewoźnicy. Gdy się to stanie, wtedy potłuczeni do krwi, usiłują wydobyć się z wiru i dostać wpław do brzegu.

Gdzie stopnie raudalów są zbyt wysokie lub gdzie grobla skalista zajmuje całą szerokość łożyska, tam lekkie

czątno wyciągają na brzeg, i podłożywszy pod nie okrągłaki, ciągną je, jak na walcach, aż do miejsca, które okaże się odpowiednim do ponownego spuszczenia łodzi na rzekę.

Najbardziej znane i najniebezpieczniejsze stopnie nazywają się Purimarimi i Mauimi. Mają one dziewięć stóp wysokości. Wymiary barometryczne ku wielkiemu mojemu zdumieniu przekonały mię, że cały spadek raudalów od ujścia Cameji aż do ujścia Toparo, wynosi zaledwie 28—30 stóp. Mówię—ku zdumieniu—bo oto okazuje się, że straszny huk i szum na rzece i groźne zapienienie fal powstają jedynie wskutek ścieśnienia łożyska przez niezliczone skały i kępy, i wskutek przeciwnych sobie prądów, wywołanych postacią i położeniem tychże skał. Że twierdzenie moje nie jest mylnym i że cała spadzistość tej rzeki ma nieznaczną wysokość, o tym można się przekonać najlepiej, idąc od wsi Maypures na dół do łożyska rzeki przez skałę Mauimi.

Z miejsca tego oglądać można precudny widok. Na przestrzeni milowej rozpościera się zapieniona powierzchnia wód, z której, nakształt zameczysk i ruin, sterczą ku górze skały czarne jak żelazo. Każdą kępę, każdą skałę zdobią przepyszne drzewa leśne. Mgła gęsta unosi się wiecznie nad zwierciadłem wody. Przez chmurę piany parującej przezierają wierzchołki palm wysokich. W chwili zachodu, gdy ogniste promienie słońca łamać się zaczęły w wilgotnym powietrzu, pojawiają się urocze zjawiska optyczne. Tęcze nikną i znów powstają nad wodami, a lekkie powiewy kołyszają swawolnie te obrazy nieuchwytnie.

Dokoła, na nagich skałach, wody, spływające w czasie długiej pory deszczowej, osadziły całe kępy ziemi rodzajnej. Kępy te, ozdobione melastomami, droserami, paprociami i małemi mimozami o srebrzystym listowiu, przedstawiają grzędy kwiatów wśród bezpłodnych skał. Przypominają one Europejczykowi owe grupy roślin, które alpejscy górale nazywają *courtils* — owe złomy granitowe,

pokryte kwiatami, wysterczające tu i owdzie z lodowców sa-
baudzkich.

W błękitnej dali oko spoczywa na pasmie gór Cunava-
mi, które ciągnie się wzdłuż daleko i kończy ściętym stoż-
kiem. Stożkowa ta góra, nazwana przez Indjan Calita-
mini, w blasku zachodzącego słońca zdaje się gorzeć czer-
wonym płomieniem. U podnóża gór nie powstała dotych-
czas niczyja noga. Być może, że blask ów pochodzi od
szklących się blaszek łupka talkowego albo mikowego.

Raudale koło Atures, zupełnie podobne do raudalów
koło Maypures, są także archipelagiem wysp, pomiędzy
którymi fale przeciskają się gwałtownie na przestrzeni 3000
do 4000 toazów. Tworzą one rodzaj gaju palmowego, wy-
stępującego ze zwierciadła wód. Najbardziej znane stop-
nie wodospadów znajdują się między wyspami Avaguri
i Javariveni, oraz między Suripamana i Uirapuri.

Powracając z Bonplandem od brzegów Rio-Negro, zde-
cydowaliśmy się przepłynąć niższą połowę raudalów koło
Atures w czółnie z ładunkiem. W ciągu tej podróży wy-
siadaliśmy kilka razy na skały, które, niby groble, łączą
wyspę z wyspą.

Wody albo przewalają się przez groble, albo z hukiem
przytłumionym wpadają do ich wnętrza. Dzięki temu ło-
żysko rzeki miejscami jest zupełnie suche, gdyż woda uto-
rowała sobie drogę kanałami podziemnymi. Tu gnieźdzą
się żółto-złote kury skalne, z podwójnym ruchomym czu-
bem na głowie. Ptaki te należą do najpiękniejszych two-
rów świata zwrotnikowego.

W raudalach koło Canucari utworzyły groblę spiętrzo-
ne głazy granitowe o kształtach kulistych. Weszliśmy
tam do wnętrza jaskini, której wilgotne ściany pokryte by-
ły konferwami i świecącym byssusem. Ponad naszemi
głowami szumiały i huczały przeraźliwie wody rzeczne.
Przypadek zdarzył, że musieliśmy być świadkami tego
wspaniałego zjawiska natury dłużej, niżbyśmy sobie tego

żyć mogli. Indianie opuścili nas w samym środku wodospadu, aby na czołnie naszym długimi manowcami opłynąć wązką wyspę i zabrać nas znowu na dolnym jej cyplu. Półtorej godziny czekaliśmy na nich wśród ulew- nego deszczu i huku wód. Tymczasem noc rozpostarła nad wodami czarną swoją zasłonę; nadaremnie szukaliśmy schronienia w szczelinach skał granitowych. Małpki, któreśmy już od kilku miesięcy wozili ze sobą w klatkach plecionych, płaczliwymi krzykami zwabiły mnóstwo krokody- łów. Z wielkości ich i barwy ołowiano-szarej mogliśmy wnosić, że jaszczury te były bardzo stare. Nie wspo- mniałbym o tym zwykłym na rzece Orinoco zjawisku, że- by nas Indianie nie byli zapewnili, iż dotychczas nie spo- strzeżono w wodospadach ani jednego krokodyla. Ufając ich słowom, kapaliśmy się nawet kilka razy w tej części rzeki.

Tymczasem z każdą chwilą rosła w nas obawa, że po- za przemoknięciem do suchej nitki, będziemy jeszcze zmu- szeni wśród ogłuszających grzmotów wodospadu przepędzić długą noc zwrotnikową między skałami raudalów. Ale Indianie zjawili się wreszcie. Opóźnili się tak dlatego, że stopień, z którego mieli się spuścić z wodą, z powodu niz- kiego jej stanu okazał się zupełnie niedostępnym. Mu- sieli więc w labiryncie kanałów szukać innej drogi.

U południowego wejścia do raudalów koło Atures, na prawym brzegu rzeki leży słynna wśród Indjan jaskinia Atarupe. Okolica cała uderza wielkim majestatem i po- wagą, jakgdyby była przeznaczona na grobowiec narodo- wy. Trudno wdrapać się na skałę po stromej, zupełnie nagiej ścianie granitowej, co chwila grozi niebezpieczeń- stwo stoczenia się w głęboką przepaść. Nie byłoby nawet można utrzymać się na nogach na tak gładkiej pochyłości, gdyby wielkie kryształły szpatu polnego, opierając się zwie- trzeniu, nie wystawały ze ścian skalistych.

Warto jednak dostać się na sam szczyt skały — gdyż

niespodzianie otwiera się z niej widok na całą, rozrzuconą dokoła okolicę. Pokryte lasami pagórki występują z pięniącej się rzeki. Na wybrzeżu zachodnim widać rozległe, porośnięte lasami dorzecze Mety, a na samym widnokręgu pasmo gór Uniama, w postaci groźnie nadciągających chmur gromowych. Są to widoki, leżące na dalszym planie — w najbliższej zaś okolicy wszystko jest puste i zacieśnione. Nad głęboko pooraną doliną unosi się w powietrzu samotny sęp i kraczące *caprimulgi*. Cień ich, znikający co chwila, wlecze się leniwie po nagich ścianach skał.

Kotlinę obstały wokoło góry, których zaokrąglone szczyty dźwigają ogromne granitowe kule o czterdziestu do pięćdziesięciu stopach średnicy. Ma się wrażenie, że kule te jednym tylko punktem dotykają podstawy i że za najslabszym wstrząśnieniem ziemi stoczą się natychmiast na dół.

Tylną część skalistej doliny porasta las drzew liściastych. W zacieńczonym tym miejscu znajduje się wejście do jaskini Ataruipe — właściwie do obszernej niszy skalnej, wyłobionej przez sięgające niegdyś do tej wysokości wody. Ataruipe jest grobowcem wygasłego plemienia. Znaleźliśmy tam około sześciuset dobrze zachowanych szkieletów ludzkich w tyłuż koszach, uplecionych z liścia palmowego. Kosze te, które Indjanie nazywają *mapires*, są rodzajem czworograniastych worków różnej wielkości, stosownie do wieku zmarłego. Nawet nowonarodzone dzieci otrzymuje taki kosz po śmierci. Szkielety zachowane są tak doskonałe, że nie brak w nich ani jednego żebra.

Kości te są poczęści bielone, poczęści zabarwione na czerwono farbą Onoto z Bixa Orellana, poczęści zachowane w liściach pizangowych i wonnej żywicy na podobieństwo mumji. Indjanie mówili nam, że istniał u nich zwyczaj zakopywania świeżych trupów do wilgotnej ziemi, aby części mięsne uległy zgniciu; później dopiero od-

grzebywano zwłoki dla oczyszczenia kości z pozostałych cząstek mięsa, do czego używano ostrych kamyków. I dziś jeszcze zwyczaj ten panuje u niektórych hord Guyany. Prócz opisanych wyżej kosztów spotykaliśmy również urny z gliny napół wypalonej, które zdawały się zawierać kości całych rodzin.

Urnę tę mają kolor zielonawy, są na trzy stopy wysokie, a na pięć i pół długie. Kształt ich jest prawidłowy, owalny, uszy zdobne w krokodyle i węże, a brzegi w labirynty i meandry. Ozdoby te są zupełnie podobne do tych, które zdobią ściany pałacu meksykańskiego koło Mitla. Napotykam je wszędzie, we wszystkich strefach, u ludów najrozmaitszych stopni rozwoju; zarówno u Greków i Rzymian, jak na tarczach Otahejczyków i innych ludów wyspiarskich morza Południowego, wszędzie, gdzie bawi oko sztuka rytmicznego powtarzania form prawidłowych. Podobieństwa te nie dowodzą wspólnego pochodzenia ludów ani istnienia dawnych stosunków pomiędzy nimi; wpływają one z pewnych ogólnych cech psychicznych.

O wieku tych naczyń tłómacze i przewodnicy nasi nie umieli nas objaśnić. Przypuszczaliśmy jednak, że większość szkieletów nie miała więcej nad sto lat. Wśród Indjan Guareca istnieje podanie, że waleczni Aturowie, ustępując naporowi ludożerczych Karibów, szukali schronienia na skałach wodospadów—i tutaj całe plemię ludzkie wraz z językiem zaginęło. Grobowce takie znajdują się w najnieodstępniejszej części raudalu. Jest prawdopodobne, że ostatnia rodzina Aturów niedawno wymarła, w Maypures bowiem znajdowała się jeszcze stara papuga, o której twierdzili Indjanie, że nikt jej nie rozumie dlatego, iż mówi po atursku.

Gdy zaczął zapadać mrok, opuściliśmy jaskinię, zabierając ze sobą kilka czaszek i jeden szkielet cały, co bardzo zgorszyło naszych miejscowych przewodników. Szkieletów ze znaczną ilością naszych zbiorów zatonął wraz z okrę-

tem, przyczym utracił życie przyjaciel nasz i dawny towarzysz podróży J. Gonzales.

W poważnym nastroju, jakby przeczuwając tę stratę bolesną, opuściliśmy grobowiec zaginionego plemienia ludzkiego. Noc była jasna i chłodna, jak zwykle pod niebem międzyzwrotnikowym. Tarcza księżyca, okolona barwnymi pierścieniami, rzucała z zenitu blask swój na rąbek mgły, która występowała wyraźnie z ciemnej przestrzeni, jak obłok, zasłaniając pieniającą się rzekę. Niezliczone owady rozlewały czerwonawo-fosforyczne światło na zielone kobierce murawy. Ziemia iskrzyła się żywym ogniem, jakgdyby gwiazdziste sklepienie niebios opuściło się na trawami porośłe obszary. Drogę do jaskini zdobiły wijące się bignonje, żółto kwitnące banisterje i wonna wanilja; nad samym grobowcem szumiały wierzchołki palm niebotycznych.

Tak wymierają pokolenia ludzkie. Sława narodów rozwiewa się w przestworach czasu, jak głos w powietrzu. Ale chociaż wszelki kwiat ducha więdnie z czasem, a dzieła sztuki twórczej ulegają zniszczeniu w burzy wieków, jednakże zawsze i wszędzie wytryska z łona ziemi świeże, wiecznie nowe życie. Matka Natura rozwija bezustannie świeże pąki, nie bacząc na to, czy swawola nieprzejednanego rodu ludzkiego nie zdepcze stopą dojrzewającego owocu.

Al. Humboldt.

L J A N O S Y.

Ponieważ pierwotne ludy Ameryki nie znały życia pasterskiego, które, przykuwając koczownicze hordy myśliwskie do poroślej trawą gleby, jest naturalnym przejściem do uprawy roli—więc i olbrzymie trawiaste stopy Ameryki Południowej były prawie niezaludnione. Zato siły natury

rozwinęły się tu tym swobodniej w najróżnorodniejszych postaciach zwierzęcych, gdyż działanie ich w tym kierunku nie było ograniczone niczym, prócz siebie samych. Rozmaitość kształtów zwierzęcych jest tu, zaiste, zdumiewająca. Tu przebiegają stopy rączy agutis, małe, pstro cętkowane jelenie; tam podobne do szczurów pancerne armadile, wypłaszają zającą z podziemnej kryjówki; tu żeruje trzoda le-



L j a n o s y.

niwych chiguirów—tam cuchnącemi wyziewami zatrują powietrze stado pięknych pręgowatych wiwer; nieco dalej majestatycznym krokiem przechadza się wielki lew bez grzywy—a opodal pstro cętkowany jaguar (zwykle zwany tygrysem) czatuje na młodego byka — którego uduszenie i wciągnięcie na wzgórze nie przedstawia dla niego zbyt wielkiej trudności.

I gdyby nie rozrzucone tu i owdzie palmy wachlarzowe (*Mauritia*)—rozległa ta równina, jakgdyby stworzona wyłącznie na mieszkanie dla zwierząt, nie zdołałaby przyciągnąć żadnej z hord koczowniczych, które i tak zwyczajem azjatycko-indyjskim, przenoszą pożywienie roślinne nad zwierzęce. Ale liczne zalety tego dobroczynnego drzewa zwabiły lud Guaranów, osiadły przy ujściu rzeki Orinoco, i w dodatku pomogły mu zachować swoją niezależność. Guaranowie tu i owdzie pościnali palmy, i na pniach ściętych drzew oparli podłogę napowietrznych domostw. Oprócz tego od pnia do pnia porozpinali wiszące maty, utkane z listowia maurycji — ażeby w porze deszczowej, kiedy delta stoi pod wodą, jak mały chronić się na drzewa.—Wiszące te chaty są wyłożone w niektórych miejscach gliną, aby na wilgotnej podłodze niewiasty mogły bezpiecznie rozkładać ogień. Człowiek płynący tamtędy rzeką w porze nocnej, widzi w dali szeregi ognisk, oddzielone od ziemi i buchające płomieniem wysoko w powietrze. Zachowanie fizycznej, a może nawet i moralnej niepodległości swojej aż do obecnej chwili Guaranowie zawdzięczają grzązkiemu, napół ciekłemu gruntowi swych bagnisk, po których umieją biegać tak lekko, i przemieszkowaniu na drzewach tej wysokiej rzeczypospolitej, do której amerykańskiego słupnika z pewnością nie zwabi nigdy gorliwość religijna.

Ale bo też, poza bezpiecznym schroniskiem, maurycja dostarcza jeszcze i rozmaitych pokarmów. Nim się jeszcze na palmie płci męskiej pojawi cieniuchna pochewka kwiatowa, rdzeń pnia w okresie tym dostarcza w obfitości mączki sagowej, która, podobnie jak mąkę z korzenia jatrofy, suszą tu w kształcie cienkich, do sucharów podobnych placuszków. Z soku drzewa Guaranowie wyrabiają słodkie i upajające wino palmowe. Owoc palmy, pokryty wązkiemi łuseczkami i podobny do czerwonych szyszek jodłowych, jak banany i prawie wszystkie owoce strefy gorą-

cej, dostarcza różnego rodzaju pokarmów, zależnie od tego, czy jest spożywany aż po zupełnym rozwinięciu pierwiastku cukrowego, czy też w fazie wcześniejszej, gdy obfituje w mączkę.

I oto był całego tego pierwotnego plemienia uzależniony jest prawie zupełnie od jednego drzewa palmowego, jak był tych owadów, które rozwijać się mogą tylko na niektórych, ściśle określonych częściach kwiatu.

Od chwili odkrycia Ameryki równiny jej zaczęły się zaludniać. Aby ułatwić stosunki handlowe pomiędzy wybrzeżem i Guyaną (dorzecze Orinoco) tu i owdzie nad rzekami stepowemi pobudowano miasta. Wszędzie, na całej tej nieprzejrzaney przestrzeni rozpoczęto hodowlę bydła. Z trzciny i rzemienia splecione i skórąmi zwierząt pokryte chaty stoją samotnie na stepach, oddalone od siebie o dzień drogi, a nawet i więcej. Wśród bujnych traw uganiają się niezliczone stada dziczających wołów, koni i mułów.

Pod pionowemi promieniami niechmurzącego się słońca murawa rozsypuje się wreszcie w proch — i stwardniała gleba pęka, jakby wskutek gwałtownego trzęsienia ziemi. A gdy na wypalonych przestrzeniach spotkają się dwa przeciwne prądy powietrza, których walka kończy się ruchem wirowym, wówczas stepy stają się widownią scen niezwykłych. W postaci olbrzymich lejów, sunących końcami po ziemi, piasek gwałtownie wznosi się ku niebu, jak woda w trąbach morskich — i zajmuje środek rozrzedzonego i elektrycznością napełnionego wiru powietrznego. Sklepienie niebios zdaje się zniżać ku ziemi i obrzuca całą pustynię posępny półświatłem koloru słomy. I oto nagle skraje horyzontu zbliżają się ku sobie, step się zwięża — a obłoki duszącego kurzu, unoszące się jakby w zamglonej atmosferze, powiększają jeszcze upał. Wiatr wschodni, przbiegając nad spalonymi skwarem równinami, zamiast chłodu, przynosi jeszcze większą spiekotę.

Powoli wysychają nawet kałuże, które spłowieła pal-

ma wachlarzowa cieniem swych liści bronila dotąd przed słońcem. I jak wśród lodowatej północy wszystkie zwierzęta drętwieją od mrozu, tak tutaj schowane głęboko w wyschlým pokładzie gliny, drzemią w martwym bezruchu krokodyl i wąż boa. Wszędzie zapanowyywa śmiertelna posucha, która tymbardziej daje się we znaki, że spragniony wędrowiec wskutek okrutnej gry łamiących się promieni świetlnych, widzi dokoła złudne obrazy wód rozfalowanych. Wążka smuga powietrza oddziela od ziemi widniejący w dali gaik palmowy, który zdaje się wisieć w powietrzu. Jestto fata-morgana, złudzenie optyczne, powstające wskutek zetknięcia się dwóch niejednakowo ogrzanych, a zatem i różnie gęstych warstw powietrznych. Pośród ciemnych obłoków pyłu, nękane głodem i jak ogień palącym pragnieniem, błakają się konie i woły; pierwsze, wyciągając pod wiatr szyję, parszczają nozdrzami, aby z wilgoci, zawartej w powietrzu, rozpoznać, czy niema gdzie w pobliżu jakiej, nie zupełnie jeszcze wyschlęj kałuży; drugie zaś wydają od czasu do czasu ryk przeciągły, żaloszny.

Zmyślniejszy i przebieglejszy od nich muł stara się zaspokoić pragnienie w inny sposób. Rosnący tu kulisty kaktus melonowy pod kolczastą osłoną ukrywa rdzeń, obfitujący w wodę. Muł przednią łapą odgina kolce na bok — i potem dopiero ośmiela się przytknąć pysk do kaktusa, aby zeń wyssać sok chłodzący. Lecz czerpanie z tego żywego zdroju roślinnego niezawsze wolne jest od niebezpieczeństwa; częstokroć ostre kolce kaktusowe ranią nogę zwierzęcia i okulawiają je.

Po spiecu dnia nadchodzi chłodna noc. Ale nawet wśród nocy biedne zwierzęta nie mogą wypocząć należycie. Podczas snu, niby upiory, ssą z nich krew olbrzymiej wielkości nietoperze, i wygryzają im w grzbietach jęczące się rany, w których się gnieźdzą moskity i inne kolące owady. Takie życie nieznośne i pełne udęczeń prowadzą

zwierzęta, skoro skutek skwaru słońca zniknie woda z powierzchni ziemi.

Gdy wreszcie po długiej posusze nastąpi dobroczynna pora deszczów, naówczas widok stepów ulega gwałtownej zmianie. Ciemny błękit nieba, dotychczas zawsze bezchmurnego, coraz bardziej jaśnieje. Od strony południa, niby dalekie góry, pojawia się na widnokręgu samotny, pionowo wznoszący się obłok. Opary wzmagają się coraz bardziej i rozchodzą się w postaci mgły aż poza zenit. I oto nagle daleki grom zwiastuje odżywczą ulewę.

Zaledwie wierzchnie warstwy ziemi wchłoną nieco wilgoci—a już step wonieje, porastając różnorodnymi trawami. Rozwijające się szybko kwiaty i świegotanie ptaków witają wschodzące słońce. Konie i woły pasą się swobodnie, z wesołym ożywieniem. W bujnych trawach i burzanach czai się centkowany jaguar, odmierza bacznie szerokość skoku i rzuca się na przechodzące obok zwierzęta.

Według opowiadania mieszkańców tamtejszych okolic, nad brzegami bagnisk mają tu często miejsce dziwne zjawiska. Oto ni stąd ni z owąd przemokła glina zaczyna się powoli podnosić do góry, niby skiba—i naraz wylatuje wysoko w powietrze, z mocnym hukiem, jaki zwykle ma miejsce przy wybuchach niewielkich wulkanów błotnych. Kto patrzy na to nie po raz pierwszy — ten jaknajprędzej ucieka z tego miejsca, wie bowiem dobrze, że to waż olbrzymi albo krokodyl wyłażą z grobu, obudzone pierwszą ulewą z pozornie śmiertelnego snu.

Zwolna w rzekach Arauca, Apure i Papara ograniczających równinę na południu, zaczynają przybywać wody. Wkrótce część stepu zmienia się w nieprzejrzaną jezioro. I oto te same zwierzęta, które w pierwszym półroczu usychały z pragnienia na bezwodnych, pełnych kurzu równinach, obecnie skazane są na życie ziemnowodnych. Klacze ze źrebietami cofają się na wyższe ławice, wynurzające się, niby wyspy ze zwierciadła wód. Ale

z każdym dniem coraz bardziej zacieśnia się niezalany obszar. Zwierzęta w gromadach pływają całymi godzinami w różnych kierunkach, w braku paszy żywiąc się nędznie kwitnącą wikliną, która wyziera z brunatnej, zapienionej wody. Wiele żrebiąt tonie, wiele zaś staje się łupem krokodyłów. Często też można spotkać konia lub wołu ze śladem ostrego zęba na udzie; — jestto skutek nieudanych łowów tych olbrzymich, krwiożerczych jaszczurów.

Ale nie tylko krokodyle i jaguary polują na konia w Ameryce Południowej — i między rybami ma on tam również niebezpiecznego wroga. Wody bagnistych okolic Bera i Rastro przepełnione są niezliczoną ilością drętwiaków. Klejowate, złocistymi centkami pokryte ciało tych ryb obdarzone jest własnością dowolnego wysyłania prądu elektrycznego. Drętwiki dochodzą do sześciu stóp długości. Wyładowawszy w stosownym kierunku swoje, przepełnione nerwami, naczynia, mogą one położyć trupem największe zwierzę. Nawet rybaka, siedzącego na wysokim brzegu, drętwik nabawi czasem strachu, przesławszy mu po wilgotnym sznurku wędki niespodziewane wstrząśnienie. Tak ogień elektryczny wybucha tutaj nawet z łona wód.

Bardzo malowniczy widok przedstawia połów drętwiaków. Indjanie, otoczywszy bagno zwartym kołem, zapędzają w nie konie i muły. Niezwykła wrzawa pobudza wkrótce ryby do walki. Drętwiki wiją się, jak węże, na powierzchni wody i wciskają się zręcznie pod brzuchy czworonogów, z których mnóstwo ginie od gwałtowności niewidzialnych uderzeń, a reszta, najeżywszy grzywy i parskając głośno nozdrzami, z dzikim przerażeniem w roziskrzonych ślepiach pierzcha przed srożącą się burzą. Lecz Indjanie długimi trzciniami bambusowymi zapędzają biedne ofiary z powrotem do bagna.

Powoli uśmierza się zaciekłość nierównej walki. Nakształt chmur wypróżnionych pierzchają znużone ryby.

Aby odzyskać rozproszoną w walce siłę galwaniczną, potrzeba im długiego odpoczynku i obfitego pożywienia. Uderzenia ich wstrząsają coraz słabiej. Wreszcie, przerażone nieustannym hałasem, sprawianym przez postępujące naprzód konie, ryby zbliżają się trwożliwie ku brzegom. Indjanie witają je harpunami i przy pomocy suchych, nieprzewodzących elektryczności, drągów wyciągają na ląd.

Według *Al. Humboldta*.

LAS DZIEWICZY GUYANY.

Guyana pokryta jest niezmiernymi lasami, przerywanymi zazwyczaj tylko rzekami i rzadkimi polanami, w miejscach, gdzie grunt nie jest dość żyzny, by dostarczyć soków drzewom. Przestrzenie, zwane sawanami, porośnięte są trawą i służą za pastwiska dla bydła. Sawany zajmują niskie okolice Guyany, w pobliżu wybrzeży: we wnętrzu napotkaliśmy jeden tylko obszar sawanowy, leżący w pobliżu miasta Cotica.

Mało kto ma dokładne wyobrażenie o lasach zwrotnikowych. Malarze i powieściopisarze nauczyli nas widzieć w tych lasach niezliczone palmy, drzewa o dziwacznych kształtach, pokryte pasorzytami i oplątane w ljaury, biegnące od gałęzi do gałęzi, jak liny na masztach statku. Opis ten prawdziwym jest tylko dla drobnych wysepek nadbrzeżnych Guyany, oraz dla wybrzeży rzek w pobliżu ujścia.

Lasy dziewicze, wielkie lasy, jak nazywają je w Guyanie, mają wygląd chłodny i surowy. Tysiące kolumn na 35 do 40 metrów wysokich, wznosi się ponad naszymi głowami i podpira masę zieloności, zupełnie prawie tamującą promienie słońca. U stóp nie widać ani żdźbła trawy, zaledwie parę drzew wiotkich i smukłych, śpieszących się, by dorównać wysokością swym sąsiadom dla zdobycia trochę światła i powietrza. Poza trochę paproci i innych roś-

lin bezkwiatowych, na ziemi leżą suche liście i gałęzie, pokryte pleśnią.

«Brak powietrza. Czuć febrę», mówił jeden z mych towarzyszy. Życie zdało się opuścić ziemię, by przenieść się w górę, do masy zieloności, stanowiącej sklepienie tego olbrzymiego tumu. Dopiero na tej, 40-metrowej wysokości widać biegające małpy, stamtąd słysząc śpiew mnóstwa ptaków o bogatym i różnobarwnym upierzeniu. Na poziomie wód rzecznych roślinność traci swą surowość, zyskuje na wdzięku i malowniczości. I tutaj słońce jest przywilejem drzew największych, wydzierających się ku niemu; ale i najmniejsze otrzymują swą cząstkę ciepła i światła. Trawy i krzewy, rozwijając się bujnie, pokryte są kwiatami i owocami o świetnych kolorach. Wstrętne grzyby i ciemna paproć ustępują miejsca roślinom o liściach bogatych w barwy, o wdzięcznych kwiatach. Ljany pną się od ziemi do wierzchołków najwyższych drzew, wspierając się na spotykanych po drodze krzewach. Są to łączniki między wielkimi i małymi. Jednakowo rozdzielone światło wytwarza harmonję nie tylko w świecie roślinnym, ale także i w zwierzęcym. Zwierzęta wszelkich gatunków wspólnie dzielają dobrodziejstwa natury.

J. Crevaux.

K A J E N N A.

Widziana z lotu ptaka Guyana wygląda, jak morze zieloności. Jestto najzupełniejszy wyraz potęgi zwrotnikowej roślinności. Poza kilku oddalonymi łańcuchami gór, przecinającemi prostopadłe rzeki i tamującemi ich bieg spławny w odległości jakich dwudziestu mil od ujścia, Guyana jest krainą równin, wśród których wznosi się kilka odosobnionych wierzchołków, jak wyspy z pośród morza.

Widok Kajenny z przystani jest nadzwyczajnie malo-

wniczy. Pokryte zielenią wzgórza, bukiety palm kokosowych wystrzelające z pośród domów, kształt budowli, rąbek drzew na horyzoncie, wszystko to jest urzeczywistnieniem tego, co myślimy o mieście kreolskim. Gdy wstąpimy na ląd, wrażenie jest jeszcze zupełniejsze. Domy i ludność odpowiadają sobie zupełnie. Szyby są tu nieznane i mieszkania chronione są od słońca i deszczu przez zewnętrzne ganki, okryte zieloną tkaniną i ruchomymi żaluzjami, które dopuszczają przewiew. Szerokie, nieszczególnie brukowane ulice, pokryte są w porze suszy czerwonym pyłem żelazistym, który, rozpuszczony deszczami zwrotnikowymi, zmienia się w błoto, okropne dla ubrania. Do niedawna trawa rosła tu swobodnie po ulicach, a czystość ich pozostawiona była wyłącznie stadom ptaków, zwanych *urubu*, gatunku czarnych sępów o wyglądzie odrażającym. Są to patentowani czyściciele, którzy porządkują drogi publiczne z wszelkich nieczystości, jakie tam są rzucane. *) Wszystkożerne i mało wybredne co do pożywienia szanują wszystko, co żyje, ale rzucają się na wszystko, co jest martwe. Mają niemiły zapach, ruchy ciężkie i niespokojne. Gdy się nasycą, siadają na dachach domów, gdzie przenoszą z filozoficznym spokojem zarówno słońce, jak deszcze. Gdy wraca pogoda, rozwijają swe skrzydła zmokłe, jak okręt, suszący swe żagle, i kręcą się z wiatrem, jak prawdziwe chorągiewki; zarząd miejski osłania je swą opieką; są to urzędnicy nietykalni: nie wolno ich zabijać pod karą pieniężną.

Fr. Bouyer.

NOCNE ŻYCIE ZWIERZĄT W LESIE PIERWOTNYM.

Przebiegszy okiem obszary leśne, ciągnące się w Ameryce Południowej od Ijanosów Wenezueli do pampasów

*) Podobną ptasią policję sanitarną spotykamy w Meksyku, na Antyllach i wogóle w okolicach zrotnikowych Ameryki Południowej.

La Platy, to jest od 8^o szer. pn. do 19^o szer. pd., można się przekonać, że lasów równie rozległych niema na całej kuli ziemskiej. Przestrzeń ta jest blisko dwanaście razy większa od powierzchni całych Niemiec. Płyną tu we wszystkich niemal kierunkach rzeki, których dopływy drugorzędne obfitością wód przewyższają niekiedy Ren i Dunaj; klimat wilgotny i gorący wpływa na świetną bujność roślinności. W pasach umiarkowanych, zwłaszcza w Europie i Azji północnej, lasy nazywać można wedle gatunku drzew, które rosną razem, jako rośliny towarzyskie tworząc pojedyncze lasy. W północnych lasach dębowych, jodłowych i brzoźowych, we wschodnich lasach lipowych panuje zwykle jeden tylko gatunek drzew a gdzieś indziej drzewa iglaste pomieszane są z liściastymi. Ta jednorodność roślinności leśnej jest obca zupełnie pasowi gorącemu. Niesłychana różnorodność roślinności międzyzwrotnikowej nie pozwala określić, z czego właściwie złożone są tutejsze pierwobory. Rosną tu obok siebie najrozliczniejsze rodziny; na niewielkiej nawet przestrzeni nie można znaleźć roślin jednakowych. Co dnia, przy każdej zmianie miejsca, podróżny spotyka nowe gatunki.

Jedynymi drogami tej krainy są rzeki z niezliczonymi swymi dopływami. Czynione często obserwacje astronomiczne lub oznaczanie położenia zakrętów rzecznych za pomocą kompasu wykazały, że na przestrzeni między rzekami Orinoko, Cassiquiare i Rio-Negro leżą nieraz w odległości kilku tylko mil dwie samotne wioski misjonarskie, z których mnisi w odwiedziny do siebie płynąć muszą półtora dnia czółnem z pnia drzewnego.

Płynąc od zachodu na wschód rzeką Apure, dostaliśmy się wreszcie do rzeki Orinoko. Poza wyspą Del Diamante, na której mówiący po hiszpańsku Zambosi uprawiają trzcinę cukrową, dostajemy się pośród wspaniałej dzikiej natury. W powietrzu unoszą się niezliczone flamingi i in-

ne ptaki wodne, tworząc jakby zmienną chmurę na błękie niebios. Łożysko rzeki ścieśnia się tu tylko do 900 stóp szerokości i przedstawia jakby prostolinijny kanał pośród gęstego lasu. Przed nieprzebytą prawie ścianą drzewnych olbrzymów na samym rąbku piaszczystego brzegu rzeki stoi bardzo regularny żywopłot z sanso; ma on tylko cztery stopy wysokości; są to małe krzaki, należące do ostromleczowatych. W tym żywym płocie znajdują się w znacznych odstępach otwory podobne do bram. Otwory te zostały bezwątpienia wytworzone przez wielkie zwierzęta czworonożne, wychodzące z lasu do rzeki; tędy chodzą mianowicie o brzasku dnia i przy zachodzie słońca tygrysy amerykańskie, tapiry i świnie (pecari). Jeżeli kłódz Indjanina spłoszy przypadkiem te zwierzęta to uciekają one do lasu, ale nie przełamują przytym gwałtownie żywopłotu, lecz zwolna i spokojnie postępują między nim i rzeką nieraz kilkaset kroków i znikają dopiero gdy osiągną otworu.

Poniżej missji Santa Barbara de Arichuna, przepędzi-
liśmy noc, jak zwykle, pod gołym niebem na piasku wy-
brzeża rzeki Apure. Byliśmy otoczeni nieprzeniknionym
lasem. Z trudnością tylko zdołaliśmy nazbierać suchego
drzewa dla rozniecenia ogni, któremi według zwyczaju tu-
tejszego osłania się obozowisko od napadów jaguara. Noc
była nieco wilgotna i rozjaśniona światłem księżyca. Liczne
krokodyle zbliżały się do brzegu rzeki. Zdaje się, że
nęcił ich widok ognia podobnie jak nasze raki i inne zwie-
rzęta wodne. Wiosła naszych czułych wbite mocno w zie-
mię posłużyły nam do rozpięcia naszych mat. Wszędzie
panowała głęboka cisza, przerywana tylko chrapaniem del-
finów rzecznych. O godzinie jedenastej powstała w po-
bliskim lesie tak wielka wrzawa, iż resztę nocy musieliś-
my przepędzić bezsennie. Między mnóstwem głosów, na-
pełniających powietrze, nasi Indjanie mogli rozróżnić te
tylko, które w krótkich przerwach dawały się słyszeć po-
jedyńczo. Było to np. jednostajne, żalodne wycie małych

(wyjćów), fletowe tony małych krętogonów (sapajous), chrapliwe mruczenie kotomalp, przerywany wrzask wielkiego tygrysa i kuguara, czyli lwa amerykańskiego, świni pecari, leniwca, mnóstwa papug i t. d. Ile razy tygrys zbliżył się do brzegu lasu, tyle razy pies nasz, który przedtym czekał bez przerwy, zaczynał wyć i krył się pod rozpięte maty. Chwilami słychać było wrzask tygrysa z wysokości drzewa; i wtedy właśnie najprzeróżliwiej odzywały się piskliwe głosy małp, które starały się uciec przed niezwykłą pogonią.

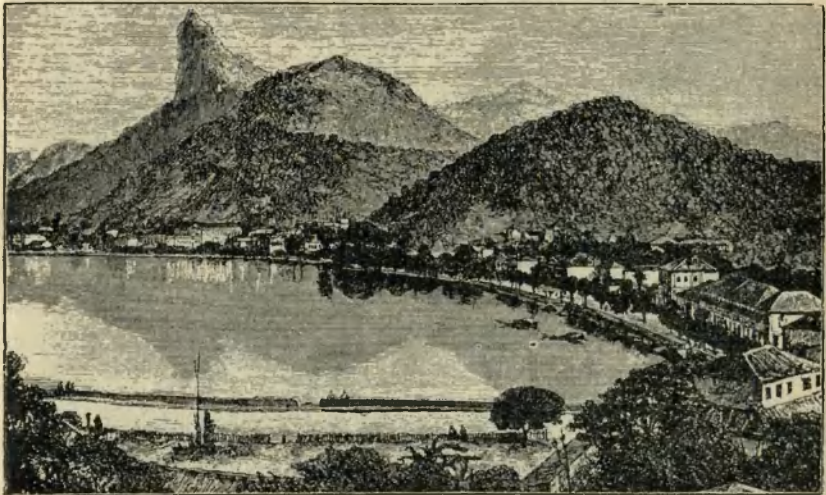
Gdyśmy się pytali Indjan, dlaczego w pewne noce panuje ten nieustanny wrzask, odpowiadali z uśmiechem: «zwierzęta radują się z pięknego blasku księżyca, obchodzą uroczystość pełni». Mnie ta scena zdawała się być walką między zwierzętami: jaguar ściga tapiry i pecari, które uciekając tłumnie przełamują zarośla drzewne, stojące im na drodze. Małpy na wierzchołkach drzew przerażone tym ruchem na dole powiększają swemi wrzaskami wrzawę zwierząt większych. Wrzawa ta budzi też i ptactwo spoczywające towarzysko w gniazdach i tym sposobem cały świat zwierzęcy zostaje wprawiony w ruch. I rzeczywiście później przekonaliśmy się, że wrzawa taka powstaje nie tylko podczas nocy księżycowej: owszem najgłośniejsza wrzawa bywała zawsze podczas silnej ulewy, lub gdy błyskawica wśród grzmotów piorunowych oświecała wnętrze lasu. Dobroduszny franciszkanin, który nam towarzyszył w podróży naszej przez katarakty Atures i Maypures do granic Brazylii, obawiając się wieczorem zbliżającej się nocnej burzy, zwykł był mówić: «oby nieba nam i bestjom dzikim w lesie użyczyć raczyły nocy spokojnej».

Al. Humboldt.

RIO JANEIRO.

Jak lśniąca tarcza ze szlachetnego metalu rozściela się wokół naszego parowca ocean, skapany w blasku zwrotni-

kowego słońca, przykryty olbrzymią kopułą z szafirów. Przed nami wznoszą się malownicze wybrzeża i wyniosłe, pokryte egzotycznym lasem, góry. I oto wjeżdżamy do pięknej niezrównanie, ujętej we wzgórze malownicze, zatoki Rio de Janeiro. Zaiste, trudno było lepiej wybrać miejscowość dla stolicy tej rozległej i szczęśliwej krainy! W cudnej tej zatoce zarzucać mogą kotwicę okręty wojenne całego świata



Zatoka Rio de Janeiro.

Droga prowadzi między dwiema nagiemi skałami granitowymi, tworzącemi zaledwie na 1400 metrów szerokie wejście do zatoki. Jakiż czarujący obraz roztacza się teraz przed naszymi zachwyconemi oczami! Z oddali witają nas swemi fantastycznie modelowanemi kopułami i rogami góry Organowe. Dziwacznie ukształtowane przedgórza ograniczają miasto od północy. Na wzgórzach wznoszą się okazałe klasztory, w części pozamieniane obecnie na

koszary; gdzieś tam szczyty górskie uwieńczone są zamkami. Cudowna, ciemnoniebieska zatoka, usiana skałami, wyspami i fortami, gmachy wyniosłe i malachitowe lasy, niezliczone okręty wszystkich narodów żeglarskich w przystani, barwne flagi, wspaniałe ogrody, wdzięczne wille na wybrzeżu—wszystko to czaruje przybysza. Tych nawet, co oglądali słynną zatokę Neapolitańską, krajobraz ten uderza i przejmując zachwytem. — Ale oto kotwica zaryła się w ziemię i łódź wiezie nas na wybrzeże. Jakież rozczarowanie czeka nas przy wejściu do miasta! Ulice są



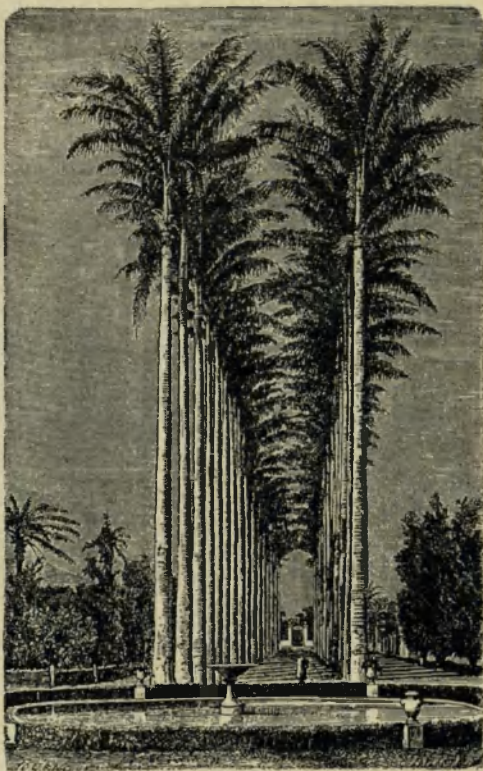
Klasztor w zatoce Rio de Janeiro.

prawie wyłącznie ciasne i brudne, domy przeważnie nędzne, gmachy publiczne niezbyt okazałe, kościoły piękne i bogate wewnątrz tylko. Kunsztownie zbudowane wodociągi doprowadzają doskonałą wodę do miasta, które posiada też piękne wodotryski. Nad morzem ciągną się urocze aleje, ochronione przed naporem fal morskich olbrzymią groblą granitową; przechadzając się tutaj, mamy przed sobą śliczny widok na wspaniałą zatokę i majestatyczną, wiodącą do niej skalistą bramę.

Ludność miasta przedstawia wielką pstroczinę; na ulicach tłoczą się ludzie o wszelkich barwach skóry. Liczba czarnych i brunatno-żółtych przewyższa liczbę białych. Murzyni, dźwigający ciężary, chodzą tu, śpiewając; uwagę zwracają dziwnie zbudowane lektyki i ciężkie wozy, przez muły ciągnięne.

Partery domów zajęte są przeważnie przez sklepy; na wyższym piętrze przed każdym oknem znajduje się balkon. W teatrze również dziwne sprawia wrażenie różnokolorowość widzów; spotykają się tu wszystkie odcienie od białego koloru do czarnego, przeważają jednak tony ciemne. W łóżach widowie, stanowiący sferę «wyższą», od wiedzają się wzajemnie, co poczytywane jest za szczególnie dobry ton; na parterze panuje nieprzyjemny, często gwałtowny hałas.

Wieczorem Rio wydaje nam się piękniejsze, niż za dnia. W domach na wybrzeżu połyskują szeregi świa-



Aleja palmowa w Rio de Janeiro.

teł, na cichych falach zatoki suną pojedyncze statki, marynarze śpiewają swe pieśni narodowe, — pozatym wokół panuje cisza uroczysta. Mięki powiew wieczoru przynosi tu odurzające wonie od ogrodów, poblizkie, lasem porośłe góry ślą ku nam swe aromatyczne pozdrowienia. W łagodnie poruszanych falach odbijają się miliony gwiazd południa; okręty wszystkich narodów kołyszą się spokojnie obok siebie w łagodnym świetle księżycowym, które mniej groźnemi czyni nawet czarne masy wielkich statków wojennych.

Gdy nanowo powraca dzień, rozpoczyna się też nanowo ruchliwe, wartkie życie południa. Ludzie różnych barw skóry, odziani w najrozmaitsze stroje, wymijają się i tłoczą, w uchu dźwięczy hałas mieszany wszystkich języków. Murzyni na drągach dźwigają ciężary przy akompanjamencie ciągłego śpiewu; ze śpiewem tym miesza się skrzyp ciężko ładownych wozów, ciągnionych przez woły, od strony zamków dobiega huk wystrzałów armatnich, z okrętów, wchodzących i wychodzących z przystani słychać trzask rakiet, uświetniających codzien prawie obchodzone przez mieszkańców święta kościelne — wszystko to wytwarza nigdzie nie spotykany hałas, który nas narażenie wprost oszałamia. W czasie wycieczek w okolice Rio de Janeiro spostrzegamy z przykrością, że są one, jak na tak wielkie miasto, nadzwyczaj słabo zabudowane i zaludnione. Niema tu fabryk ani miejsc wycieczek, w które tak obfitują okolice wszystkich większych miast europejskich.

Według zbioru *A. Kleinschmidta*.

W B R A Z Y L J I.

Pod względem ukształtowania powierzchni w Brazylii rozróżnić można dwie części: ogromne niziny Amazonki i źródłowych rzek La Platy, Paragwaju i Parany, oraz wyżynę, obejmującą całą część południowoschodnią tej

krainy. Niziny te pokryte są niezmiernymi lasami dziewiczymi i poprzerywane olbrzymimi rzekami Ameryki Południowej. Obszary wyżyn są trawiaste, ale przerywane je doliny—również pokryte gęstymi lasami w których splecionej roślinności krajowiec może torować sobie drogę jedynie zapomocą wielkiego noża.

Przed nami roztacza się w bezmiar niezamieszkała puszcza dziewicza, dysząca najbujniejszym, jakie posiada ziemia, życiem roślinnym i zwierzęcym, ale dla pojedynczego podróżnika groźna, jak pustynia; gdyż w żadnym



Las dziewiczy nad Amazonką.

razie liczyć on nie może na spotkanie podobnej sobie istoty, a jeśli spotka horde czerwonoskórych łowców, to nie może być pewnym, czy to zetknięcie się przypadkowe nie grozi mu najpoważniejszym niebezpieczeństwem. Pozbawiona ścieżek, nieprzebyta gęstwina tej puszczy leśnej stanowi jednak nęcącą zagadkę, działa ona rzeczywiście na przybysza pociągająco, oszałamiająco, potężnie, a jednak pozostaje groźną, gdyż nieświadomy łatwo zgubi

się w labiryncie zarośli, grożą mu tam niebezpieczeństwa wszelkiego rodzaju i łatwo zdarzyć się może, że nie zdoła wydostać się z nich i zginie. Ale właśnie czar tej tajemniczości pociąga nas w przejmujące grozą głębiny lasów dziewiczych. Podziw w nas budzi wspaniałość dumnych, wyniosłych drzew z pięknym sklepieniem liściastym; nie możemy napatrzeć się dosyta na nieskończone bogactwa tego świata roślinnego, na wiecznie zmieniające się jego formy, na dziwaczne kwiaty, wydające woń upajającą; ale wyobraźnia nasza roi o czymś jeszcze bardziej czarującym, jeszcze piękniejszym i wspanialszym — i pociągani obietnicami jej, wciąż głębiej zapuszczamy się w cieniłą głąb lasów, z których nie przeznaczono nam już może nigdy powrócić. Myśl jednak, że przenikamy w obszary, niedotknięte jeszcze nigdy stopą cywilizowanego człowieka, zawiera w sobie coś nieodparcie nęcącego. Fantazja znajduje dla siebie mnóstwo nowego materiału, roi niebezpieczeństwa i okropności, czające się w kryjówkach tej obcej, groźnemi mocami opanowanej przyrody. Przy szeleście liścia, poruszanego powiewem wiatru, nasłuchujemy strwożeni, czy nie grozi nam jakiś wąż jadowity śmiertelnym swym ukąszeniem; gdy z gęstwiny doleci trzask łamanych gałęzi, lękamy się, że podejść nas może straszliwy jaguar, król tej puszczy; tysiączne, nieznanne głosy obijają się ustawicznie, zwłaszcza w pewnych porach nocy, o nasze uszy i podniecają naszą wyobraźnię. Ale w tej świadomości właśnie, że jest się wciąż otoczonym przez groźące niebezpieczeństwa, leży jakiś szczególny, niewypowiedziany urok dla ludzi zdrowych i silnych! Jednakże czasami na najsilniejszych i najodważniejszych przychodzi w tej puszczy zielonej znużenie i zwątpienie, gdy głęboka cisza lasów zmorą na pierś mu legnie, gdy w gorącej tęsknocie pragnie chociaż raz jeszcze usłyszeć głos ludzki, ujrzeć ludzką twarz.

Niezmierzona nizina, po której płynie Amazonka ze

swemi olbrzymiami dopływami, jest pokryta pierwoborem na przestrzeni 130000 mil \square , a więc dorównywującej prawie całemu lądowi Australji; całe to dorzecze wznosi się bardzo niewiele ponad poziom morza. Grunt przeważnie napływowy odznacza się wielką żyznością, a żyzność ta wzmagą się jeszcze wskutek ciągłego osadzania się obumarłych organizmów roślinnych.

Olbrzymie rzeki, w porównaniu do których nasza Wisła jest strumykiem drobnym, toczą swe ciemne wody po tej lesistej nizinie ku oceanowi. W błotnistych, prawie stojących, wodach nadbrzeżnych rośnie wysoka trzcina, a bezpośrednio za nią, gdzie suchy ląd się rozpoczyna, wznoszą się olbrzymy pierwoboru, splatające się swemi gałęziami. Jeszcze daleko w głębi lasu można obserwować osad mułu wysoko na pniach drzewnych — pozostawione przez naturę ślady ostatniego wylewu. Napozór spokojne rzeki występują w porze deszczowej ze swych brzegów i zalewają obszary leśne do wysokości piętnastu metrów. Wówczas wody różnych rzek mieszają się ze sobą i tworzą olbrzymie jezioro. Na obszarach nieco wyżej leżących powstają wtedy liczne kanały, przerywające las w rozmaitych kierunkach. Już na początku pory deszczowej wszelkie istoty ciepłokrwiste chronią się pośpiesznie w okolice wyżej leżące. Z dnia na dzień fala wznosi się wyżej. Olbrzymi czarny wąż obwija się około grubych gałęzi, ryby uganiają się wśród koron drzewnych, a niekiedy zabłąka się tutaj i niezgrabny kajman. Wielkie ropuchy i inne wstrętne twory drzemią na gałęziach pośród wspaniałych kwiatów orchidei, gęste chmury brzęczących komarów otaczają najwyższe szczyty drzew. Około sześciu do ośmiu tygodni trwa najwyższy stan wód, następnie woda opada, zamulone dno lasu wynurza się, ale długo jeszcze w zagłębieniach pozostają kałuże brudnej wody.

Nic na świecie nie da się porównać z tą głęboką melancholją, jaka w czasie pory deszczowej zalega nad temi

nieprzejrzanemi borami. Przygniata nas parne powietrze. Przed naszą łodzią unoszą się chmury cheiwych krwi komarów, z drzew kapie nieustająca rosa, kwiaty zamykają swe kielichy, zwierzęta kryją się bezgłośnie wśród liści. Nie widać ani ptaków, ani motyli; do uszu naszych dochodzi tylko pomrukiwanie świnki wodnej i monotonne głosy żab i ropuch, które zupełnie odpowiadają nastrojowi krajobrazu. Nakoniec zapada noc; samotność w tym rozplakany rosą pustkowiu staje się jeszcze straszniejszą, gdyż żadna przyjazna gwiazda nie przesyła nam swych jasnych promieni. Nawet spokojna twarz księżycy ukrywa się zupełnie poza ciężkimi chmurami. Przez gąszcze leśne przebijają się ku nam żalosne ryki zgłodniałych drapieżców, niby skargi potępieńców.

Ale w każdej porze roku i dnia puszcza przedstawia nieskończone mnóstwo zmiennych, pełnych wdzięku obrazów; w palących blaskach południowego słońca, w tajemniczym świetle gwiazdzistej nocy zwrotnikowej, w czasie krótkich chwil porannego brzasku i wieczornego zmroku, podczas szalejącego orkanu — zawsze budzi ona w nas podziw, zdumienie lub grozę.

Łódź nasza ślizga się cicho po falach w pierwszych brzaskach poranku; lekkie opary pokrywają milczący krajobraz; jeszcze wszyscy mieszkańcy boru są pogrążeni w śnie. Wschód jaśnieje, wreszcie ponad smugą lasów podnosi się czerwona kula słoneczna. Przez senny las przechodzi lekkie drgnienie, świeży wietrzyk poranku przynosi nam z dalekich drzew pojedyncze głosy ptaków; ale jeszcze jest cicho póki ciepło słoneczne nie przeniknie ożywczo w przemoczone nocną rosą organizmy. Powoli budzi się senny świat leśny. Liczne stada małą wspinają się raźnie na najwyższe szczyty drzew. Wyjce witają nowy dzień donośnemi okrzykami. Ptaki fruują dokoła gałęzi. Na zeschniętych konarach obumarłego drzewnego olbrzyma siedzą nieruchomo stada czarnych sępów. Wdzięczne syl-

wetki srebrnobiałych czapli odcinają się malowniczo na ciemnozielonym tle liści. Zrywa się lekki wietrzyk i rozwiewa mgliste opary. Odurzający zapach oznajmia nam, że i świat roślinny pod wpływem ciepła został powołany do nowego życia. Świat zwierzęcy krząta się raźniej; stada kaczek i czarnogłowych mew zajęte są pilnie łowieniem ryb. Rącze sarny i stada *peccari* ukazują się na wybrzeżu rzeki. W koronach drzew kryją się liczne małpy, przeżarte widokiem jaguara. Nieustający gwar napełnia powietrze. Zielone papugi jedzą śniadanie, składające się z jagód. Słońce wznosi się wyżej i wyżej, dochodząc wreszcie do zenitu. Straszliwy żar paraliżuje znów wszelkie życie. Ryby kryją się w głębie wód, ssaki i ptaki — w cieniste gąszcze leśne. Tylko kajmany cieszą się upałem i niezgrabne swe cielska rozciągają z lubością na mierzniach piaszczystych. W dali widać dumne palmy, wznoszące swe korony wśród rozpalonej atmosfery. Wonne, palące powietrze działa odurzająco na zmęczone nerwy; lecz z tej apatii budzą nas nieprzyjemnie bolesne ukłucia owadów. Zwolna upał się zmniejsza: promienie słońca stają się ukośnemi, z rzeki powiewa przyjemny chłód.

Wreszcie czerwona kula słońca zapada poza koronami drzew, pograżając na pożegnanie niebo zachodu w morze najwspanialszych barw. I nakoniec nad ciemnym lasem zapalają się gwiazdy nieba południowego.

Mieszkańcy puszczy w swych ukryciach ułożyli się do snu. Głęboka cisza zaległa nad rozległą samotnią leśną; tylko wiatr nocny szmerze cicho w koronach drzew, i głucho uderzają fale w poplątane korzenie drzew nadbrzeżnych. Zdała błyskają wody w bladym, drżącym blasku księżycowej pełni; krawędź lasu odrzyna się ostro na sklepieniu nieba po obu brzegach rzeki, rzucając szerokie pasy cienia na zwierciadło wód nadbrzeżnych. Teraz przybijamy do lesistej wyspy rzecznej. Żwawo wyskakują Indianie na brzeg, oświecony światłem księżycowym

i szybko rozniecają ognisko. Następnie udają się na polów szyldkretów; zrećnie wywracają te zwierzęta na grzbiet, przerzynają im gardła i znoszą pośpiesznie zdobycz do obozowiska. Szyldkrety posiadają jeszcze innego nieprzyjaciela: jaguar poszukuje też tego smakowitego kąska i niekiedy rzuca się wściekle na człowieka, który go pozbawia takiej wybornej uczy.

Po spożyciu szyldkretów wszyscy znużeni kładą się spać na suchym piasku nadbrzeżnym. Krajowcy zapadają zaraz w głęboki sen; my jednak nie możemy zasnąć, gdyż cuda przyrody zwrotnikowej zbyt poruszyły nasze dusze.

Dokoła w lesie nad połyskującą powierzchnią wód głębokie milczenie. Naraz zdała daje się słyszeć w wodzie bulgoczący szum, przerywany głębokim wzdychaniem; dopiero co nieruchome wody zaczynają się falisto poruszać i roztaczać srebrzyste kręgi. Szum ten szybko ucicha, ale zbudzeni Indjanie szepcą bojaźliwie, gdyż domyślają się kajmana.

Znów cisza. Wtym z poblizkiej mielizny rozlega się chrapanie krokodyla, a następnie pomruk jaguara. Śród lasu wyspy uwijają się fosforyzujące owady, których blask wprawia nas w zdumienie. Krajowcy używają je do oświetlania: przymocowują je w tykwach z dziurami; tym sposobem posiadają naturalne lampy, lub też przywiązują je sobie do palców dla rozświetlania ciemności leśnych w drodze.

Północ już minęła; jakiś niemiły ciężar zawisł nad nami, uciskając nam serca i zmysły: czarne masy chmur zasłoniły firmament,—to burza się zbliża. Nagle poryw wiatru—poruszanie koronami drzew. Gromady obłoków pędzone przez burzę, biegną z szybkością strzały; słyhać trzask łamiących się suchych gałęzi. Parę błyskawic żółtemi zygzakami przerywa ciemne tło chmur; rozlega się huk piorunu; ciężkie krople uderzają z dźwiękiem o wodę. Wreszcie spadają potoki deszczu, przebijające nawet naj-

gęstsze schronisko. Błotniste strumienie, szumiąc, spływają z wyspy. Drzewa, rażone piorunami, wałą się z trzaskiem na ziemię. Wśród świata zwierzęcego powstaje straszliwy zamęt. Dzikie zwierzęta uchodzą w najgęstsze knieje; ptaki przerażone latają dokoła; owady przyczepiają się mocno do dolnych powierzchni szerokich liści; tylko ziemnowodnym dobrze pod spływającymi bez końca potokami wody, i niezliczone żaby wznoszą swe radosne pienia ku niebu. Zwolna zamęt się zmniejsza, deszcz ustaje; chmury rozdzielają się i odpływają, — znowu następuje cisza. Ale nagle przerywa ją znów dziwny, przerażający krzyk, jak się zdaje, przez istotę ludzką wydany. Zbudzeni Indianie mruczą coś z przestachem — sądzą, że to jakaś istota upiorna, «pan lasów» wydaje ten głos. Nawet zwierzęta zdają się być nim przerażone, i dzikie ich krzyki napęniają las. Prawdziwie piekielny koncert. Prawdopodobnie jakaś zażarta walka między zwierzętami wywołała ten straszny niepokój. Powoli wrzaski cichną. Wreszcie nastaje brzask, sylwety drzew zaczynają się wyłaniać z mroku. Złote promienie słońca zaigrały na najwyższych szczytach drzew. Przez świat zwierzęcy przeszło lekkie drgnienie.

Spożywamy śniadanie i puszczamy się w dalszą drogę, by po kilku godzinach wylądować w ubogiej wiosce indyjskiej.

Według zbioru *A. Kleinschmidta*.

DZIEŃ POD RÓWNIKIEM.

Jakże szczęśliwy jestem tutaj, jak głęboko i serdecznie zaczynam pojmować to, co dotąd było niedostępne memu zrozumieniu; świętość tego miejsca, gdzie wszystkie siły natury łączą się w jeden wspaniały chór, rozplómienia myśl i uczucie. Teraz dopiero zaczynam zdawać sobie sprawę z tego, jakie szczytne zadanie ma przed sobą badacz

odwiecznych tajemnic przyrody. Codziennie wsłuchuję się w olbrzymie, niewypowiedziane, a jednak pełne życia jej milczenie, i coraz silniej pragnę odgadnąć treść w nim zaklętą.

Oto trzecia rano; porzucam moje wiszące łóżko, gdyż wzruszenie spać mi nie daje, otwieram drzwi i spoglądam w mrok królewskiej nocy. Niebo skrzy się gwiazdami; rzeka płonie odbiciem zachodzącego księżyca. Wszędzie cisza, pełna dziwnych tajemnic. Z migotliwą latarnią w ręce wychodzę na chłodną werandę i spoglądam na moich wiernych przyjaciół: drzewa i krzewy, okalające moje mieszkanie.

Niektóre drzemią ze złożonymi liśćmi; inne zaś, które zwykły sypiać w dzień, stoją cicho, wyprostowane i czuwające wśród milczenia nocy. Wonne paulinje witają mię słodkim aromatem, zaś wyniosła, mroczna manga, rozpościera nademną gęstą swą koronę, jakgdyby mię chciała chronić od wieczornej rosy. Wielkie ómy, jak mroczne widma obiegają mą latarnię.

Cykada, ukryta gdzieś w domu, nawołuje mię cykaniem do powrotu i ofiarowuje szczęśliwemu marzycielowi, oczekującemu dnia, swoje towarzystwo; brzęczenie moskitów i żalosne krzyki lelków płoszą senność.

O piątej zaczynam spostrzegać dokoła zbliżanie się poranka. Gęsta szarość, przeświecona różowością świtu i stopiona z nią w jedną zwartą masę — zalewa całe niebo; tylko zenit jest nieco ciemniejszy. Kształty drzew stają się coraz wyraźniejsze, jakgdyby bliższe; zwolna zaczyna się budzić wiatr, wiejący ze wschodu. I oto na wierzchołkach drzew kładą się pieśczośliwie pierwsze różowe błyski.

Gałęzie i liście wilgną od rosy; przelatują chrząszcze, brzęczą komary, nawołują się ptaki — małpy z krzykiem chronią się w gęstwinie; ómy, oślepienie blaskiem, szukają nocy w cieniu leśnym; połyskują zroszone łąki; zwierzęta nocne biegną z powrotem do swych kryjówek — a przebiegłe kuny

skradają się zdradziecko ku domowemu ptactwu, któremu napuszony kogut obwieszcza poranek.

Powietrze powoli napełnia się jasnością; zbliża się dzień.

I oto olbrzymia żagiew zapala się nad ziemią — jak czerwona błyskawica olśniewa oczy wychylająca się z poza widnokregu krawędź słońca — ognista kula wznosi się ku górze — wreszcie staje nad horyzontem — i unosząc się nad falami płomieni, obrzuca ziemię snopami blasków. Delikatny półcień przedświtę rozplywa się i pierzcha przed wielkimi skośnymi promieniami światła — i po chwili cała ziemia obleka się w tryumfalną, młodą, radosną jasność dnia. Na niebie ani jednej chmurki, nad ziemią rozpiął się namiot niezmaconego błękitu. Wszystko żyje; zwierzęta i rośliny oddają się rozkoszy i walce.

Około godziny siódmej rośa zaczyna znikać, wiatr cichnie, ciepło wzrasta wyraźnie. Słońce wznosi się szybko na tle przezroczystego błękitu.

Około dziewiątej łąka jest już zupełnie sucha. Na drzewach lasu jedne kwiaty stoją w pełni rozkwitu, inne zaczynają się rozwijać, inne znów już uwiędły. W godzinę później obłoki, które dotąd zalegały białymi strzępkami zachodni horyzont, zaczęły się spiętrzać, ciemnieć i wznosić ku zenitowi, zakrywając niekiedy słońce. Rośliny drżą pod promieniami słońca, złociste chrząszcze, różnobarwne motyle i kolibry uwijają się wesoło; ścieżki roją się od mrówek, które maszerują długimi szeregami, dźwigając liście, stanowiące dla nich materiał budowlany. Ale i leniwsze zwierzęta odczuwają czar słońca: krokodyl wylaży z mułu na suchy brzeg i rozciąga się na gorącym piasku; szyldkrety i jaszczurki opuszczają swe wilgotne, zacienione kryjówki, węże pełzają po ciepłych, oświetlonych ścieżkach. Obłoki układają się warstwami, coraz cięższe, gęstsze, ciemniejsze, otaczają horyzont, ku zenitowi stają się coraz jaśniejsze, niby olbrzymie góry. Nagle

pokrywa się niemi całe niebo; tylko tu i owdzie przegląda przez nie ciemny błękit. Słońce kryje się za chmurami, ale żar rozpalonego powietrza cięży tymbardziej nad krajobrazem.

Południe już przeszło. W całej naturze jakaś głęboka melancholja i o ciężałość. Spragnione zwierzęta biegają bezładnie; tylko najspokojniejsze, najleniwsze, ukryte w cieniach lasu, nie wiedzą nic, że zbliża się wielki przełom w naturze: już powietrze się oziębia, wiatr zrywa się dziko, wstrząsa lasem i morzem, które piętrzy się falami coraz ciemniejszymi. Raz poraz błyskawica rozdziera obłoki, grzmot toczy się powoli, groźnie; krople padają. Rośliny oddychają po znużeniu; wtym nowy grzmot i — nie deszcz, lecz potoki wody leją się z wstrząsanego nieba na ziemię. Las szumi i trzeszczy od spadających kropel i łamanych gałęzi. Zwierzęta przerażone kryją się pod liśćmi i gałęziami, zapomniawszy walki. Tylko zwierzęta zimnokrwiste cieszą się z tego powszechnego potopu — z łąk odzywają się wesole chóry żab. Ale chmury szybko się wypróżniają i wkrótce burza ustaje.

Słońce wynurza się z kłębow chmur w odnowionym blasku, chmury się rozchodzą, obniżają się na południe i na północ i znów jak rano obrębiają powiewnemi kształtami lazurowy skraj firmamentu. I znów niebo uśmiecha się do ziemi, a ziemia wkrótce zapomina minionej grozy. W godzinę później nie widać już ani śladu burzy; rośliny radują się znów pod ciepłemi promieniami słońca i zwierzęta poruszają się znów w zwykły sobie sposób, ulegając wrodzonym popędom. Zbliża się wieczór i nowe chmury ukazują się między białemi obłoczkami, obrębiającemi horyzont i krajobraz powleka się zwolna fioletowemi i żółtawemi odcieniami. Słońce zapada pośród jaskrawej gry barw. Ze zniknięciem słońca ustaje niespokojny ruch wśród świata zwierzęcego, który układa się do snu. Jeszcze czas jakiś igrają blaski zapadłego słońca na szczytach

drzew; w tym śród cichego chłodu ponad ciemnym lasem wznosi się jak widmo srebrnobiały księżyc i przedmioty zlewają się w nowe, łagodniejsze formy. Noc osłania ziemię; przyroda zapada w sen i marzenie; na niebie ukazują się niezliczone gwiazdy, mówiące nam o dalekich wspaniałych światach; i człowiek po dniu trzeźwego patrzenia pograża się w mgliste senne marzenie.

Martius.

A M A Z O N K A.

Amazonka, najobfitsza w wodę rzeka na ziemi, zajmuje miejsce środkowe pośród trzech wielkich systematów rzecznych Ameryki Południowej. Obszar, z którego zbiera ona swe wody wyrównywa połowie Europy. Dopływy jej dorównują największym głównym rzekom Europy. Od swych źródeł w górnej Peruwji nosi ona nazwę Maranonu, od ujścia Ukayali do ujścia Rio-Negro zowie się Silismoes, a poniżej do ujścia — Amazonką. Płyynie ona pośród olbrzymich pierwoborów Brazylii, jej coroczne wylewy rozpoczynają się we wrześniu i dosięgają w marcu swego stanu najwyższego. To wzbieranie i opadanie jest jednym z najwspanialszych zjawisk natury. Gdy tylko rzeka wzniesie się do pewnej wysokości ponad powierzchnię swych wysp, zalewając zarośla trzcinowe, wtedy ptaki opuszczają te miejsca i odlatują we wnętrze lądu. Pełną gwaru ptasiego okolicę zalega wtedy cisza i ryby igrają w tych miejscach, gdzie przedtym wygrzewały się na słońcu krokodyle, lub żerowały tapiry. Fale rzeki stają się coraz burzliwsze i wzbierają coraz wyżej; pod ich naporem chwieją się wielkie drzewa, zwierzęta uciekają w okolice wyżej leżące. Tylko pojedyncze ptaki, jak np. papugi, trzymają się na szczytach najwyższych drzew. Tymczasem woda napawa ożywczo rośliny, które pokrywają się won-

nemi kwiatami i las wygląda jak ozdobny ogród zalany wodą. Ryby pływają w cieniach drzew, krokodyle i szylkrety zawędrowały też na płytkie wody zabrzeżne. W cztery do sześciu tygodni po najwyższym stanie wód, zaczynają się znów wynurzać pokryte mułem obszary leśne. Trawy i krzewy rozwijają się bujnie, a zwierzęta powracają do swych zwykłych siedlisk.



Victoria Regia, roślina wodna, z liśćmi kolistymi do 2 m. średnicy—w spokojnych zatokach Amazonki i innych rzek zwrotnikowej Ameryki Południowej.

Żegluga po tej olbrzymiej rzece nie otwiera nam widoku pełnych życia rojowisk ludzkich jak nad rzekami krain wysokiej kultury, ale zato jakże potężnie występuje tutaj przyroda. Jednym nieprzerwanym pierwoborem jest kraina, ku której wpływa z Andów Marannon. Po wschodzie słońca budzą się do życia mieszkańcy leśni. Wielkie gromady małp obsiadają najwyższe szczyty drzew, gdzie

nie może ich dosięgnąć strzała Indjanina. Wogóle większa część zwierząt ucieka wczesnym rankiem z niższych, cienistych i wilgotnych gąszczy leśnych, które dopiero około południa stają się upragnionym miejscem schronienia; na szczytach drzew siedzą też stada sennych, czarnych sępów, które suszą tu swe skrzydła na słońcu. Szczególniej pięknym jest widok stad śnieżno-białych czapli, sterzających na koronach drzew niby świeczki na choince.



Dolna Amazonka z pływającymi pniami drzew.

Różne, niższe twory okazują też pragnienie ciepła słonecznego; ryby pływają spokojnie po powierzchni wody, a nawet całymi stadami wyskakują z niej co chwila. Balsamiczna woń niezliczonych smolnych drzew świadczy o wznoszeniu się słońca na niebie i coraz silniejszym dogrzewaniu, a wraz z tym, ożywia się coraz bardziej działalność zwierząt. Na powierzchni wody zjawiają się niezliczone stada kaczek, w powietrzu uwijają się chmary

czarno-głowych mew zajętych połowem ryb. Na brzegu ukazują się sarny, a ruch gałęzi zdradza przybycie stada małąp, z których drobniejsze tylko dzięki swej wielkiej zwinności mogą się uchronić przed żarłocznością ptaków drapieżnych. Wciąż ruchliwsze życie manifestuje się najrozmaitszemi głosami, które tylko wprawne ucho Indjanina jest w stanie odróżnić. Niezliczone mnóstwo zielonych papug żeruje na drzewach, a spadanie łupin i jagód na twarde liście wywołuje szum podobny do burzy gradowej.

W południe wszystko ucieka przed palącemi promieniami słońca w najgłębszy cień. Po zachodzie słońca wylatują tajemnicze nietoperze i uganiając się za owadami przerywają szumem swych skrzydeł ciszę nocną. Sowy krążą powolnie by zaskoczyć swą zdobycz we śnie.

Niekiedy ukaże się na brzegu wieś indyjska, lub pojedyncza chata, to znów lekka łódź, kierowana przez miedziano-skórych Indjan, prześlizguje się po powierzchni wody.

Według *Martiusa i Pöppiga*.

B R A Z Y L I J C Z Y K.

Podróżnik, przybywający z Europy do Brazylii, jeżeli nie uda się wprost do stolicy, doznaje po przybyciu szeregu wrażeń takich mniej więcej, jak podróżnicy przybywający do Lewantu. Zanim opuści pokład, nad wszelkiemi uczuciami góruje w nim zachwyty na widok wspaniałości, rozciągającego mu się przed oczami zwrotnikowego krajobrazu. Gdy tylko jednak dotknie stopą ziemi, zapal jego stygnie. Rozpoczyna się walka dla zaspokojenia wszelkich potrzeb życiowych. Zgłosi się po odbiór bagażu do komory, to urzędnicy, bardzo uprzejmi, każą mu przyjść dnia następnego; zaś w dniu następnym otwierają każdy pakunek, przetrząsają jego zawartość, obracają każdy przedmiot,—nie troszcząc się o to, że każą interesantowi tracić

czas, cierpliwość i dobry humor. Szuka hotelu, to znajduje źle utrzymaną oberżę. Chce się pożywić, dostaje mięso nieświeże. Chce się przespać, kołdry na łózkach wyglądają podejrzanie. Współczujący ziomek ofiaruje mu swą gościnność — przekona się, że w domu meble pochodzą z Londynu lub New Jorku, naczynia z Paryża, wino z Bordeaux, mąka z Trjestu, kartofle z Irlandji, ser z Holandji. Rolnictwo i przemysł miejscowy nie dostarczają nic lub prawie nic, a jednak wszelkie artykuły mogłyby być wyprodukowane na miejscu, wszelka roślina udaje się w tym żyznym kraju prawie bez starań, ale należałoby siać i zbierać, a do tej pracy cudzoziemcy nie są ani dość liczni, ani dość zaaklimatyzowani, a krajowcy nazbyt obojętni.

Brazylijczyk podobny jest do przodka swego, Portugalczyka. W jednym i drugim taż sama rezygnacja w znoszeniu tego, czego przy odrobinie zapobiegliwości dałoby się uniknąć. Jeden i drugi nie ma żadnych prawie potrzeb, a pychę niesłychaną. Do życia wystarcza mu trochę ryb lub suszonego mięsa, banany i czysta woda; za przysmaki służą czarna fasola i maniok, za nocleg — brudna chałupa; od czasu do czasu połów ryb, dyskusja o polityce, tu i owdzie pchnięcie nożem, oraz *far niente* — oto życie zwyczajnego człowieka. Łatwo wobec tego zrozumieć, że przy rzadkości zaludnienia, grunt wszędzie prawie jest jeszcze nieuprawiany.

Wielkie miasta przedstawiają uderzający kontrast z resztą kraju; linje tramwajowe przerzynają ulice; szeregi świateł gazowych ciągną się aż poza miasto; banhofy, gmachy publiczne, mnóstwo kościołów wznosi się ze wszystkich stron. Rio de Janeiro, stolica kraju, może wytrzymać porównanie z wielu miastami Europy.

P. Béranger.

OKOLICE RIO JANEIRO.

Przybywszy do portu, mogłem jedynie bardzo powierzchownie ocenić malowniczy urok zatoki Rio. Pragnąłem zaś poznać jej widok ogólny, co dałoby mi możność porównać ją z zatoką Sydney. W tym celu udałem się na stację kolei żelaznej Corcovado.

Corcovado jest górą, zakończoną ostrym szczytem. Znakomicie urządzona kolejka żelazna, dosięga wierzchołka góry. W miarę wznoszenia się w górę wzrasta też zachwyty i podziw wobec precudnych widoków, rostaczających się ze wszystkich stron. Przepyszna roślinność zwrotnikowa czaruje oczy wszystkimi odcieniami zieleni, a obfite kwiaty o barwach świetnych i bogatych stroją szlak malowniczy, którym wspinamy się ku niebu. Pociąg biegnie nad ziejącą głębią otchłani, której brzegi urwiste połączone są wiszącym mostem z żelaza. Przebywamy przepaść jedną po drugiej, widnokrąg rozszerza się coraz bardziej, a oczy nasze uderza obraz olbrzymi i majestatyczny.

Pociąg staje. Jesteśmy w miejscu, z którego krętą ścieżką można w dwie minuty dojść do szczytu góry. Na wierzchołku, dla obrony od słońca, zbudowano panującą nad całą okolicą altanę, z której roztacza się widok, przejmujący zachwytem podróżnika.

U stóp leży miasto Rio de Janeiro; przed nami rozlane półkolem świecą przezrocze wody czarującej zatoki; z morza wznoszą się wzgórza kopułowate i ostre szczyty, ginące w mleczej mgłę widnokregu; po prawej stronie ciągnie się szlak zieleni, utkany zalotnemi willami i domkami o dachach kolorowych; ogród botaniczny, w którym olbrzymie palmy o pniach pionowo strzelających w górę, zdają się dotykać nieba. Nie waham się już: chociaż z zatoki Sydney cudne pozostały mi wspomnienia, chociaż



Widok wysepek w zatoce Rio de Janeiro.

<http://rcin.org.pl>

z rozkoszą zwiedzałem ją i przebywałem wielokrotnie, choć piękna i wspaniała jest przyroda okolic Port-Jackson, to jednak widok, który mam w tej chwili przed oczyma, przechodzi najszlachetniejsze krajobrazy okolic stolicy Nowej Południowej Walji. Tony ciepłe, wiszące nad rozrzuconym w dolinie wielkim miastem, miękie, aksamitne barwy skalnych kopuł i piramid, wyrastających z wody lazuruwej, brzegi fantastycznie poszarpane, uwieńczone skałami o kształtach dziwacznych, wdzięczne wygięcia łańcuchów górskich, tonących we mgle widnokregu — wszystko to składa się na obraz, którego barw oddać nie zdołałyby farby żadnej palety, którego nie wymalowałyby żaden pędzel.

Z punktu kulminacyjnego, na jakim się znajduję, rozciąga się widok na krainę nieźrównaną; próżno we wspomnieniach swych szukam obrazu równie malowniczego i poetycznego — nie znajduję. Bezzaprzeczenia — zatoka Rio jest najpiękniejszym, jakie widziałem, zjawiskiem świata, jest arcydziełem stworzenia!

Góry, wznoszące się poza stolicą, były celem drugiej mojej wycieczki, w czasie której oglądałem widoki, mogące współzawodniczyć co do piękności z widokiem ze szczytu Corcovado. Są to góry Tijuca, pokryte bujną zielenią i strojne całami olbrzymimi klombami kwiatów. Wielu mieszkańców ma tam wybudowane wille i domki, w których spędza najgorętsze miesiące roku. Klimat jest tam nieco chłodniejszy i znacznie przyjemniejszy od upalnego, przesyconego szkodliwymi miazmatami powietrza stolicy.

W chwili, gdy wylądowywałem w Brazylii, była zima; nie dostrzegam tego jednak zupełnie. Gorąco panuje tu takie mniej więcej, jak u nas w lipcu; łatwo mi wyobrazić sobie, jak musi tu palić słońce w czasie upałów letnich. Po zachodzie słońca daje się uczuć często znaczne ochłodzenie; zwłaszcza przyjezdni, nienawykli do tutejszego klimatu, zaziębają się często, gdy zbyt długo przebywają na

dworze ubrani niedostatecznie, i straszne przekleństwo tego kraju czyha na nich, jak widmo złowrogie.

Poza letniskiem Tijuca zatoka Rio posiada jeszcze prześliczne okolice, którym roślinność zwrotnikowa nadaje powab nieprzeparty. Przebywszy na parowcu część zatoki dopływa się do miejsca, skąd kolej zębata prowadzi do miasta Petropolis, ulubionego miejsca pobytu dla tych, których interesy nie zmuszają do całodziennej obecności w stolicy.

Objaśniono mię, że statek odchodzi o godzinie siódmej zrana oraz, że droga powozem do przystani trwa przez trzy kwadranse. Jestto wycieczka dość skomplikowana, gdyż powóz powinien być uprzednio zamówiony: chłopak zobowiązał się do tego i upewnił mię, że przed godziną szóstą u drzwi mego mieszkania znajdzie się «buggy», który odwiezie mię do przystani. Znając nadzwyczajne wymagania woźniców, zgóry dowiaduję się o cenę przejazdu.

Wynosi ona 6000 reisów — to jest około szesnastu franków. Fantastyczna cyfra 6000—niema już dla mnie tajemnic; wszystko w tej dziwnej monecie oblicza się na tysiące jednostek—i łatwo sprowadzić ją do franków. Reis przedstawia wartość mniej więcej $\frac{1}{3}$ lub $\frac{1}{4}$ centyma; zależy to od zmiany kursu.

W pierwszych dniach, zanim się człowiek zdaży przyzwyczać do tych szeregów zer, przejmuje go przerażeniem rysująca mu się w wyobraźni lista wydatków. Butelka wina — 2000 reisów, rachunek hotelowy — 20000, bilet kolejowy—10000!

W każdym jednak razie nawet zredukowanie wymaganej przez woźnicę sumy do jednostek monetarnych francuskich, nie zadowoliło mnie. Jako praktyczny podróżnik, wiedziałem, że musi istnieć środek lokomocji mniej kosztowny, niż «buggy» za 16 franków.

— Ależ pan może wsiąść do tramwaju na rogu ulicy,— rzekła mi właścicielka hotelu; — chodzi co dziesięć minut.

Stolica Brazylii ma tę właściwość, że kursowanie tramwajów nie zostaje przerwane na czas nocy; sądzę, że jestto jedyne miasto na świecie, w którym dotychczas istnieje ta łatwość lokomocji w czasie nocy.

Była jeszcze ciemna noc, gdy rankiem nazajutrz ujrzałem wylaniającą się z mroku latarnię czerwoną wagonu tramwajowego, którym za bardzą małą opłatą dostałem się do miejsca przeznaczenia. Dwuch prawników z prowincji dąży, podobnie, jak ja, do Petropolis. Mają oni zamiar przepędzić tam dzień i powrócić wieczorem. Ponieważ zapytałem ich o niektóre wskazówki, wsiadając do pociągu, panowie ci uprzejmie zaprosili mię, bym się do nich przyłączył; postanowiliśmy wynając zaraz po śniadaniu powóz, uczynić objazd i powrócić do Rio około godziny ósmej.

Przystaję na to skwapliwie. Pociąg zaczyna wspinać się w górę prawie równie gwałtownie, jak na Corcovado, gdyż Petropolis zbudowany jest na górze. Droga jest bardzo malownicza, roślinność nadzwyczajnie bujna. W wyżłobieniach urwisk skalnych płyną w kaskadach drobne potoki, połyskujące w blasku słonecznym tęczowemi barwami.

Bambusy, gęsto wytryskające z tego morza splątanej flory zwrotnikowej, dochodzą niezwykłej wysokości; zdarzyło mi się widywać niekiedy bambusy równie grube, ale nigdzie nie widziałem tak wybujałych. Zresztą w czasie mej podróży po Brazylii ogrom wielu roślin uderzał mię niejednokrotnie. Nigdzie indziej nie spotkałem drzew mangowych, któreby dochodziły takich rozmiarów; palmy posiadają tu pnie nadzwyczajnej wysokości, nawet drzewo kawowe wydaje mi się tu większe, niż w innych krajach.

G. Verschuure.

Z KOLONJI POLSKICH W BRAZYLJI.

Nieczęste są moje korespondencje, bo nie piszę z kraju kolei żelaznych i rozwiniętej żeglugi parowej. Z Rio de Janeiro płynie się blisko przez dwa tygodnie wodą do Blumenau, a potem zostaje jeszcze 40 kilometrów drogi lądowej do Masaranduby przez istne djabłe mosty; ale to się opłaca, gdyż jest co widzieć.

Stolica Brazylii, Rio de Janeiro, żyje życiem podobnym do tego, jakie się u nas widzi w święta na Saskiej Kępie: fajerwerki, muzyka, powywieszane wszędzie jakieś chorągiewki, banie z kolorowego papieru, nieustanny zgiełk dzwonek, w które zaopatrzone są muły tramwajowe, gwizdania i wesołe wykrzyki.

Co innego prowincja. Tutaj panuje przyroda w całym swym majestacie wdzięków, powagi i grozy, które stopniowo przejmują każdego cudzoziemca. Nieraz na przestrzeni 20-tu mil, nie spotkasz chaty, widzisz tylko góry, pokryte dziewiczym borem, ocean zasiany bezludnymi wyspami i skałami. Szczęśliwyś, gdy ci płynącemu nocą przyświecają gwiazdy, gdy wicher nie dmie ponuro, ocean nie wyszczerza swych białych, strasznych kłów i nie wali z rykiem w boki statku. Ale się i tak płynie do rana, aż o wschodzie słońca ujrzysz w ciepłych mgłach przewalające się po falach delfiny, lub w dzikich podskokach rwące się do okrętu, stado rekinów.

Lecz pójdźmy na ląd, zobaczmy Masarandubę.

Ja niewiem, czy kto obliczył, ile ta okolica ma przestrzeni. Góry naprawo, nalewo, przed tobą i za tobą, a między niemi warczą potoki, skaczą po skałach, spadają, pienią się i lecą do matki-rzeki, Itajahy-assu, która ich wody odda oceanowi-ojcu. Na górach bory, a w borach pokrzykują *papugi*, ptak *guacho*, wyśpiewuje dyszkantem *tiku-tiku*, wtóruje mu *curio* lub *sabia*, nad strumieniem

znowu zaczyna ciągle piosnkę swą *benti-vi* i nie kończy jej, a *araponga* pogwizduje. Przelatują krocie motyli i prześlicznych *kolibrów*.

Widziałem Masarandubę w dzień, w nocy i o wschodzie słońca; widziałem, jak bujał nad nią jej *gavio* (sokół) i czarny urubu (sęp); słyszałem wołanie puhaczów i osobliwe głosy *çapu* (żab); widziałem w nocnych cieniach miljony świateł *świellików* i *latarników*; siadałem pod cieniem jej pysznej *indai* (palmy) i *kokojery* (palmity), albo się przedzierałem przez gęszcze *çipao* (roślina pasorzytna) i *takuare* (trzcina taka, jak bambus), tworzącej jakby tryumfalne łuki.

Nie spotkałem się na szczęście ze straszonym *jararaca* (wąż jadowity), lecz mi zachodziły drogę wielkie *jaszczury* i *węże koralowe*, a *tukao* z gniazda spoglądał na mnie ciekawie. Wyznać muszę, że zrobiło to wszystko wielkie wrażenie w mej duszy, wrażenie nie dające się zapomnieć...

Lecz człowiekiem jestem i wielbię naturę, a dla ludzi tylko mogę mieć uczucie miłości. Zobaczymy w Masarandubie ludzi, co przez ocean lecieli z żonami i dziećmi, pewni, iż jak z rogu obfitości skarby tu będą czerpali.

Sześć drągów, wbitych w ziemię, nad niemi lichey dach z liści palmowych—oto barak, siedziba, jakich trzydziestu rodzin, które tu sypiają, modlą się, śmieją, a najczęściej płaczą. Dokoła budy płoną na ziemi ogniska, a przy ogniskach w skorupach warzy się czarna fasola, zwykły posiłek tutaj ludzi najbiedniejszych.

O trzysta lub czterysta kroków dalej znowu taka buda i znowu tacy sami ludzie, jeszcze buda i także ludzie. Idę i odzywam się — «niech będzie pochwalony Jezus Chrystus»—a wszyscy ci ludzie już się zwrócili ku mnie; byli zasepieni, jacyś źli, a rozjaśnili się, podbiegają, witają. Brudne to, obdarte, sponiewierane, pokaleczone; niech Bóg broni!

Więc zwykła rozmowa, skąd ja, a skąd oni, każdy wy-

mienia swą wieś, opowiada o swych losach, ubolewa, skarży się strasznie.

— Na klęczkach pójde do mojego kraju!—woła jeden.

— Ratuj nas, panie, bośmy nieszczęśliwi! — wykrzykuje inny.

— Tu gady takie, że tego siekierą nie utnie!

— Jakieś robaki podziurawiły nam nogi!

— Patrz pan, cośmy za łazarze! Mnie Matka Boska karze, żeśmy ją opuścili!

— Niema kościoła, niema nic, a cmentarz tam, gdzie kto zamrze.

Siadają pod wspaniałemi pinjorami i tak płaczą, jak ów lud pod wierzbami Babilonu—płaczą tym strasznym płaczem, który co do siły bólu z żadnym innym w porównanie iść nie może...

Jestto tęsknota za ziemią, za jej wonią, jej blaskiem, które żadnemi pięknościami opłacić się nie dadzą. Opuściłem głowę, nie miałem słów pocieszenia dla nieszczęśliwych.

— Już dwadzieścia rodzin stąd poszło borami przed siebie, gdzie oczy poniosą...

— I my pójdziemy! — zawołał jakiś chłop duży, barczysty, ocierając rękawem łzy, kapiące mu sznurkiem z oczu.

— Kiej sobie przypomnę nasze żyto, nasze pola, to się o mało w ziemię nie wkopię!

— I to na tych górach żyć nam każą, a gdzież tu człek strzyma?... W nocy jaszczurki i węże po głowach nam łożą, ani my ludzi, ani nas ludzkie nie rozumieją.

— Dzieci wymierają, a nam dziwności przychodzą do głowy...

— Niedaleko od nas są na kolonjach Niemcy, to nas wysmiewają, gdy się modlimy, a jak Polak chce od nich kupić kilo fasoli, to musi zapłacić milrejsa i 400 rejsów (blisko 1½ rubla). <http://rcin.org.pl>

Ci ludzie nasi są uwiedzeni i zawiedzeni; należałoby ich zwrócić tej ziemi, z której ich podstępem wyrwano. W Masarandubie podczas mojej bytności, było 300 polskich emigrantów, a teraz jest ich już 900, bo nowi przybyli. Rząd brazylijski chce zrobić swoje, lecz rady temu nie da. Koloniści polscy, którzy tam od sześciu miesięcy przybyli, także już poporzucali daną sobie ziemię i poszli w świat. Wskazywano mi też jakoby ruskie kolonje, tymczasem naocznie się przekonałem, iż to są Niemcy z gubernji Wołyńskiej i tylko po rusku mówić umieją.

Nowemu koloniście odznacza się w dziewiczym lesie przestrzeń 1100 metrów długości i 250 do 275 metrów szerokości, dostaje taki od rządu motykę, gracę i siekiereę oraz 50 milrejsów zapomogi. Ogromne drzewa trzeba zwałić na ziemię, czekać aż przeschną i spalić potym; następnie porusza się ziemię gracą, sadi się kukurydzę, fasolę, maniokę, *inhams*, to jest kartofle dla trzody chlewnej. Na nowej kolonji olbrzymie kłody drzewa leżą po 4 i 5 lat, a tylko między niemi można sadić, zasiewać.

Na własne oczy widziałem dobrze jedno: *cywilizację niemiecką w Brazyliji*. Niemiec się tu wcale do warunków nie przystosowuje, przychodzi z cywilizacją swoją gotową i szczepi ją, a wszystko do siebie nagina. Jestto wielki karczownik-kolonista, zawołany kupiec, fabrykant, i gdzie co jest dobrego w Brazyliji, to napewno niemieckie. A tacy są twardzi, że niektórzy po 15 lat tu istnieją i tylko po niemiecku mówią.

Na drodze do Masaranduby znajduje się sklep, oberża, kolonja — wszystko razem, a należy to do Jensa Jensena, Niemca, który zbiegł z okrętu i w jednych butach przybył na kolonję; dzisiaj jest około niego 63 członków rodziny, a zamożność człowieka bardzo duża; tu się robią w tej dziurze szynki prasowane, masło i szmalec w puszkach (puszki blaszane także się robią na miejscu). Idą do Rio de Janeiro i dalej, również — słonina wędzona. W sklepie zaś

jest wszystko, począwszy od czarnej fasoli, obić na meble, aż do elementarzy niemieckich i tablic poglądowych. Každy z rodziny pracuje i daje rezultaty. Wyborne konie, piękne krowy, trzoda chlewna, w dużej ilości, wielka przestrzeń gruntu, tartak oraz zasoby w kapitale—są to owoce 25-letniej pracy Jensa.

Zresztą całe Blumenau, wyglądające jak raj, w stanie Św. Katarzyny, jest nawskroś niemieckie. Można nie mieć dla ludzi sympatji, lecz nie godzi się być dla ludzi niesprawiedliwym: Niemiec — to ogromna siła pracownicza na pustych przestrzeniach Brazylii. Jego dawna ojczyzna nie traci go jako syna, owszem przez niego się rozszerza, — nowa przezeń się cywilizuje znowu.

Chłop polski w zetknięciu się w robocie kolonizacyjnej z Niemcami, Włochami, Hiszpanami najgorzej wychodzi; już od samego początku wszystko uważa za wrogie dla siebie: klimat, ziemię, jej stworzenia i ludzi, bo skóra jego tak przyrosła do kraju, iż jej nie zdoła zrzucić z siebie — jest on tylko polskim chłopem.

Hiszpan, Włoch, Niemiec, nigdy nie doznają zawodu; w ostatnim razie kupuje się szcztokę, pudełko szuwaksu i czyści się przechodniom buty na ulicy, a nie—to się bierze za 5 wintynów bananów i sprzedaż ich do wieczora drugie tyle zysku przyniesie; łódka nad morzem, wędka i t. d. ratuje każdego od ostatniej nędzy, tylko nie polskiego chłopca.

Wprawdzie wszystkie domy kolonistów, którzy tu niedawno przybyli, wyglądają smutnie, lecz w porównaniu z budą polskiego kolonisty najlichsza lepianka u nas jest jeszcze znakomitym mieszkaniem.

Wyobraźcie sobie słupki, a na wierzchu liście palmity, przymocowane do rzadkich łąt za pomocą nitek *çipao*, która to roślina odgrywa tutaj rolę szpagatu, nici, powrósek: wszystko się wiąże zapomocą *çipao* (czytaj *sipo*). Dom taki niema żadnych ścian; a kolonista mieszka zwykle z ro-

dziną na samej górze pod dachem, mającym tylko dwie boczne ściany. Gospodyni, gdy ma gotować, roznieca ognisko na ziemi przed domem, pod gołym niebem.

Człowiek wykształcony jest zawsze do pewnego stopnia kosmopolitą, zajmują go coraz nowe wrażenia, których dostarczają ludzie i przyroda; ale prostak, chłop nie szuka tego. On w ziemię swoją wrósł jak drzewo i, z ziemi tej wyrwany, musi cierpieć. Tutaj skwar słoneczny piecze, przy pracy trudno w nim wytrwać; krajowcy zleniwieni na tych spiekach i nie lubią pracować: mają dostatek ryb, bananów i innych owoców, więc gnuśniejąc, tym żyją.

Ale chłop nasz przybył tutaj dla pracy na roli; myślał, że znowu pójdzie od rana za pługiem, że będzie siał żyto, sadił kartofle, hodował bydła i miał swoją chatę. Jakże się zawiódł!

Każdemu emigrantowi służy prawo, aby sobie sam wybrał stan i okolicę, w której osiaść pragnie; tymczasem każdy nasz chłop ma o stanach Brazylii takie samo pojęcie, jak urzędnicy brazylijscy o naszych gubernjach i powiatach.

To prawo wyboru przypomina jednego nauczyciela, który mówił do swych uczniów: «Jeżeli się nie możecie zorientować np. w lesie co do stron świata, to się obróćcie tyłem na północ, a przodem ku południowi i t. d.».

Zupełnie co innego, gdy do Brazylii przybywają na kolonie Niemcy: tym nic nie obiecywano, nie durzono ich; przybywają z własnej chęci, niczego się nie spodziewają, mają jakieś środki, a nadewszystko przynoszą ze sobą cywilizację, którą w Brazylii dalej tylko prowadzą. Siedzą na gruncie kupą, pracują, mówią tylko po niemiecku i w Brazylii zakładają sobie ojczyznę, jako naród cywilizacyjnie wyższy od Brazylijan, czego o Polakach, niestety nie mogą powiedzieć. Wprawdzie chłop polski w porównaniu z Brazylijanami są i uczciwsi, i pracowitsi, jednak uczciwość niezawsze zwycięża, a praca potrzebuje do po-

mocy inteligencji. Brazylijanin, Hiszpan, Włoch, jeśli mu praca na roli nie posłuży, zostaje kelnerem, bierze, jak rzekliśmy, na kredyt banany za kilka wintynów i sprzedaje; kupuje parę szczotek i czyści na ulicy buty przechodniom; sprzedaje gazety i ma utrzymanie; chłop polski tego nie potrafi żadną miarą: on jest tylko rolnikiem; prócz tego, może drzewo rąbać, być furmanem, pastuchem do bydła.

Polski chłop w Brazylii musi się do warunków stosować lub zginać: Niemiec warunki te, o ile tylko się dadzą, do siebie stosuje. W Brazylii widzi się Niemców z ich białą kawą, piwem, pantoflami, oleodrukami, portretami Bismarka, długimi fajkami, harmonijkami, *Gartenlaube*, *Uuber Land und Meer* i t. d. Polska w Brazylii odrazu znika.

W polskich chłopach na obczyźnie niema i solidarności narodowej — najwyżej rodzinna i parafjalna; każda gromadka od chwili przybycia tutaj rozbija się na coraz to mniejsze gromadki, podczas gdy Niemcy idą ławą i skupiają się w jednym stanie.

Emigrant polski przynosi do Brazylii tylko siebie samego, mało więcej, niż siłę roboczą; cała jego polskość zasadza się na tym, że ma w fizjognomji pewien typ odrębny, w postępowaniu odrębny obyczaj, że mówi po polsku i jest katolikiem. Ale obyczaju przestrzegać nie może i musi się do innego stosować, a ze samym polskim językiem rady sobie nie da pomiędzy Niemcami, — musi się uczyć po niemiecku, gdyż Niemcy mogą się nie uczyć po polsku i z tym im dobrze. Chłopu na złe wychodzi i to, gdy gorliwie przestrzega przepisów religji, bo święcąc niedziele i święta, zaniedbuje się w pracy i o jakie sto dni rocznie jest niżej od Niemca.

Podobno niema na świecie narodu, któryby grzechu Kaina nie nosił na sobie, ale na każdy naród przychodzi pora cywilizacyjna taka, w której wytworzona suma dóbr

moralnych jest zupełnym zadosyćuczynieniem za stare grzechy i ludzkość nie ponosi uszczerbku.

Na Brazyljan pora ta widać nie przyszła; mało im tego, że wytępili krajową rasę, że następnie Murzyn blizn swoich jeszcze nie wygoił po niedawnej sromotnej niewoli; teraz oto kozłem ofiarnym jest chłop polski, podstępnie zdradzony!... Tylko formy są cokolwiek inne, rzecz zostaje ta sama.

Chłop nasz, zwabiony tutaj nadzwyczajnymi obietnicami, z powodu swej nędzy, żadną miarą już powrócić do kraju nie może: jestto niewolnik, który ostatecznie, jeżeli nie zginie, pójdzie w służbę plantatorów i zastąpi wyzwolonego Murzyna.

Tylko formy się zmieniły: dawniej można było otwarcie, jawnie kupić człowieka na targu, teraz się go podstępnie nabywa i stawia w warunkach tak strasznej konieczności, że nawet ten biedny nasz chłop, do którego się w kraju szczęście przecież nie uśmiechało, musi teraz załamać ręce i oddać się ostatniej rozpacz.

— Jedno mię bardzo zadziwia—mówiłem do pewnego urzędnika kolonizacji — ci ludzie w Bremie i na okręcie podczas podróży śpiewali, tańczyli jeszcze, bawili się wesoło, a teraz są tacy posepni, smutni, patrzą tak ponuro... Tylko człowiek nieszczęśliwy, albo, trapiiony wyrzutami sumienia, zbrodniarz może być do nich z fizjognomji podobny!

— Gdy zaczną codziennie pracować, zmieni się ich usposobienie, będą szczęśliwi — otrzymałem odpowiedź.

Roześmiałem się gorzko, bo myślałem sobie, że w takim razie talizman szczęścia muszą posiadać pracowite woły, które, będąc karmione słomą, a pobudzane do pracy kijem, codziennie spełniają ciężkie swe powinności na roli; po chwili więc odrzekłem:

— Tylko ta praca uszczęśliwia człowieka, którą on przedsięwzięje z własnej woli, bez musu!

P A R A N A.

Parana jest jednym z 22 stanów, składających się na związek stanów Zjednoczonych Brazylii. Powierzchnia Parany zajmuje 230000 kilometrów kwadratowych. Na tej ogromnej przestrzeni mieszka zaledwie trzysta kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców. — Jakotako zaludniona jest tylko wschodnia część kraju, dochodząca do oceanu Atlantyckiego; a olbrzymia zachodnia część Parany, spadająca ku rzece tegoż imienia, jest nietylko nie zaludniona, lecz nawet nie zbadana dokładnie:—wiele rzek zaledwie w niektórych punktach swego biegu oznaczone jest na mapie.

Pod względem fizyczno-gieograficznym Parana dzieli się na wązki pas przybrzeżny, rozpościerający się wzdłuż Atlantyku, a nie szerszy, niż kilkanaście kilometrów, i obszerne płaskowzgórze, na którym ogromna większość kraju jest położona. Od oceanu płaskowzgórze parańskie oddzielone jest łańcuchem górskim—Serra do Mar—spadającym ku wybrzeżu bardzo urwistemi ścianami; od strony zachodniej płaskowzgórze parańskie spada bardzo łagodnie ku rzece Paranie, stanowiącej zachodnią granicę kraju. — Płaskowzgórze parańskie wzniesione jest średnio na 800 m. nad poziom morza.

Wszystkie główne rzeki parańskie płyną na zachód ku rzece Paranie; wprost do Atlantyku wpadają tylko drobne rzeczki wschodniego spadku Serra do Mar.

Cały kraj jest silnie falisty, przecięty kilku niezbyt wysokimi łańcuchami górskimi. *)

Pomimo swego położenia w bliskości zwrotnika — zwrotnik Koziorożca przechodzi przez północną część Parany—większa część tego kraju ma klimat bardzo umiarkowany, co zawdzięcza swemu znacznemu wyniesieniu nad

*) Głównie góry erozyjne stołowego kształtu, powstałe przez pokrajanie wyżyny dolinami potoków. W. N.

poziom morza.—Klimat zwrotnikowy i niezdrowy dla Europejczyków spotykamy tylko w pasie nadbrzeżnym, nad samym Atlantykiem; dość jednak przejechać góry i wznieść się na 800 m., aby znaleźć się w klimacie tak łagodnym, że zupełnie słusznie zasługuje na miano klimatu wiecznej wiosny.

Na parańskim płaskowzgórzu odróżnić można tylko dwie pory roku — lato i zimę, między którymi niema wyraźnej granicy. Właściwej zimy — w polskim tego słowa znaczeniu — zupełnie niema w Paranie: — w zimie obniża się nieco temperatura i bywają przez kilka godzin nad ranem, przed samym wschodem słońca, parustopniowe przymrozki; około godziny ósmej rano przymrozku już niema, a w południe temperatura podnosi się do $+15^{\circ}$ i $+20^{\circ}$ R. Najwyższa notowana w Kurytybie letnia temperatura wynosi $+30$ R.; jak widzimy więc różnica między latem i zimą jest bardzo nieznaczna.—Ilość opadów atmosferycznych jest bardzo duża, nie wpływa to jednak ujemnie na zdrowotność kraju, a znakomicie podnosi jego urodzajność i podatność do kultury rolnej.

Ziemie parańskie rozdzielają się na ziemie stepowe, czyli tak zwane kamy, i ziemie leśne — mające rozmaite nazwy, zależne od rodzaju lasu na nich rosnącego.

Step parański jest zawsze bardzo silnie falisty, poprzecinany jarami, w których siedzą większe lub mniejsze smugi lasu. Ogólnym wyglądem przypomina to bardzo stepy Podolskie i Ukraińskie.

Dla parańskiego lasu próżno szukalibyśmy w Europie czegoś podobnego. — Wielki dziewiczy las parański — to zbita, spleciona, jakby jednolita masa zielonego życia; olbrzymie pnie dwumetrowej nieraz grubości, od dołu aż po najwyższe gałęzie, oplątane są niezliczonymi ljanami; a między pniami gęsto splecione podszycie najrozmaitszych krzewów, lub gąszcz olbrzymiej trzciny na 7 m. wysokości. Przejście takiego lasu bez cięcia w nim drogi jest niemoż-

liwe, a wązka ścieżka przecięta nie jest ścieżką, lecz raczej tunelem, w którym ciemno, mokro i parno.

Te lasy—to największe bogactwo Parany: tam rosną pinjory, herwa mathe (herbata parańska albo paragwajska), imbuje i nieskończone mnóstwo innych niezmiernie cennych i najrozmaitsze własności posiadających gatunków drzew.

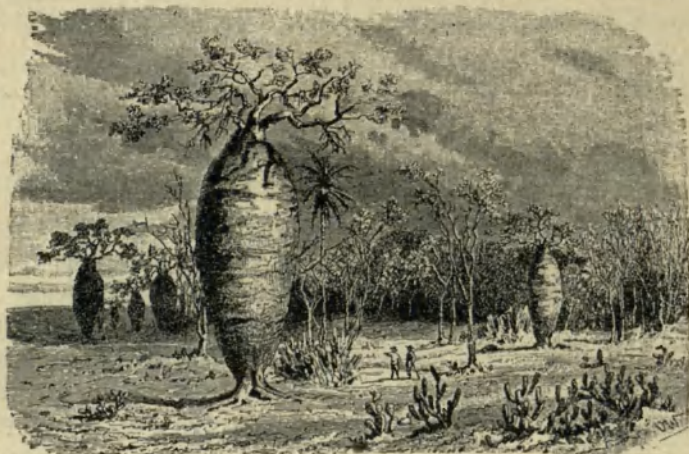
Herwa mathe—to liście z drzewa *Ilex paraguayensis*, podobne do liści lipowych, używane w Ameryce Południowej jak herbata w Chinach.—Herwa mathe stanowi przedmiot najważniejszego eksportu Parany, jest niemal głównym bogactwem kraju, rosnąc tak bujnie i w takiej obfitości, jak nigdzie indziej.

Pinjor—jedyne w Paranie drzewo igłaste—jest także przedmiotem poważnego eksportu; dostarcza ono doskonałego budulcu, jest lekkie, elastyczne, ogromnie smolne i posiadające nadzwyczajną łatwość rozszczepiania się. Pinjory wyrastają olbrzymiami prostymi kolumnami, tylko na samym wierzchołku posiadającemi koronę gałęzi; włókna ich idą zupełnie równolegle, dzięki czemu z łatwością można z nich łupać zupełnie proste deski kilkumetrowej długości. Na wystawie parańskiej w r. 1903 był wiór dwudziestometrowej długości udarty z pinjora.—Pień pinjora dochodzi nieraz w średnicy dwóch metrów i więcej.—Na pinjorach rosną szyszki wielkości arbuza, zawierające mnóstwo 5-centymetrowej długości ziaren, dostarczających w stanie pieczonym i gotowanym smacznego i zdrowego pożywienia dla ludzi, a w stanie surowym będących doskonałym pokarmem dla trzody chlewnej. Pinjor jest najpospolitszym drzewem parańskim.—Wywozi się drzewo pinjorowe w postaci desek, rżniętych na licznych parańskich tartakach.

Imbuj—drzewo, przypominające kolorem i budową słoń nasz dąb, doskonale nadające się do wyrobu mebli. Prócz tego jest wielkie mnóstwo rozmaitych drzew innych:—są drzewa twarde, jak żelazo; drzewa elastyczne, jak hartowa-

na stal; drzewa miękkie i porowate, jak gąbka; drzewa doskonałe palące się i drzewa prawie zupełnie ogniotrwałe; drzewa lekkie, jak korek, i tak ciężkie, że nawet wysuszone toną w wodzie i t. d. i t. d.

Z innych roślin rzucają się w oczy: palmy, rosące w wielkiej obfitości, wspaniałe drzewiaste paprocie, banany i nieprzebrane mnóstwo najróżnorodniejszych kwiatów, między którymi na szczególną uwagę zasługują przepyszne storczyki i krwawo purpurowe, kolcami najeżone, jak wiel-



Drzewo bombiaste, rosące wśród zarośli (*caatingas*) na stepach zwrotnikowej Brazylii (*campos*); drzewo to do 30 m. wysokie, dochodzi w swej najgrubszej części 6 metrów. Pień służy na łożysie i beczki, a nasiona dostarczają wełny.

kie gwiazdy na tle ciemnej zieleni odcinające się kwiaty ananasowców.

Zwierzyny i ptactwo bogactwo jest nieprzejrane; zwierząt drapieżnych — niebezpiecznych — w okolicach zamieszkałych niema zupełnie; zwracają na siebie uwagę małpy, licznymi stadami włóczące się po drzewach, i zielone papugi, będące najpospolitszymi parańskimi ptakami.

Jadowitych węzów jest niemało, wypadki jednak śmiertelnych ukąszeń rzadko się zdarzają.

Cudzoziemcy po dwóch latach zamieszkania na ziemi brazylijskiej zostają zupełnemi obywatelami z prawem głosu i wybieralności na wszystkie urzędy, prócz urzędu prezydenta, wymagającego od kandydata, aby był urodzony w Brazylii. Dla zostania obywatelem nie potrzeba czynić żadnych starań, ani wypełniać formalności — wystarcza mieszkać w Brazylii przez dwa lata i wziąć kartę wyborczą.

Pomimo to, ogromna większość ludności, tak samo tubylczej, jak napływowej, nie bierze czynnego udziału w życiu politycznym, pozostawiając politykę w rękach grupy zawodowych krętaczy, z tego tylko żyjących i na tym nieraz znaczne robiących fortuny. Tę obojętność wytłumaczyć można z jednej strony tym, że w Brazylii wogóle, a w Paranie szczególnie, niema tego — tak silnego w Europie — napięcia walki o byt: życie tam jest łatwe, niema głodnych, niema podeptanych, wyzyskiwanych, wysysanych, wszyscy są syści, odziani i mają dach nad głową — dlatego masy nie cisną się do polityki, słabo interesują się nią i obojętnie na nią patrzą *). A z drugiej strony, niewątpliwą przyczyną obojętności mas względem polityki jest nadzwyczajna słabość władzy wykonawczej i prawie zupełny brak poszanowania prawa: — obywatel parański wie dobrze, że kongres może uchwalać, jakie mu się podoba, podatki i prawa, ale jeśli on — obywatel — będzie miał dosyć uzbrojonych przyjaciół, zdolnych obronić go w razie najścia policji (a policja — stanowa milicja — jest tam leniwa i tchórzliwa), to może śmiać się ze wszystkich rozporządzeń ministerjalnych i uchwał kongresowych, bo on

*) Zdaje się, iż nietyle obfitość środków do życia i brak ucisku (gdz ten w rzeczywistości i tam istnieje), ile małe wogóle wymagania kulturalne; oraz ciemnota i apatja ludności brazylijskiej są przyczyną małego interesowania się polityką. W. N.

poprostu przyjmuje przedstawicielei rządu kulami—i w tym miejscu kończy się działanie rządu, kończy się wpływ praw i rozporządzeń.

Ale też dzięki temu, ludzie nieumiejący, czy nie mogący się bronić, padają często ofiarą najrozmaitszych nadużyć ze strony rządu i jego funkcjonariuszy. Dzięki tej obojętności mas, ludzie, którzy doszli do rządów, mogą bezkarnie popełniać najbardziej krzyczące nadużycia, mogą niemal zupełnie jawnie być zorganizowaną bandą rabusiów, żyjących z pracy reszty społeczeństwa, a tolerowanych tylko dlatego, że środków do życia wystarcza dla wszystkich — dla ludzi pracujących, dla mrówek, dla szarańczy, dla duchowieństwa, dla rządu,—jest z czego kraść i jeszcze nikt głodny nie zostaje.

Walk politycznych w europejskim tego słowa znaczeniu, to jest walk, odbywanych pod rozmaitemi hasłami, pod konieczną pokrywką dążeń i programów politycznych, niema w Brazylii zupełnie. Walki polityczne odbywają się tam w całej bezwzględnej swej nagości. — Partje nie tylko nie ogłaszają żadnych programów, lecz mernerzy polityczni nawet nie są w stanie zrozumieć, poco jakieś programy mają istnieć; to też programów i haseł nietylko niema tam faktycznie, lecz nawet w proklamacjach i mowach agitacyjnych nie pojawiają się one. — Występują dwie partje: partja rządowa i partja opozycyjna, albo lepiej—partja panów X Y Z, oraz ich przyjaciół i popleczników i partja panów A B C, oraz ich przyjaciół i popleczników; agitacja wyborcza polega tylko na obiecywaniu wyborcom osobistej protekcji, w razie zatargu z rządem lub potrzeby obejścia istniejących praw i na wymyślaniu przeciwnikom, wykazując, że są oni ostatniemi lajdakami, zupełnie niedbającemi o prywatne (o innych mowy niema) interesy swoich wyborców.—Powtarzam:—żadnego programu, żadnych projektów, żadnych dążeń partje nie wystawiają. — Mniemam, że może to być ciekawym dla socjologa, boć po-

mimo tej tak bijącej w oczy bezużyteczności i sprowadzania się do absurdu działania politycznego i parlamentarnego, życie społeczne posuwa się i rozwija — posuwa się, przewyciężając na każdym kroku przeszkody, przez walkę o władzę stawiane mu — posuwa się, pomimo rażącego marnowania energji na tę walkę...

Jan Hempel.

NA GRANICY CYWILIZACJI.

(Kartka z kulturalnych stosunków Brazylii).

W ostatnich czasach interes geograficzny całego cywilizowanego świata zwrócił się z takim zapałem do zbadania Afryki, że niezadługo zapewne nastąpi chwila, gdy nie będzie już można mówić o tej części świata, jako o «ciemnej» par excellence. Nazwa ta daleko słuszniej będzie, mogła być stosowana do środkowych części Ameryki Południowej, gdyż tam na przejściu od górnego Paragwaju do prawych dopływów Amazonki, jak Madejra, Topajos i Szingu, rozciąga się olbrzymi obszar pokryty bagnami i pierwoborami, zamieszkany przez dzikich Indian, prawie zupełnie nieznanymi; jestto stan Mato Grosso, przez swych własnych mieszkańców nazwany «zapadłym kątem».

Pośrodku tego kraju ciągnie się z zachodu na wschód grzbiet górski bardzo nieregularny, zwany w części zachodniej Serra dos Parecis; w części zaś wschodniej grzbiet ten rozszerza się w wyżynę, z której w różne strony rozchodzą się łańcuchy gór. Wyżyna ta tworzy dział wodny między Paragwajem i Amazonką, a zarazem — granicę cywilizacji i puszczy. Od miasta głównego tej krainy, Cuyaba, leżącego w południowej części, biegnie droga karawanowa na północ, wspina się nadzwyczaj malowniczym, pełnym wodospadów, wąwozem na wyżej wspomnianą wyżynę, gdzie dosięga dzikiej, skalistej kotliny, w której leży

samotne miasteczko Diamantino; jestto ostatnia forpoczta cywilizacji na granicy tych olbrzymich pierwoborów, które człowiek przebywa tylko drogami wodnymi, dzięki wielkim prawym dopływom Amazonki.

Droga prowadząca z południa do Diamantino, przechodzi przez wieś Nobre nad rzeką tegoż nazwiska, której wysokie strome brzegi są połączone silnym mostem. Mieszkańcy tej wioski zajmują się rolnictwem, prowadzonym jak i w całym Matto Grosso sposobem bardzo prymitywnym; na pewnym obszarze lasu drzewa się wycina, roślinność wypala i otrzymaną tym sposobem polanę ogradza wielkimi kłodami drzew od bydła i dzikich zwierząt. Na takim polu, między sterczącymi pniami, zasiewa się lub zasadza ryż, fasolę, kukurydzę, mandjokę, trzcinę cukrową. Pług jest nieznan: jako narzędzie rolnika służy długi i silny nóż umocowany na długim trzonku drewnianym, zwany *fauce*; nożem tym rolnik, idąc, wyłabia naprawo i nalewo dziury w gruncie i rzuca w nie ziarno. Na wybrzeżach rzek uprawiają też nieco tytoniu, który palą w cygarach, zawijanych liśćmi kukurydzianymi.

Niewielkie obszary trawiaste bywają co roku wypalane dla otrzymania świeżej paszy dla bydła. To też w lipcu i sierpniu widać tu wszędzie na górach wijące się ogniste węże — widok wspaniały, niby wielkich fajerwerków. Ponieważ tych obszarów trawiastych jest niewiele, więc bydło musi iść na paszę nieraz 30 kilometrów daleko; jestto wielki kłopot dla właścicieli, którzy muszą zużywać wiele czasu i trudu dla wynajdywania i sprowadzania swych zwierząt. Komunikacje odbywają się tu karawanami i każdy dowódca karawany, *arriero*, zapala gdzie może trawę, po obu stronach swej drogi, ażeby, powracając za kilka tygodni, znalazł dobrą paszę dla swych zwierząt jucznych.

Drogi, pominąwszy wodne, są tu tylko ścieżynami dla jeźdźców i zwierząt jucznych, zarówno wołów jak mułów.

Jedna z takich dróg karawanowych prowadzi z Nobre w kierunku północnym, do wąwozu Serra do Tombador, wspinającego się wśród rumowisk na wyżynę Serra Vermelha. W punkcie, gdzie u wejścia do wąwozu droga się rozramienia, stoi wysoki krzyż drewniany, gdyż tu przed dwudziestu paru laty Indianie napadli na dom kolonisty, podczas jego nieobecności zabili jego żonę i córkę: około tego czasu napadli też oni poraz ostatni na Djamantino; odtąd napady nigdy się już nie powtórzyły. Indianie «obłaskawieni» (*mansos*) zachowują się przyjaźnie, a «dziocy» (*bravos*) cofnęli się daleko na północ. Na wspomnianej wyżynie Serra Vermelha, na drodze z Nobre do Djamantino znajdują się źródła Paragwaju. Rzeka ta, jak również i jej liczne dopływy, toczy po swym dnie ziarnka złota i djamenty; te skarby mineralne, szczególnie ostatnie, były tu energicznie eksploatowane, w tych czasach mianowicie, gdy istniało jeszcze niewolnictwo, a środki żywności były tanie. Ale gdy tylko niewolnictwo zostało zniesione, eksploatacja ustała, a czarna ludność rozproszyła się po lasach dla poszukiwania gumy. Na północ od źródłowisk Paragwaju nad prawym jego dopływem Rio-Djamantino w głębokiej dolinie leży miasteczko Djamantino, czyli, jak głosi przydługa nieco nazwa oficjalna, Villa Diamantino, da nossa Senhora da Conceição, osada niegdyś bogata, kwitnąca—zresztą cudzym kosztem: liczni właściciele niewolników przeżywali tu niegdyś wiek złoty i gromadzili wielkie bogactwa.

Obecnie Diamantino posiada tylko jedną główną ulicę i dwie ulice poprzeczne. Miało ono kościół, liczne domy murowane i około dziewięćset mieszkańców, ale od czasu, gdy w 1901 roku zostało zrabowane i spalone przez wojsko rządowe, nie pozostało nic z tego; zamożniejsi ludzie wynieśli się, pozostawiając miejsce tylko różnym biedakom, którzy zajmują się zbieraniem gumy. Zniszczenie miasta było skutkiem rywalizacji handlowej z sąsiednim mias-

teczkiem Rosario. Rywalizacja ta w ostatnich latach wyraziła się w przeciwieństwie politycznym. Rosarjanie, należący do tak zwanych dysydentów, trzymali z rządem, Djamantyńczycy zaś byli «republikanami» i oświadczyli się za generałem Generoso Ponce. Gdy w jesieni 1901 roku generał ten powstał przeciw rządowi i rozniecił płomień rewolucyjny w całym stanie, powstałi też i Djamantyńczycy, przez co dali sposobność wiernym rządowi Rosarjanom do zbrojnego wystąpienia.

Dla lepszego zrozumienia tych stosunków trzeba dodać, że cała ta rewolucja była sprawą wewnętrzną stanu Matto Grosso, o którą główny rząd brazylijski w Rio de Janeiro oficjalnie zupełnie się nie troszczył. Przeciwnikami byli tu właściwie oficerowie obrony krajowej, którzy na własną rękę zgromadzili zbrojne bandy, tymczasem wojsko państwowe przypatrywało się temu widowisku z założonemi rękami, potajemnie jednak rząd w Rio sprzyjał «dysydentom» i zaopatrzył ich w broń. To też Rosarjanie pobili Djamantyńczyków, którzy opuścili miasto i rozbiegli się po lasach. Rosarjanie, dzika banda, wtargnęli do miasta, rzucili się na opuszczone domy, wyrąbawali zatarasowane drzwi i okna i rabowali wszystko, co pozostało po zbiegach. Następnego dnia spędzili z okolicy woły i osły i obladowawszy je zdobyczą, wyszli z miasta w pogoń za zbiegami, z których wielu wymordowali.

Przed opuszczeniem miasta nie zaniedbali jednak podpalić je na wszystkie cztery rogi. Miasto gorzało przez dzień i noc, pomimo potoków deszczu, który padał bez przerwy.

Śród ciszy i ciemności nocnej słychać było przerażający łoskot walących się domów, a po każdym takim łoskocie snopy iskier wystrzelały ku pokrytemu czarnemi chmurami niebu.

W ciągu następnego roku zapanował wprawdzie pokój w tym nieszczęśliwym kraju, ale ślady zniszczenia nie-

prędko dadzą się zatrzeć. Część przemysłowców i kupców osiedliła się gdzieindziej, reszta została wymordowana; robotnicy zostali uprowadzeni przez zwycięzców do Rosario. Nieliczni mieszkańcy, którzy powrócili do swej dawnej ojczyzny, natrafili na wielkie trudności, by pozostałe ruiny uczynić znów zamieszkalnemi; tymbardziej, że wszyscy oni nie posiadali dostatecznych środków materjalnych.

Według „*Petermanns Geographische Mittheilungen*”.

GOSPODARKA JEZUITÓW W AMERYCE POŁUDNIOWEJ, A ZWŁASZCZA W PARAGWAJU.

Wiadomo nam dobrze z historii, w jaki sposób istnieć przestały państwa Inków i Azteków, których towarzysze Korteza i Almagra, po masowych mordach, nawrócili na wiarę katolicką. Kopano wówczas szerokie rowy, lano tam wapno niegaszone, wrzucano w nie Indjan całemi masami i rów zasypywano. Lub czyniono zakład o przywiązanie tyłu głów ściętych do drzewa zwrotnikowego, ile ono miało na sobie owoców. Na płaskich kamieniach, służących dawniej do kultu fetyszów i składania ofiar, bito ciała więźniów wojennych wielkim, nabijanym gwoździami młotem, a z mięsa robiono pasztet dla zwierząt drapieżnych.

Dyby, próba wody wrzącej, wrywanie piersi, paznokci, warg, nosa, wyłupianie oczów, przebijanie bębenków usznych, wstrzykiwanie kurary, obcegi, szafy opatrzone wewnątrz całym systemem mechanicznym, zagłębiającym się w skrwawione ciała i nie odrazu zadające im śmierć—wszystkie te powolne tortury i przenikliwie obmyślane potęgowanie stopniowe grozy wprowadzone zostały do Ameryki z chwilą przybycia pierwszych karaweli, wiozących na pokładach dygnitarzy, któremi arcy katolicki rząd Kastylski zastąpił zbyt szlachetnych towarzyszy Krzysztofa Kolumba i innych podróżników, kupców lub uczonych.

Nie zatrzymamy się tu dłużej nad tą kolonizacją, której patronowała owa madonna, dotąd jeszcze przechowująca się w muzeum norymberskim, zwana Żelazną Dziewicą. Posąg jej otwierał się za naciśnięciem mechanizmu i przyjmował człowieka w swe wnętrze utkane ostrzami. Następnie zamykano posąg i kręcono korba, a gwoździe wpijały się w ciało i druzgotały kości, podczas gdy przez usta «niepokalanej» sączono po kropli witrjol, a wreszcie—roztopiony ołów.

Dzięki tej religijnej żarliwości skarby Inków i Azteków przeszły do kieszeni kochanek Karola V i Filipa II; z nich też powstał skarb wojenny, który ułatwił pokonanie Franciszka I pod Pawią i uczynił z Gonzalwa z Kordowy i księcia Alby dwa mroczne filary walki przeciw Odrodzeniu.

Później Jezuitom dostał się Paragwaj; zaszczepili oni mieszkańcom tak głęboko ducha pokory i niewolniczości, że nawet wielki ożywczy powiew rewolucji francuskiej nie oczyścił tutejszej atmosfery: absolutny rządca Paragwaju, doktor Francia, tyranizował przez lat czterdzieści tę piękną i bogatą krainę.

Francia, przeznaczony w dzieciństwie na księdza, człowiek mizernej postaci, trzęsący się febrycznie, z wygoloną płaską twarzą, zaciętymi wargami i śpiczastą, jak u Cynocefala, czaszką, błąkał się chwiejnym krokiem po ulicach miasta Assuncion pod eskortą dwu olbrzymich, uzbrojonych Negrów. Okna i drzwi domów, gdy przechodził, musiały być starannie zamknięte. Gdy kto ośmielił się przekroczyć ten nakaz surowy, jedno mrugnięcie powiek jego okrągłych, milezących oczów zpoza złotych okularów, wzywało do czynu dwóch katów. Gdy Francia spojrział tylko na dom, Negrzy wiedzieli już, co znaczy ten niemy rozkaz pana. Natychmiast otwierali zamki, wchodzili do wnętrza domu i popisywali się przed Francią sztuką ścinania głów od jednego razu w ten sposób, by leciały parę sążni przez powietrze. Francia napełniał lud swój zgrozą jeszcze po swej śmierci.

Kiedy umierał, na twarzy jego otwarły się ohydne wrzody, sączące ciecz cuchnącą — i przez tydzień leżał w łóżku swym, rozpadając się i gnijąc zwolna. Nikt nie śmiał przyjść dowiedzieć się o zdrowie jego, żaden ksiądz nie odważył się udzielić mu ostatniej posługi. Na piersi jego roilo się robactwo, a ciecz czarna, płynąca mu z ust, nozdrzy i wnętrzości, zalewała pościel i podłogę — na koniec dwaj jego Murzyni odważyli się zbliżyć do niego z pokornym zapytaniem o zdrowie. Gdy się przekonali, że mają przed sobą już tylko padlinę ludzką, z trwożną uroczystością złożono go do trumny, a arcybiskup szczekał z przerażenia zębami, skrapiając trupa wodą święconą, tak bardzo wszyscy zdumieni byli, że umarł wreszcie naprawdę — i lękali się myśleć że nie powstanie już, by dalej dyktatorskimi oczami wydawać swe okrutne rozkazy.

Następca Francji pozyskał niemniejszą sławę. Dante umieściłby go w kołach siódmego piekła obok Belzebuba.

Lopez, na pokonanie którego potrzeba było zjednoczonych wojsk Argienty, Urugwaju i Brazylii, który w przeddzień swej śmierci kazał w swych oczach rozstrzelać matkę swą i swego arcybiskupa, był w rasie białej współzawodnikiem katolickim królów Dahomejskich lub założyciela kapłańskiej i królewskiej dynastji u Zulusów, okrutnego Czaki. Życie jego, którego dzień każdy, począwszy od pełnoletności, zaznaczony był szeregiem morderstw, spowodowało też zgubę samego Paragwaju. Gdy rzeczypospolite sąsiednie rozpoczęły wojnę, by wytepić zbiorowisko wężów, hyjen, krokodylów i tygrysów, stanowiących wojsko Lopeza, tylu ludzi zostało wówczas rozstrzelanych, powieszonych, ściętych i zamordowanych, tyle wysiedliło się, że ludność z $1\frac{1}{2}$ milj. spadła w r. 1873 do $\frac{1}{4}$ miljonowej i liczyła jednego mężczyznę na osiem kobiet; że nawet dziś obszar Paragwaju, dwa razy większy, niż Królestwo Polskie, posiada zaledwie 700 tysięcy mieszkańców. W ludności tej, która odtąd stała się w części nomadyczną, jeden mężczyzna przypada na trzy kobiety.

Gdy się zwiedza Paragwaj i jego nieskończone lasy pomarańczowe, można oglądać niekiedy pod sklepieniem drzew, pośród olbrzymich cedrów i sosen brazylijskich, ruiny prawie równie olbrzymich klasztorów, które wybudowali tu Jezuici, używając za cement ciało i krew tubylców.

Południe Paragwaju przedstawia widok, którego dziwnej, odrażającej brzydoty nie zdoła przedstawić żadne pióro. Jestto rozległe bagnisko Corrientes, utworzone dla uregulowania biegu Parany przez Jezuitów z najzupełniejszą obojętnością na szkody, jakie uczyniło. Przestrzeń całej krainy pokryta jest posępną roślinnością bagien i drzewami mangrowiowemi. Cedry dławiące się czarnym, jak atrament, i gęstym, jak skrzepła krew błotem, wznoszą się w górę do zawrotnej wysokości, a ich olbrzymie, nagie korzenie wiją się, jak fantastyczne gryfy pośród słonawej toni tego potwornego stawu. W czarnych, jak sadze, błotnistych falach przewalają się masy ropuch o rozmiarach żółwi, których rechot rozlega się donośniej, niż ryk wołu; pływają pytony, grube, jak pnie naszych topól i długie na wiele sążni, podnosząc w fermentujących falach szare piany,—olbrzymie salamandry, iguany o różnobarwnym grzbiecie, wielkie pająki, skorpiony z ogonem, zakończonym szczypcami tak długimi i mocnymi, jak dziób orła. Olbrzymie, żółto i różowo nakrapiane, stonogi walczą o schronienie w cuchnących dziupłach drzewnych ze zmoczonymi sowami, którym z rozczochranych piór wygląda tylko dziób groźny i nieruchome źrenice.

Na wysokich gałęziach zatrzymują się niekiedy gigantyczne nietoperze, które wielkością rozpostarcia skrzydeł przewyższają kondory andyjskie, syczą pytony, skaczą sępy, podobne jeszcze do tych wyobrażeń, które posiadamy o ptakach pierwotnych, świeżo rozwiniętych z gadów.

I zda się, że pośród tej krainy mrocznej, gdzie w mu-
le bagnisk roją się <http://pauk.org.pl> pierwociny życia, ukaże się nagle ple-

zjozaurus, czyhający na pterodaktyla, ścigany przez dino-terja i megaterja *), a przedwiekowe paprocie zaszumią pośród krwiożerczych kaktusów, że cały dramat współzawodnictwa i zapasów popycha na siebie i miesza we wspólnej żądzy nasycenia się i zmiżdżenia rywala wszystkie rośliny, wszystkie twory żywe i odrażające, zaledwie uformowane, zaledwie zrodzone z mułu przedwiekowego.

Tak więc Jezuici wprowadzili do Paragwaju nietylko ucisk, nietylko tradycję hjeratycznych mordów: wyparszy ludzkość z tych miejsc nawet, gdzie udawało jej się uczynić sobie życie podległym, powrócili oni naturze dzikie prawo wystąpienia nanowo w całej pierwotnej, zuchwałej grozie.

P. Desachy.

ARGIENTYNA.

Cała prawie rzeczpospolita Argientyńska leży w pasie umiarkowanym półkuli południowej; tylko niewielki obszar na północy leży w pasie zwrotnikowym. Pomimo takiego położenia geograficznego, które zdawałoby się zapewniać tej krainie temperaturę łagodną i dość jednostajną, przejścia są tu bardzo gwałtowne i powodują zmienność dotkliwą nawet w przeciągu jednego dnia, gdyż różnica temperatury może w tym czasie wynosić 20°. Zima, trwająca od czerwca do września, nie sprowadza tu mrozów, ale daje się mimo to uczuwać dość dotkliwie z powodu braku materiału opałowego. Wielokrotnie zdarzało mi się drzeć z zimna w moim pokoju hotelowym, gdzie z powodu braku pieca nie można było podnieść lodowatej temperatury, jaką wskazywał termometr. Nie był to jednak tylko jakiś brak komfortu, którego bym ja sam jedynie padł ofiarą; widziałem kupców, jak siedzieli przy swych biurkach, otuleni w pal-

*) Wyobraźnia autora popełnia tu anachronizm, być może umyślny, gromadząc razem jaszczury jurajskie z wielkimi ssąciami trzeciorzędu. W. N.

ta zimowe, z czapkami na głowach. Od pewnego czasu dopiero zaczęto wprowadzać piece w Ameryce Południowej.

W lecie temperatura, wynosząca średnio 25^o, wzrasta często do 35, a nawet 40^o w cieniu, a w cień ten bardzo skąpo wyposażona jest kraina, w której drzewa o gęstym listowiu znajdują się tylko jako wyjątek.

W pobliżu wybrzeży zdarzają się znaczne oziębienia, spowodowane przez wiatry gwałtowne, które wieją zwykle z południa i północy ku brzegom Atlantyku. Wiatry te, mając otwartą drogę przez obszary, gdzie żadna zaporą nie hamuje ich gwałtowności, podnoszą fale La Platy, piaski Pampasów i nieuprawne obszary, otaczające Buenos Ayres, — i gubią się wreszcie w nieskończonych przestrzeniach oceanu. Często przyjmują też one formę cyklonów, *pampero*, które napełniają przerażeniem marynarzy, żeglujących w pobliżu ujścia wielkiej rzeki.

Na parę dni przed wyjazdem moim do Europy jeden z takich cyklonów nawiedził stolicę i dosięgnął Urugwaju. Widok portu był przerażający: bałwany rozkołysane, jak na pełnym morzu, wywracały okręty i rozbijały się z wściekłością o groble i budowle nowopowstającego portu. Wieczorem do wycia burzy przyłączył się plusk ulewnego deszczu, a ulice zamieniły się w jeziora; dachówki i kominy spadały z groźnym łoskotem na chodniki i ulice. Nazajutrz przystań pełna była rozbitych lub wywróconych łodzi i wszelkiego rodzaju szczątków; dzienniki podawały wypadki śmierci wielu majtków, którzy, wyzywając do walki rozpętane żywioły, padli ofiarą własnej odwagi. Parowiec, który w przeddzień huraganu wyruszył z Des-terro do Montevideo stracił wielu ludzi i sam bardzo ucierpiał; ten sam los spotkał mnóstwo żaglowców.

Przed wyjazdem do Francji pragnę jeszcze zwiedzić La Platę, nowe miasto, które ma współzawodniczyć z Buenos Ayres.

Pociąg kolei żelaznej dowiózł mię do La Platy w prze-

ciągu półtorej godziny. Kraina jest płaska i monotonna; jedyną rzeczą, która mię zaciekała, był widok pasącej się pośród setek koni i bydła znacznej liczby strusi, które hodują tu dla ich piór.

Wysiadając z pociągu, nie mogłem oprzeć się zdziwieniu. Oto jestem wobec miasta, wyrosłego nagle z ziemi, jak w baśni czarnoksiężkiej; siedem lat temu w miejscu tym nie było śladu mieszkalni ludzkiej, dziś wznoszą się tu zgrabne budowle, gmachy o imponującym wyglądzie— na obszarze dawnej estancji. W każdym jednak razie dobra te miały wówczas pozór mniejszego opuszczenia, niż inne estancje; właściciel ich obsadził przestrzenie różnemi drzewami, zwłaszcza eukaliptusami. Niegdyś rząd współdziałał tu hodowli drzew i wyznaczył nagrodę dla tego, kto na terytorjum rzeczypospolitej zasadził dwadzieścia tysięcy drzew.

Ze wszystkich estancji ta najbardziej nadawała się do zbudowania miasta, którego założenie było postanowione. Z pomocą młota i oskardów dokonano cudów, do inicjatywy rządu przyłączyła się przedsiębiorczość prywatna, a dobry smak kierował powstaniem planu ulic, parków i alei nowego miasta. Sztwywny, kwadratowy system budowania miast amerykańskich, z domami o wielu piętrach nie podobał się założycielom i kształt szachownicy przyjęty przez mnóstwo nowopowstałych miast, zastąpiony tu został szczęśliwie przez nieprawidłowość linji, co — nie sprzeciwiając się bynajmniej ogólnej harmonji — nie sprawia wrażenia tej strasznej monotonji miast, których według mego zdania nowy świat posiada aż nazbyt wiele.

Schematycznie budowane wielkie zbiorowiska ludzkie mają swe dobre, praktyczne strony, nie przeczę.— ale mnie irytuje ta prawidłowość. Weźmy New York, Baltimore, Washington, Chicago—czyż nie czynią one takiego wrażenia, jakby były dziełem jakiejś olbrzymiej fabryki, robiącej wszystko według jednego modelu? Kto poznał jedno

takie miasto, to poznał już wszystkie—i turysta, znużony ciągłym powtarzaniem się prostokątów doznaje pewnej ulgi, gdy znajdzie się w mieście, w którym nie orientuje się tak prędko, choćby nawet zmuszony był wypytywać się przechodniów o drogę.

Urządzenia zdrowotne naszych wielkich miast europejskich, potrzeba komunikacji, rozwój handlu i przewozu doprowadzają do zaniku stare dzielnice o krętych i wązkich



Wóz w Argjentyne.

uliczkach: z niemi jednak znika malowniczy urok starych domów, wspomnienia wieków minionych, karta żyjąca historii. Burzący młot niszczy wszystko, co nam pozostały dawne pokolenia, i gmachy sześciopiętrowe, odlane według formy, służącej dla wszystkich pięciu części świata, zastępują szybko te cenne szczątki epoki mniej, niż nasza, naprzód wysuniętej, ale mniej też gorączkowej*).

G. Verschuure.

*) Ta estetyka autora jest dość rozpowszechniona, niemniej jednak—jednostronna: przeprowadzona konsekwentnie skłaniałaby nas np. jeżdżących tramwajami elektrycznymi wdychać do dawnych konnych, a nawet do trzęsących wozów i t. d. Z drugiej strony amerykańskie domy-olbrzymy «drapiące niebo» są wcieleniami olbrzymiej potęgi ducha ludzkiego i jako takie są również, a nawet daleko bardziej estetyczne — trzeba tylko umieć odczuć zaklętą w nich potęgę. W. N.

PAMPERO I LAGUNY.

Pampero, wyjący często na niezmiernych równinach Pampasów, przedstawia nader ciekawe zjawisko. Zdala na widnokręgu widać wznoszącą się szybko, szarawoczar-ną chmurę. Wkrótce chmura ta zapala się, przebiegają po niej długie ognie, rysując ją w najdziwaczniejsze zyg-



Pampasy argentyńskie.

zaki. W miarę, jak wznosi się ta ciemna masa, słychać razporaz odległy, przeciągły huk grzmotów. Trąby kurzu, unoszonego przez wiatr, mieszają się z czarnymi chmurami. Rozproszone po równinie zwierzęta, zaczynają się niepokoić. Spoglądają w chmury, stroszą uszy, skupiają się i wreszcie zaczynają uciekać przed szalejącą burzą. Nietylko konie, bydło i owce, ale jelenie i strusie śpieszą w po-

płochu, by ukryć się przed burzą. Zdaje im się, że zdołają się uratować, ale to złudzenie. Orkan idzie prędzej, niż one, wyprzedza je—i wkrótce zwierzęta znajdują się w samym centrum burzy, która szaleje nad nimi. Wówczas, rozumiejąc swą niemoc, zatrzymują się, odwracają tyłem do wiatru i stoją spokojnie, zdając się na jego łaskę i niełaskę. Niezmiernie zabawnym jest widok tych zwierząt, stojących całymi setkami nieruchomo, zalewanych deszczem, z obwisłymi uszami i zmokłą sierścią. Czekają, aż chrau-



Viscacha (*Lagostomus trichodactylus*) w Pampasach.

ra przejdzie. A przechodzi zwykle równie szybko, jak nadeszła. W pół godziny jest już po wszystkim. Słońce ukazuje się jeszcze jaśniejsze przed zachodem. Zwykle bowiem pampero przechodzi nad Pampasami około godziny piątej, wraz z błyskawicami i ulewnym deszczem.

Laguny są bardzo częste na Pampasach południowschodu, głównie w prowincji Buenos Ayres, gdzie naliczono ich setki. Są to płytkie kotlinowate zagłębienia gruntu, w których zbiera się woda deszczowa, zmieniając je w zbiorniki.

Zbiorniki te, z których niewiele dosięga wielkości małego jeziora, powstanie swe zawdzięczają nieprzepuszczalności gruntu. Gлина diluwjalna plastyczna i dosyć twarda, dosięgająca zwykle grubości czterdziestu do sześćdziesięciu stóp i stanowiąca grunt Pampasów, zupełnie nie przepuszcza wody. Woda więc zbiera się w zagłębieniach i stoi tam, wyparowując częściowo lub zupełnie, co często zdarza się z drobnymi lagunami. Woda płynąca unosi oczywiście lżejsze cząstki ziemi z powierzchni gruntu około laguny. Stąd dno tych lagun wyłożone jest zawsze czarniawym iłem. Bezustanne parowanie lagun i włoskowatość ziem przylegających utrzymuje je wciąż w wilgoci; toteż laguny są często otoczone dosyć rozległymi dywanami zieleni, stanowiącemi tamę dla denudacji. Laguny zachowują więc mniej więcej te same kształty wybrzeży, a największe z nich mają charakter jezior stałych. Prócz świeżej zieleni większość lagun, mających wodę stale, otoczona jest bardzo bujną i wysoką trzcina. Sitowie dochodzi niekiedy ośmiu do dziesięciu stóp, trzcina posiada szerokie liście.

Cienegas stanowią drugą kategorię zbiorników wilgoci w Pampasach. Są to obszerne bagna, najczęściej formy wydłużonej i pokryte gęstą trzcina. Woda stała znajduje się w nich jedynie w paru punktach pośrodku, są to zagłębienia w równinie, zwane *pajonales*. Wogóle jednak *cienegas* są pozbawione wody i najczęściej mają grunt mocny, nie mulisty, tak iż można przebywać je bez niebezpieczeństwa. Rośnie tu obficie piękna trawa *gynerium argenteum*.

Te wilgotne miejscowości w Pampasach stanowią bardzo małą część ich powierzchni i zmieniają ich wygląd tylko miejscami. Na północy można często przebyć znaczne obszary Pampasów zupełnie pozbawione wody i podróżnik może iść całe dnie, nie napotkawszy jej wcale.

G A U C H O S Y.

Półdzcicy mieszkańcy Pampasów powstali ze zmieszania się białych z Indjanami. Na swych bystrych, jak wiatr koniach robią oni na nas wrażenie jakichś istot bajecznych. Prawie bez wyjątku mają oni wszyscy twarze spalone od słońca o wyrazie nieprzyjaznym, ponurym. Ubiór ich odznacza się barwami jaskrawemi. Noszą wielkie okrągłe kapelusze z szerokimi rondami, dokoła szyi owijają jaskrawą chustkę jedwabną, na ramiona zarzucają poncho, wielki kawał sukna jasnej barwy, w którego środku zrobiona jest dziura dla włożenia go przez głowę. Szerokie spodnie, buty lub w ich braku kawałki skóry i olbrzymie kolczaste ostrogi, dopełniają stroju. Niezbędnym uzupełnieniem Gauchosa jest jego koń; człowiek ten nigdy prawie nie chodzi piechotą. Siodło i uprząż są często ozdobione złotem i srebrem. Za broń służy Gauchosowi *lasso*, długi rzemień zakończony pętlą, *bolas*, rzemień, zakończony trzema ołowianemi kulami, nóż i w czasie wojny lanca. Przy pomocy tych narzędzi Gauchosy chwytają dziedziałe woły i konie, polują na zwierza, nawet na jaguara i pumę. Gauchosy mieszkają w nędznych lepiankach z gliny, krytych słomą; za drzwi służy rozpięta skóra wołowa. Cała rodzina mieszka i śpi w jednej izbie. Pożywienie jest bardzo jednostajne, mianowicie mięsne; chleba, jarzyn, owoców nie jedzą nigdy. Względem europejczyków Gauchosy zachowują się wrogo, lecz każdy inny przybysz, szukający gościny, jest mile widziany. Gospodarz częstuje go przedewszystkim naparem *mate*, podobnym do chińskiej herbaty, lecz znacznie bardziej gorzkim. Czy gość przebywa w domu Gauchosa przez czas krótki, czy też całemi tygodniami, nie zmienia to stosunku — będzie zawsze traktowany z jedną życzliwością, nigdy nie dozna uczucia, że jest natrętny. Jestto dobra

strona charakteru Gauchosa, ale posiada on też i bardzo złe; tak na przykład nie odróżnia on jasno własności swojej od cudzej; w potrzebie rabuje i kradnie z zupełnie spokojnym sumieniem; zdumiewająca jest jego skłonność do łgarstwa, wstrętna jego mściwość, której zawsze stara się zadośćuczynić w sposób podstępny, zdradziecki. Za okazaną usługę nigdy prawie nie okazuje wdzięczności. Śmieszna



G a u c h o s i.

jest jego duma, dziecinna jego próżność. Do pracy systematycznej Gauchos zupełnie się nie nadaje. Gdy właściciel estancji wymaga od Gauchosa jakiej roboty, która temu niezbyt się podoba, wówczas objawia on, że zrobi to innym razem. Jeżeli właściciel okaże swe niezadowolenie, to Gauchos siada na konia i jedzie do innego, mniej wymagającego estanciera. Zgrabna postawa, gibkość ciała, zdumie-

wająca zręczność w jeździe na koniu nadają Gauchosowi wiele rycerskiego powabu. Póki nie jest żonaty Gauchos posiada swą ubóstwianą [*novia*], na której cześć szuka przygód i walk; są to jedyne piękne chwile w życiu gaucho-wskiej kobiety, która następnie jako żona jest tylko niewolnicą. Najszkaradniejszemi wadami mężów są gra i pijaństwo, którym oddają się z całą namiętnością. W niedziele i święta zbierają się oni w tak zwanych *pulperias* to jest szynkach i upijają się wódką [*aguardiente*] i rumem. W ich kompanji znajduje się śpiewak (cantor) z gitarą, a gromada pijących z natężoną uwagą przysłuchuje się pieśniom, które opiewają bohaterskie czyny Gauchosów, prześladowanych przez policję. Następnie zaczyna się namiętna gra w karty; zdarza się nieraz, że któryś z dumnych zuchów przegra nietylko swego wspaniałego konia, ale też i cenne ozdobne siodło i uzdę i musi wracać do domu na nędznej szkapie bez siodła i cugli. Gauchos jednak znosi takie nieszczęście z zupełną obojętnością, pali swe cygare z największym spokojem, gdyż może zawsze, jak dawniej, przebiegać stepy jako człowiek wolny, a co utracił, to według jego mniemania może sobie znów w ten lub inny sposób odzyskać. Niekiedy tego rodzaju namiętne gry kończą się w sposób straszny, mianowicie gdy na jednego z uczestników padnie podejrzenie fałszerstwa. Wtedy oszukany porywa za nóż i przebija nim szulera; morderca ukrywa się następnie w stepach przed prześladowaniem prawa, jako tak zwany *malo* (zły); prowadzi on żywot bandyty i jest ścigany, jak dzikie zwierzę.

Wogóle Gauchosy są nadzwyczaj porywczy i skłonni do mordów; wina to zapewne poczęści gorącej krwi ludów południa, poczęści silnie pobudzającej mięsnej strawy; przytym ciągle szlachtowanie bydła, porozrzucane po stepie wnętrznosci i smrodliwe kałuże krwi stępują w Gauchosach uczucie litości, przyzwyczajają do widoku krwi i śmierci; najdrobniejsze spory kończą się często mordem.

Na drogach wśród stepów widać często krzyże, złożone z dwóch kawałków drzewa, związanych rzemieniem; każdy taki krzyż jest śladem spełnionego mordu.

Według zbioru A. Kleinschmidta.

W PATAGONJI.

«Patagonja». Jakże dziwnie brzmiała ta nazwa jeszcze niezbyt dawno w uszach Europejczyka! Przychodziły wtedy na myśl cudowne opowieści o kraju prawie nieznanym—o jego rozległych pustynnych równinach, o burzach na jego wybrzeżu, o jego silnych olbrzymich mieszkańcach, którzy w opisach różnych awanturniczych podróżników, wyglądali na pozostałych jeszcze przy życiu Tytanów. Obecnie te mgły, przysłaniające prawdziwy widok kraju zostały rozwiane.

Patagonja rozciąga się od rzeki Rio-Negro do cieśniny Magellana i od oceanu Atlantyckiego do Wielkiego, na obszarze około 16000 mil kw.; Chile i Argientyna rościły oddawna na ten kraj pretensję, i wreszcie formalnie podzieliły go między siebie. Wstępujemy na obszar Patagonji wschodniej, zamieszkaney przez pokolenia koczujących Indjan. Kto chce podróżować tutaj, ten musi zaopatrzyć się w dostateczną ilość koni wierzchowych i jucznych, gdyż niema tu dróg pocztowych, ani domów zajezdnych. Nad Rio-Negro, w pogranicznej miejscowości Carmen, nabyliśmy odpowiednią ilość koni, oraz mułów i zapuściliśmy się w pustynię. Kraj, który przebywamy, wznosi się ku zachodowi równoległemi tarasami. Otaczające nas równiny mają charakter pustynny bez tej bujnej szaty trawias tej, właściwej okolicom La Platy, które są rajem dla hodowców bydła. Naturalnie, że żaden las nie przerywa też pustynnej jednostajności, nie widać również pojedynczych drzew, a nawet krzaków.

Gdzieś zdala widać jakiś ciemny, ponury obszar, to bagno; niedaleko od niego błyska słońca kałuża, a dokoła niej grunt pokrywają lśniąca kryształki soli. Słońce rozlewa na tę równinę swe jasne palące promienie, które tak rażą oczy, że zaledwie można je otwierać. Posuwamy się ku zachodowi; tu i owdzie pojawiają się nędzne pęczki czerwonej trawy; na wybrzeżu strumienia, prawie zupełnie wyschłego, rosną tu i owdzie kolczaste krzaki. Upał staje się nie do zniesienia, nie można się doczekać ani kropli deszczu. Poganiacz mułów zapewnia, że tak tu jest przez cały rok. Nieraz przechodzą dwa, lub trzy lata zupełnie bezdeszczowe; wówczas wiele zwierząt ginie. Te stosunki zmuszają nas do częstych wypoczynków. W dalszej podróży wspinamy się na jeden z pagórków, sterzących wśród równiny i z podziwem dostrzegamy przed sobą olbrzymy Krdyłjerów, zalegających zachodni pas Patagonji. Góry te wznoszą się ku niebu niby olbrzymia ściana, na ich szczytach srebrzą się wieczne śniegi.

Po dwóch dniach dalszej drogi, natrafiamy na bystrą rzekę górską Rio Collon-Cura. Przebywamy ją nie bez niebezpieczeństwa i wkrótce dosiegamy do jakiejś osady (estancia) niemieckiego kolonisty. Powietrze jest tu już orzeźwiająca, ludzie i zwierzęta szybko przychodzą do siebie. Komendant poblizkiego fortu Junin de los Andes daje nam przewodnika indyjskiego, który prowadzi nas przez kraj dziko romantyczny, w dolinie potoku pośród poszarpanych skał; niespodzianie stajemy przed gajem cyprysowym, którego grunt pokryty jest koniczyną i poziomkami. W miarę jak zapuszczamy się w góry, powietrze staje się zimne, silny wiatr górski ścina nam krew w żyłach. Zaczyna padać śnieg i w coraz gęstszych masach wirować dokoła nas. Teraz trzeba przeprowiać się przez szumiący potok Limay, przyczym wiele zwierząt wraz z pakunkami ginie porwane prądem. Wreszcie dosiegamy wielkiego jeziora górskiego Nahuel-Huapi. Na jego brzegach mamy dłuż-

szy odpoczynek, ale zaledwie nastąpiła noc termometr spadł nagle na 14^o poniżej zera. Przebyliśmy noc drżąc z zimna. Ranek nastąpił blady, zimny, mglisty. Góry, wznoszące się stromo po zachodniej stronie jeziora, są niżej pokryte lasami, a wyżej śniegami. Powierzchnia jeziora pełnego wysp jest przysłonięta szarą mgłą.

Po zwiedzeniu Kordyljerów Patagońskich udaliśmy się znów na wschód przez pustą równinę, ciągnącą się do oceanu Atlantyckiego. Zwierzęta nasze, cierpiały bardzo od braku wody. Kałuże zwane «aguadas» zawierają wodę prawie niemożliwą do użytku z powodu znacznej zawartości sody i saletry. Cała nasza karawana pokryta białym pyłem robi wrażenie towarzystwa młynarzy. Niewymownie znużeni dosiegamy do aguada Pocitos, której woda nie jest wprawdzie słona, ale tak szlamista, że trapione pragnieniem zwierzęta nie mogą jej pić. Jedziemy więc dalej i wreszcie dosiegamy rzeki Chubut; teraz dopiero było widać jak wielce spragnione były nasze zwierzęta: zaledwie zwietrzyły ożywczą wodę okazały poważną ochotę przewrócenia się wraz z pakunkami w rzekę i trzeba było wielkich usiłowań, ażeby je odwieźć od tego zamiaru.

Nad rzeką Chubut znajdują się najdawniejsze osady Europejczyków w Patagonji: w 1865 r. osiedli tu mianowicie górnicy z Walji. Ludzie ci niewykształceni, nieposiadający żadnej wiedzy geograficznej czy rolniczej byłiby w tej pustynnej krainie wymarli z głodu, gdyby im nie byli przyszli z pomocą tutejsi krajowcy, Tehuelcze. Wreszcie jeden z osadników wpadł na myśl przekopania rowu od rzeki Chubut do swych pól i tym sposobem sztucznie je nawodnić. Skutek tej próby był znakomity, ziemia zaczęła rodzić obficie i osada zadrgała życiem.

Robiąc wycieczki z tej osady w stepy, mieliśmy sposobność poznać czerwonoskórych krajowców. Jadąc przez kraj jednostajny, pokryty wysoką, suchą trawą i ciernistymi krzakami, posłyszeliśmy głuchy, szybko zbliżający się

łoskot i wkrótce około nas przeleciało z szybkością wichru stado guanaków; między nimi zauważyliśmy też południowo amerykańskie strusie. Za tym stadem pędziły silne, do wilków podobne psy, a dalej, na silnych krótko grzywych koniach ukazali się czerwonoskórzy jeźdźcy; ich długie włosy od silnego pędu rozwiewały się za nimi w powietrzu. Byli to Patagończycy, dzielni myśliwi i jeźdźcy, którzy zdają się być zrośnięci ze swemi rumakami. Ich nawoływania i tętet kopyt końskich wprowadzały w niepokój nasze konie, tak iż zaledwie możemy je utrzymać. Wkrótce Indjanie okrążają stado guanaków, dla których niema już wyjścia. Każdy z jeźdźców trzyma w ręku straszne łąso i jeszcze straszniejsze bolas, trzy kule umocowane na rzemieniach; jedną z tych kul trzyma Indjanin w ręku, a dwie puszcza w kręgach ponad głowę i wreszcie rzuca je na upatrzonogo zwierza; obwijają się one dokoła szyi ofiary wciąż ciasniejszemi kręgami tak, iż pada ona nawpół zduszona. Wreszcie nóż Indjanina kładzie koniec jej życiu.

Według zbioru *A Kleinschmidta*.



SPIS RZECZY.

	<i>str.</i>
Odkrywca Nowego Świata	1
Cieśnina Magielana i jej okolice	12
Przylądek Horn	18
Peszeresy	20
Wycieczka w Kordyljery Chilijskie	25
Dzień na wyżynie Peruwjańskiej	33
Wrażenia z Peruwji	40
Wyspy Guanowe	52
Żółwie na wyspach Galopagos	54
Prодукty i ludy brzegów Orinoko, Gieofagowie.	58
Katarakty Orinoko	63
Ljanosy	76
Las dziewiczy Guyany	83
Kajenna	84
Nocne życie zwierząt w lesie pierwotnym.	85
Rio Janeiro	88
W Brazylii	92
Dzień pod równikiem	99
Amazonka	103
Brazylijczyk	106
Okolice Rio Janeiro	108
Z kolonji polskich w Brazylii	113
Parana	121
Na granicy cywilizacji	127
Gospodarka jezuitów w Ameryce Południowej, a zwłaszcza w Paragwaju	131
Argentyna	135
Pampero i laguny	139
Gauchosy	142
W Patagonji	145

Faint, illegible text, possibly a title or header.

M

42041 [2]

